

W powojennej Szkocji nic nie jest takie,  
jakim się wydaje

# DETEKTYW Z PEEBLES



# Detektyw z Peebles

Gustaw Fit

*Dla moich rodziców*

# Prolog

Peebles, niewielkie miasteczko w południowej Szkocji, w 1949 roku było pełne kontrastów – piękno otaczających wzgórz i rwących rzek stanowiło tło dla trudnej codzienności. Wojna pozostawiła tu głębokie ślady, a życie mieszkańców zdominowały ekonomiczne problemy. Wśród lokalnych rodzin, które starały się odnaleźć stabilizację, rosły napięcia związane z przybyciem uchodźców – głównie Polaków i innych emigrantów z Europy Środkowo-Wschodniej.

Dla wielu Szkotów obecność emigrantów oznaczała konkurencję na rynku pracy i dodatkowe obciążenie dla lokalnej społeczności, ledwo wiążącej koniec z końcem. Plotki o rzekomych przywilejach, jakie mieli obcokrajowcy, krążyły pośród mieszkańców, podsycając wzajemną nieufność. W barach i na targach szeptano o „obcych” – ich językach, zwyczajach i celach, które często wydawały się niezrozumiałe. Niechęć mieszała się z fascynacją, a życie w Peebles stawało się coraz bardziej naznaczone tym napięciem.

Polscy emigranci, którzy znaleźli tu schronienie po wojnie, mieli za sobą trudne doświadczenia. Wielu z nich walczyło na froncie lub w ruchu oporu, a teraz musieli mierzyć się z nową walką – o akceptację i lepsze życie w obcym kraju. Ich obecność wprowadzała jednak element tajemnicy i niepewności, który dodatkowo budził podejrzliwość. W małej społeczności, gdzie każdy znał każdego, pojawienie się nowych twarzy – często milczących i zamyślonych – stawało się źródłem kolejnych opowieści i domysłów.

Wśród polskiej społeczności szeptano o byłych żołnierzach z szacunkiem, lecz ich historia była naznaczona tragedią. Po wojnie, mimo bohaterstwa na polach walki, spotkał ich gorzki los – brytyjskie dowództwo najpierw przyznało części żołnierzy odznaczenia za operację Market Garden, a potem je wycofało. W wielu przypadkach tłumaczono to tchórzostwem na polu walki, co niejednokrotnie wiązało się z degradacją lub utratą szans na ponowne włączenie w szeregi armii. Kilku, jak generał Sosabowski, w „nagrodę” zostało zdegradowanych.

Nie chodziło jedynie o odznaczenia czy awanse, ale o coś znacznie głębszego – o godność i uznanie dla poświęcenia, którego wielu emigrantów było pozbawionych. Brytyjskie gazety w owym czasie przemilczały zasługi polskich żołnierzy, a ich rodziny – zarówno w Szkocji, jak i w innych częściach kraju – musiały zmagać się z piętnem ludzi, których los był tematem półprawd i niedopowiedzeń.

Polakom zaś trudno było zrozumieć realia Brytyjczyków, którzy musieli patrzeć na szerszy kontekst historyczny, aby unikać kolejnej wielkiej wojny z ZSRR. Ciężko też było polskim emigrantom zrozumieć perspektywę Szkotów, których w ich mniemaniu przecież bronili. Szkoci zaś mieli problemy ze zrozumieniem, czemu tak duża grupa Polaków nie chce wracać do swojego kraju. Nie znając języka zostali tutaj. Zwiększając pulę ludzi, o których musiał zadbać rząd brytyjski. W czasie wielkich, powojennych problemów ekonomicznych. A informacje o sytuacji w Polsce, co szykował i robił nowy ustrój nie były powszechnie dostępne. To pokazała dopiero o wiele później historia.

Dla dzieci i rodzin polskich żołnierzy (zwłaszcza poległych), ten brak zrozumienia i brak podziękowań, to była plama na honorze rodziny, której postanowili nigdy nie zapomnieć. Wojenne sekrety i zdrady stawały się cieniem rzucającym się na terażniejszość. Doprowadziło to w końcu do incydentów.

Zdarzenia z 13 i 14 września 1946 roku w Irvine wzbudziły zainteresowanie Sekretarza Stanu ds. Szkocji, który zwrócił się do władz policji o raporty na temat ataków na polskich żołnierzy, w wyniku których co najmniej jeden z nich został ranny.

Według szczegółowych raportów przekazanych wówczas przez policję, grupa Polaków uczestniczyła w zabawie tanecznej, gdy na miejsce przybyło czterech lub pięciu brytyjskich żołnierzy. Oświadczyli oni, że przyszli „oczyścić to miejsce z Polaków”. Odmówiono im wejścia do sali, więc pozostali w pobliżu wejścia i dołączyło do nich kilku cywilów. Mieli przy sobie rozbite butelki po piwie. Wyzywali polskich żołnierzy wchodzących i wychodzących z sali na bójkę.

Po pewnym czasie prowokacji większość polskich żołnierzy z sali wyszła na zewnątrz, co doprowadziło do bójki przy wejściu i na ulicach, która trwała aż do przybycia policji. Nie ustalono, która ze stron zadała pierwszy cios. W bójce używano różnych prowizorycznych broni, takich jak fragmenty bram i ogrodzeń, rozbite butelki, kije i noże.

A potem było gorzej.

W 1945 roku kiedy Rząd Brytyjski wycofał uznanie dla oficjalnego Rządu Polskiego II RP, który podczas wojny działał poza Krajem we Francji, a później w Londynie. Brytyjski rząd

wycofał je w 1945 roku głównie z powodu ustaleń konferencji jałtańskiej, gdzie alianci zgodzili się na podporządkowanie Polski strefie wpływów ZSRR. Wielka Brytania, chcąc utrzymać sojusz z ZSRR w kluczowym momencie powojennej odbudowy, unikając także nowej wojny, uznała Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, kontrolowany przez komunistów, jako nowy rząd Polski. Decyzja ta, choć kontrowersyjna, była wynikiem pragmatycznej polityki i kalkulacji geopolitycznej, mimo że oznaczała zostawienie wcześniejszych sojuszników na pastwę losu. Powstały nowe problemy. Historie jak te z Irvine powtarzały się i gdzie indziej. Może nie na taką skalę.

Część emigrantów ciężko pracowało nad poprawą swego wizerunku i ich sytuacji w Szkocji. Uczyło się języka i starało się “ambasadorować” sprawie polskiej-niekomunistycznej.

Ale, wielu emigrantów i ich rodzin czuło rozgoryczenie, nosiło swoje własne ciężary, a każdy dokument czy wspomnienie wiązało ich z niesprawiedliwością, dawnym życiem i niedokończonymi sprawami. Tak właśnie myślał i czuł też młody wędrowiec w okolicach Peebles.

—

Wieczór zapadał wcześnie, gdy młodzieniec wspinał się powoli na wzgórze. W chłodnym powietrzu unosił się zapach wilgotnej ziemi, a błądy księżyc oświetlał jego drogę. Przystanął na szczycie, wzdychając ciężko, jakby próbując uwolnić się od własnych myśli. Z kieszeni płaszcza wyciągnął pomiętą kartkę – cienki papier wydawał się kruchy jak jego cierpliwość. Jak to zresztą u młodzieńców bywało.

Na kartce widniały nazwiska, starannie zapisane i połączone liniami z ich angielskimi odpowiednikami. Część z nich była przekreślona, inne – zakreślone kółkami. Kilka nazwisk niżej widniało kolejne, zakreślone na czerwono: Hubert Locknitz, pseudonim Julius Franklin. Piotr wpatrywał się w nie, a jego spojrzenie stwardniało. Widniał tam również adres w Galashiels, ale przypadkowe spotkanie z dziennikarką w Edynburgu, pchnęło jego poszukiwania tutaj.

Zgniół kartkę w dłoni, jakby chciał z niej wycisnąć odpowiedzi, które od dawna wymykały się jego zrozumieniu. Powoli wsunął rękę do kieszeni, wyciągając stary, znoszony kawałek materiału – opaskę z symbolem Armii Krajowej. Przesunął po niej palcami, jakby szukał w niej siły. Chciał poznać odpowiedzi.

W drugiej kieszeni miał małą paczkę. W niej, z tego co wiedział, pakiet kuponów na żywność. Praca kuriera była bardzo pomocna przy tym zadaniu. Aby coś się dowiedzieć.

Na wzgórzu, z którego rozciągał się widok na dolinkę, jego oczy zatrzymały się na jedynym budynku. Pod budynkiem stała półciężarówka, a ktoś bardzo energicznie coś komuś tłumaczył po angielsku. Było zbyt daleko aby mógł zrozumieć słowa. Chłopak zacisnął szczęki i ruszył w dół. To było najprawdopodobniej właśnie to miejsce.

## Rozdział 1: Człowiek z cieni

Z cieni wypadł granat. Jan spojrzał szybko na Tomasza i Boryłę. Nie zdążył krzyknąć. Eksplozja wypchnęła mu powietrze z płuc i zarazem rozerwała bębenki w uszach. Poczut jak pada na ziemię. Jak w zwolnionym filmie widział chmurę pyłu obejmującą jego przyjaciół. Niespodziewanie błysnął orzeł z odznaki Tomasza, wraz ze spadochronem. “Dziwna rzecz, by na to teraz zwracać uwagę” zdążył pomyśleć Jan. I stracił przytomność.

Z tego koszmaru wyrwał go ból. Uszy wypełniło tykanie zegarka. Trzy minuty po czwartej nad ranem. Czuł zimne krople potu ściekające mu po policzkach, i te z czoła drażniące brwi. Ból w nodze odezwał się ponownie. Wstał jeszcze trochę rozdygotany i spojrzał w kąt pokoju, gdzie dokładnie wyczyszczony i uprasowany wisiał jego spadochroniarski mundur. “I po co to było?” pomyślał.

Nad Peebles w Szkocji, tego czerwcowego poranka, wstawał już nowy dzień. Na dworze szarzało. Nadszedł czas, by szykować się do pracy. Wojna wszak skończyła się już dobre 4 lata temu. W pokoju zajmowanym przez Jana na 24 Young Street nie było dużo miejsca. Ale podobało mu się tutaj. Pokój był na drugim piętrze i ogrzewał go duży komin, który przechodził przez ścianę naprzeciw okna. Okno wyglądało na ulicę, a zaraz pod oknem stała duża, niebieska, okrągła skrzynka pocztowa. Z wielkimi literami G, R oraz liczbą sześć stojącą rzymskimi znakami. Ulica jeszcze była cicha.

Mieszkał w Peebles, bo wydawało mu się spokojnym miejscem. Miejscem, w którym będzie mógł spróbować

normalnego życia. Którego niewiele doświadczył od czasów wojny.

Jan wstał, próbując strząsnąć z siebie resztki koszmaru. Ostatnio zdarzały się mu bardzo często. Jakby obietnica dana Tomaszowi w dzień przed akcją, wołała do niego. Jakby Tomasz wyciągał do niego rękę zza grobu. Zimny dreszcz przeszedł Janowi przez plecy.

Podszedł do okna i zapalił świecę. Na stole pod oknem stała miednica z dzbanem. Białe, ceramiczne, chociaż trochę nadkruszone. Oba były pięknie, ręcznie malowane na niebiesko. W stylizacji 'blue Holland'. Dar od Aafje. Pielęgnowała go długo po zrzucie. Któregoś dnia, kiedy odwiedzał go w szpitalu stary, wziął Aafje na stronę. Nie wiedział o czym rozmawiają, ale wyszła z izolatki. Gdy wróciła przyniosła ze sobą ten właśnie zestaw i wydukała 'dank je wel'. Tyle rozumiał, że dziękuje. Do dzisiaj nie wiedział za co, gdyż ani starego, ani Aafje już od tamtej pory nie zobaczył. To było jeszcze przed listem Montgomeryego, może dlatego. Nalał wody z dzbana do miski.

Chłust zimnej wody na twarz szybko odpędził tamte myśli i przyciągnął plan na dzień. D Ballantyne Brothers & Co Ltd produkowali rzeczy z wełny. Codziennie od 6 rano, do godziny 19 Jan pracował tam jako asystent pracza. Wełna była zwożona na magazyn, z którego wózkami trzeba było ją przewieźć do namaczania i prania. Zanim będzie gręplowana. Zarabiał tam około dwóch szylingów na godzinę. Przy czterodniowym systemie pracy dawało mu to całkiem

rozsądną sumę. Z czego większość odkładał. Chociaż nie za bardzo wiedział po co.

Jan wytarł twarz szorstkim ręcznikiem, który wisiał na gwoździu wbitym w ścianę nad miednicą. Ręcznik pachniał szarym mydłem, które zdawało się nie do końca usuwać zapach wilgoci z tkaniny. Popatrzył na odbicie swojej twarzy w lustrze stojącym na parapecie. Wciąż miał młodzieńcze rysy, ale oczy zdradzały przeżycia, które zabierały więcej lat niż zegar.

Na krześle przy łóżku czekały już jego ubrania: gruba, wełniana koszula, spodnie w kant i ciężkie, skórzane buty, które wytrzymały więcej kilometrów, niż Jan byłby w stanie zliczyć. Na to narzucił ciemny płaszcz, którego kołnierz był lekko postrzępiony – pamiątka po niefortunnym zderzeniu z rowerzystą w mieście dwa tygodnie temu.

Z kieszeni płaszcza wyjął stary zegarek na łańcuszku – kolejny dar, tym razem od Tomasza. Zegarek, choć porysowany, wciąż działał bezbłędnie. To był jego mały rytuał: nakręcić mechanizm przed wyjściem. Kliknięcie koronki wydawało się cichym przypomnieniem, że czas wciąż płynie, niezależnie od przeszłości. Nakręcanie ponownie przypomniało mu o obietnicy danej Tomaszowi. Westchnął.

Gdy sięgał dłonią do drugiej kieszeni płaszcza zawadził o coś zimnego. Pistolet. Zawsze miał go przy sobie, choć od lat nie miał potrzeby go używać. Może to tylko relikwyt przeszłości, może zabezpieczenie na wypadek, gdyby wojna powróciła – nie potrafił powiedzieć. Musiał go tam włożyć wczoraj wieczorem.

Pistolet wyciągnął. Podszedł do łóżka. Schylił się. Luźna deska pod łóżkiem wyszła łatwo. Przesunął paczkę nabojów na lewo i wyciągnął mały śrubokręt, wędziło i tubkę oliwy. Znajome V z literami FB mile polechtało dłonie. Była godzina 4:30 i słońce właśnie wschodziło.

Rozłożenie pistoletu, czyszczenie i oliwienie zabrało mu kolejne dwadzieścia minut. Po czym ponownie umył ręce. Pościelił łóżko. Czas było wychodzić.

Pod pachę wziął małą torbę z dwoma kanapkami owiniętymi w szmatkę. Śniadanie miał zjeść w drodze – tak było szybciej. Zamknął drzwi mieszkania, a klucz włożył do kieszeni płaszcza.

Peebles o poranku wciąż było uśpione. Ulice delikatnie spowijała mgła, przez którą przebijały się pierwsze promienie słońca. Wszędzie panowała cisza, którą przerywało jedynie skrzypienie butów Jana na wilgotnym bruku.

Droga na Caledonian Road 23 była prosta, choć długa. Przechodziła przez most na rzece Tweed, gdzie woda szumiała łagodnie, jakby opowiadała swoje historie tym, którzy mieli czas, by ich słuchać. Jan jednak spieszył się, jak zawsze.

Mijając małą księgarnię na rogu, zauważył, że właściciel już stawiał tabliczkę na zewnątrz. "Nowe wydanie Szkockiej Historii Ludowej!" głosiła reklama. Jan uśmiechnął się lekko pod nosem, choć nie wiedział dlaczego.

Idąc wzdłuż Caledonian Road, Jan zawsze przechodził obok niepozornej tabliczki wmurowanej w ścianę starego budynku.

Napisy były wytarte, ale wciąż widoczne: "Tu w 1832 roku powstał pierwszy w Szkocji warsztat tkacki dla kobiet". Jan często zastanawiał się nad losem tych, którzy tu pracowali – czy ich życie też było pełne tajemnic i bólu? A może po prostu starali się przetrwać, jak on teraz?

Z daleka zauważył znajomy szyld fabryki D Ballantyne Brothers & Co Ltd. Nadszedł czas kolejnego dnia produkcji. Zatarł dłonie.

Dotarłszy pod numer 23, Jan zatrzymał się na moment, by wyjąć kanpkę z torby. Jego dzień w fabryce dopiero się zaczynał, ale gdzieś w głębi serca wiedział, że to nie fabryka, nie wózki z wełną ani gręplowanie były jego prawdziwym przeznaczeniem.

Rozpoczął kolejny dzień, pozostawiając za sobą cienie, które wciąż go ściagały.

—

Okolo godziny 13 zaczynała się przerwa na lunch. Jan skierował się do wielkiego metalowego zlewu stojącego pod ścianą magazynu. Na zlewie leżało to same szare mydło, którego używał w domu. Stary Angus, który był tutaj magazynierem bardzo lubił Jana. Chociaż dogadać się szło trudno. Zasób angielskiego słownictwa był wciąż niewystarczający na pogawędkę. Ciężki, glasgowiański akcent Angusa także nie pomagał. Co nie zmieniało faktu, że dwa razy w miesiącu Angus przekazywał kostkę mydła Janowi. Życie się jakoś układało.

Większość ośmioosobowej załogi, z którą pracował Jan udawało się na lunch do pobliskiego pubu. Właścicielem pubu był dobry znajomy Daniela Ballantyne'a. Pratesh, którego rodzina przeniosła się do Peebels w 1920 roku, po krótkim pobycie w Afryce w Pretorii. Klimat Szkocji może nie był idealny, ale Pratesh wraz rodziną cenili sobie spokój okolicy. Mieli tutaj też dobrego patrona w Danielu. Przyjęło się więc, że pracownicy D Ballantyne Brothers & Co Ltd korzystali z pubu jak ze stołówki. Wszyscy poza Janem, który preferował spacer i posiłek na powietrzu. Samotnie.

Jan przeszedł przez podwórze fabryki. Jego kroki odbijały się echem od ceglanej ściany budynku. W ręku trzymał prostą kanapkę – chleb z cienką warstwą masła i odrobiną wędzonego sera. Drugą z dwóch, które naszykował w dzień poprzedni do pracy. Spacerował w kierunku małego skweru w pobliżu rzeki Tweed, gdzie zwykle siadał na ławce, by w spokoju zjeść lunch.

Tego dnia niebo nad Peebles było wyjątkowo pogodne. Jan zauważył dzieci bawiące się w pobliżu mostu i starszego mężczyznę karmiącego kaczki kawałkami chleba. Już miał usiąść na swojej ulubionej ławce, gdy coś – a raczej ktoś – wpadł na niego z impetem, niemal wytrącając mu kanapkę z ręki.

– Pan Kowalewski? – kobiecy głos zabrzmiał zdyszany, niemal desperacko.

Jan spojrzął w górę i zobaczył kobietę, która ledwo trzymała się na nogach. Jej płaszcz był lekko przybrudzony, a włosy w

nieładzie. Jej jasnozielone oczy wbijały się w niego z intensywnością, której nie sposób było zignorować.

– Tak, to ja. A pani...? – odpowiedział niepewnie.

– Anna Chmielewska. Musi mi pan pomóc! – wyrzuciła z siebie jednym tchem, jakby każde słowo ważyło tonę.

Jan odruchowo zrobił krok w tył, przyzwyczajony do tego, że ludzie od dawna nie prosili go o pomoc. Nie po tym, co stało się w Irvine. Nie po 1946 roku. Nie po tym jak upodlony został generał Maczek i stary. Zauważył, że kobieta trzyma w dłoni pogniecioną kartkę papieru. Wyglądała, jakby była w podróży od kilku dni – zmęczona, zziębnięta, ale zdeterminowana.

– Co się stało? – zapytał, starając się, by jego głos zabrzmiał spokojnie, choć czuł, że sprawa jest poważna.

Anna niemal siłą posadziła go na ławce i usiadła obok, podając mu kartkę. Na papierze widniało zdjęcie młodego mężczyzny, może dwudziestokilkuletniego. Obok zdjęcia były wypisane podstawowe informacje: imię, nazwisko – Piotr Chmielewski – oraz data przyjazdu do Edynburga sprzed kilku tygodni.

– To mój brat. Przyjechał tutaj, żeby znaleźć pracę. Z Holandii. Miał się ze mną skontaktować, ale od dwóch tygodni nie ma od niego żadnej wiadomości. Byłam w Edynburgu, pytałam w PRC, ale nikt nic nie wie. Ktoś powiedział mi, że pan... – urwała, jakby nie była pewna, czy dobrze dobrać słowa. – Że pan zna ludzi. Że pan... pomaga.

Jan wziął zdjęcie do ręki. Młody mężczyzna patrzył na niego z czarno-białej fotografii z delikatnym uśmiechem. Twarz wydawała się zwyczajna, ale w oczach była pewna nieśmiałość – może niepewność, może coś jeszcze. Wydawała się też bardzo znajoma. Tak i zresztą jak twarz Anny.

– Pani Anno... Ja... To musi być jakaś pomyłka... – zaczął, ale Anna przerwała mu, chwytając go za rękę.

– Nie mogę czekać, panie Kowalewski. Jeśli go nie znajdziemy teraz, coś złego może się stać. Proszę. – Jej głos załamywał się, jakby była na granicy łez.

Jan spojrział na zdjęcie, potem na Annę. Przypomnił sobie inne twarze, inne głosy proszące o pomoc – w czasie wojny, po niej, aż po dziś dzień. W głowie słyszał słowa swojego przyjaciela: *"Zawsze pomagaj, jeśli możesz. Tylko wtedy wiesz, że zrobiłeś to, co trzeba."*

Jan patrzył na Annę przez dłuższą chwilę. Milczenie wydłużało się niezręcznie, ale ona nie spuszczała wzroku. Jej oczy, pełne desperacji i nadziei, zdawały się próbować go przebić, jakby chciała wymusić decyzję samą siłą woli.

– Pani Anno – zaczął w końcu, ważąc każde słowo – ja nie jestem żadnym detektywem ani bohaterem. Ledwo sobie radzę z własnym życiem, a pani chce, żebym...

– Żeby pan pomógł mi znaleźć mojego brata – przerwała ostro. Jej głos zdrzął, ale odwaga w nim pozostała. – Słyszałam o panu, panie Kowalewski. Wiem, ile pomógł Pan rodzinom przesiedleńców. Zanim uciekł Pan tutaj.

– Ludzie mówią różne rzeczy – odparł Jan, wzruszając ramionami. Czuł, jak w środku narasta w nim znajomy ciężar, to samo poczucie odpowiedzialności, które ciążyło mu przez całe życie. – Ale to nie znaczy, że mam odpowiedzi. Czasem po prostu nie da się pomóc.

Anna wyprostowała się, złość na chwilę rozjaśniła jej twarz. – Nie wierzę w to. Pan wie, jak wygląda życie tutaj. Ja... – zawahała się, walcząc z łzami. – Ja jestem tylko kobietą, emigrantką. Wszędzie widzę obojętność. Lub złość. I zawiść. W fabrykach, w pubach, na ulicach. A mój brat... Piotr zawsze wierzył w lepszy świat, ale on... on nie zna życia.

Jan spojrzał na jej dłonie – drobne, ale zniszczone od pracy. Zadrzały, gdy ścisnęła poły swojego płaszcza.

– Pani Anno, proszę zrozumieć – powiedział cicho, ledwie wytrzymując jej wzrok. – Nie mam pieniędzy, nie mam kontaktów. Nie wiem, co pani słyszała, ale ja naprawdę nie mogę...

– To nie chodzi o pana, tylko o niego! – wybuchła. – On nie zasługuje na to, żeby po prostu zniknąć. Jestem jedyną osobą, która może mu pomóc, ale sama nic nie zrobię. Nie tutaj. A pan... – urwała i spojrzała na niego z taką intensywnością, że Jan poczuł, jak wzbiera w nim niechciany gniew.

– Co ja? – zapytał ostro. – Co pani myśli, że zrobię? Że pójdę do tych samych ludzi, którzy powiedzą mi to samo, co pani? Że znajdę coś, czego nikt inny nie znalazł?

Anna zamrugła, jakby jego słowa były policzkiem. Wzięła głęboki oddech i wyciągnęła z kieszeni niewielką, złożoną na cztery kartkę.

– To znalazłam w jego rzeczach – powiedziała, podając mu papier. Jan wziął go niechętnie i rozwinął. Był to bilet z Edynburga do Peebles z datą sprzed dwóch tygodni. Na odwrocie ktoś zapisał krótki adres ołówkiem: "Warsztat Matusiaka, Galashiels".

Jan poczuł, jak coś zaskakuje w jego głowie. Znał ten warsztat. Staszek Matusiak był dawnym przyjacielem z czasów wojny. Nie widzieli się od miesięcy, ale jeśli Piotr rzeczywiście był tam...

Spojrzał na Annę. Jej spojrzenie złagodniało, ale nie ustąpiło. Nie zamierzała odpuścić. Oddał jej bilet.

– Nie mogę Pani Anno – powiedział z wyraźnym drzeniem w głosie. – Nie rozumie pani, o ile pani prosi.

Nie chciał, by zobaczyła jego łzy. Wstał nagle i ruszył w stronę fabryki.

Odgłos kroków zatrzymał go w środku drogi, jeszcze zanim zdążył odejść na dobre. Anna najwyraźniej nie zamierzała pozwolić, by po prostu odszedł. Odwrócił się powoli, czując, że jej słowa zaraz znów podważą jego decyzję.

– Panie Kowalewski, proszę jeszcze o jedno – powiedziała z wyraźnym drzeniem w głosie. – To, co się stało w Irvine... To nie była pana wina.

Jan poczuł, jak ścisza go w żołądku. To jedno zdanie uderzyło w niego mocniej niż cokolwiek, co powiedziała wcześniej. Jego twarz stężeła, a oczy zaszyły cieniem.

To właśnie między innymi przed Irvine i jego konsekwencjami uciekł tutaj.

– Skąd pani wie o Irvine? – zapytał ostro, nie kryjąc gniewu, ale i zaskoczenia.

Anna odsunęła się o krok, jakby jego reakcja ją przestraszyła, ale szybko zebrała się w sobie. – Pani Barbara... To ona mi powiedziała, gdzie pana szukać. Powiedziała, że pan pomoże.

Jan odwrócił wzrok, czując, jak gniew powoli ustępuje miejsca goryczy. Pani Barbara. Starsza kobieta, której starał się pomóc kilka lat wcześniej. W Irvine. W tamtej sprawie... Nie. On tam zawiódł.

– Nie wiem, co pani Barbara pani powiedziała, ale... – zaczął, ale Anna weszła mu w słowo.

– Powiedziała, że zrobił pan wszystko, co mógł. Że nikt inny nawet nie próbował. Że w końcu ktoś potraktował ją poważnie. To, że nie udało się, nie zmienia faktu, że próbował pan pomóc.

Jan zamilkł. Słowa Anny odbijały się echem w jego głowie. Próbował. Może rzeczywiście próbował. Ale czy to wystarczyło?

Anna spojrzała mu prosto w oczy. – To dlatego mi powiedziała, jak pana znaleźć. Bo wiedziała, że pan nie

odwraca się od ludzi w potrzebie, nawet jeśli sam jest pogubiony.

Jan zacisnął dłonie w pięści, próbując opanować emocje, które kłębiły się w nim jak burza. Wziął głęboki oddech i spojrzał na Annę.

– Pani Barbara zawsze miała zbyt wielkie serce – powiedział cicho, bardziej do siebie niż do niej. Potem dodał: – Powiedziała pani prawdę. Zrobiłem, co mogłem. Ale to było za mało.

– Nie dla niej – odparła Anna bez cienia wahania. – I nie dla mnie.

Jan milczał przez chwilę, patrząc w ziemię. W końcu westchnął i spojrzał na Annę. W jej oczach widział tę samą determinację, jaką widywał w oczach ludzi, którzy mieli wszystko do stracenia, ale jeszcze nie zamierzali się poddać.

Coś jeszcze, dziwna znajomość w wyglądzie twarzy Anny tworzyła przecucie, że powinien się zaangażować. Nie mógł tego jasno zdefiniować. Może po prostu trzeba to by było sprawdzić.

– Dobrze – powiedział w końcu, choć ton jego głosu zdradzał wewnętrzną walkę. – Ale nie obiecuję niczego. Znajdę Matusiaka, zapytam, co wie. To wszystko, co mogę zrobić.

Anna odetchnęła, jakby cały świat na moment przestał na nią napierać. – Dziękuję – szepnęła, a w jej głosie była mieszanka ulgi i wdzięczności.

Jan schował zdjęcie i bilet do kieszeni. Był świadomy, że nie zrobił tego tylko dla niej. Był to także pretekst, by znów wrócić na znajome ścieżki – choć wiedział, że może to przynieść więcej pytań niż odpowiedzi.

– Spotkajmy się tutaj za dwa dni. Jak się czegoś dowiem, powiem pani. Jeśli nie, niech pani szuka dalej. Ja zrobię, co mogę.

Po czym szybkim krokiem ruszył do fabryki, aby dokończyć swoją czwartkową zmianę.

Anna patrzyła jeszcze za nim chwilę, po czym ruszyła w stronę mostu na rzece Tweed. Za 10 minut odchodził autobus do Edynburga. Oby człowiek, którego poleciła jej pani Barbara był tym, za kogo ona go uważała. Pomyślała o Piotrze i łyzy nabiegły jej do oczu.

—

Z ławki, zaledwie trzydzieści metrów dalej, podniósł się mężczyzna w czarnym kapeluszu. Jego ruchy były powolne, ale precyzyjne, jakby starannie obliczał każdy krok. Otrzeptał dłonie z okruszków chleba, którymi jeszcze chwilę wcześniej karmił kaczki, i poprawił poły swojego staromodnego płaszcza. Począł jeszcze chwilę, tak aby Anna i Jan oddalili się w swoich kierunkach.

Mężczyzna ruszył w stronę pubu Pratesha – tego samego, do którego pracownicy fabryki zwykle udawali się na lunch. Pub był ciepły, przytulny, z charakterystycznym zapachem pieczonego mięsa i przypraw, który unosił się w powietrzu. Nad barem wisiała tablica z codziennym menu, a w kącie

grała cicho muzyka. Pratesh, właściciel, kręcił się za barem, nalewając komuś kufel ciemnego piwa.

Mężczyzna w kapeluszu usiadł przy jednym ze stolików w kącie, nie zdejmując płaszcza ani kapelusza. Wyjął z kieszeni mały notes i długopis, ale zamiast pisać, zaczął obracać notes w dłoniach, jakby czekał na coś ważniejszego niż lunch. Po kilku minutach wstał i podszedł do telefonu stojącego na ladzie obok baru.

– Chwileczkę, proszę – rzucił krótko do Pratesha, który próbował go zagadnąć.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer, którego cyfry wydawały się mu dobrze znane. Po kilku sygnałach ktoś odebrał.

– To ja. Blackbird – powiedział niskim głosem, który mógłby być zinterpretowany jako przyjazny, gdyby nie napięcie w jego tonie.

Pratesh, stojąc przy barze, zerknął w stronę telefonu, ale udawał, że nie podsłuchuje.

– Cel potwierdzony. Rozmawiał z „Dewdrop” – ciągnął mężczyzna. – Próbuję ustalić, czy to przypadek. Sprawdzę „Mechanic” na miejscu.

Na chwilę zamilkł, jakby słuchał odpowiedzi, po czym dodał: – Nie, nie jestem pewien. Ale wygląda na to, że możemy mieć powód, by się tym zająć. Dam znać po spotkaniu z „Scotsmanem”.

Odłożył słuchawkę i wrócił do stolika, ale zamiast usiąść, wyjął z kieszeni kilka monet, które zostawił na ladzie.

– Płacę – rzucił sucho, choć nie zamówił nic poza telefonem.

Wychodząc z pubu, niemal wpadł na Angusa, który właśnie wchodził do środka z kilkoma innymi pracownikami fabryki.

– Patrz, gdzie leziesz, stary draniu! – warknął Angus swoim ciężkim, glasgowiańskim akcentem, próbując złapać równowagę po zderzeniu.

Mężczyzna w kapeluszu zatrzymał się na moment i uśmiechnął zimno. Z kieszeni płaszcza wyjął odznakę policyjną, którą uniósł na wysokość twarzy Angusa.

– Proszę lepiej uważać, z kim pan rozmawia – rzucił lodowato.

Angus otworzył usta, jakby chciał coś odpowiedzieć, ale mężczyzna już odwrócił się na pięcie i wyszedł z pubu, zostawiając za sobą ciężką ciszę.

Gdy drzwi zamknęły się za tajemniczym mężczyzną, Angus spojrzał na Pratesha.

– Kim, do diabła, był ten gość? – zapytał, wskazując kciukiem w stronę drzwi.

Pratesh wzruszył ramionami, ale w jego oczach błysnęło coś niepokojącego.

– Nie wiem, Angus. Ale wiem, że nie chcę się tego dowiadywać.

Tymczasem mężczyzna w czarnym kapeluszu skręcił w stronę fabryki. W jego oczach pojawiła się determinacja, a jego krok nabrał nowej pewności. Rozmowa z „Mechanic” była teraz jego priorytetem.

## Rozdział 2: *Ślady przeszłości*

Jan skończył wiązać ostatnią belę wełny na wózku, zerkając na zegar wiszący na ścianie magazynu. Było już wpół do szóstej. Jak w każdy czwartek, dzień w fabryce kończył się szybciej. Zmiana dobiegła końca, a wraz z nią kolejny dzień w fabryce D Ballantyne Brothers & Co. Ltd. Rozmasował kark, czując ciężar pracy fizycznej, której nigdy nie zamierzał wykonywać na stałe. Wrócił do marzeń sprzed wojny.

W 1938 roku Jan dostał się na studia Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego na Uniwersytecie Warszawskim. Do dzisiaj był wdzięczny sołtysowi Kochuzikowi za pożyczkę na wpisowe. To małe Gumino pod Warszawą, jego małe domki kryte strzechą. Klepisko za drogę. Układane z kamieni polnych płyty. Piękne dzieciństwo. Sołtys handlował gumą. Jedyna osoba, która miała dość pieniędzy, aby pożyczyć na wpisowe. Temu małemu hultajowi od Kowalewskich, co zawsze wścibiał nosa. Ale magister Rektor zalecał, że takiego talentu dawno na wsi nie było. A co z zapłatą za całość? Ot rząd oferował 10 lat odroczenia, a może jakoweś stypendium się trafi?

– Jan, masz chwilę? – głos Daniela Ballantyne’a wyrwał go z zamyślenia. Właściciel fabryki stał w progu biura, ubrany w

elegancki tweedowy garnitur, jak zwykle wyglądając, jakby kontrolował wszystko i wszystkich. Janowi zajęło chwilę zrozumienie słów szefa. Ale postawą zapraszał na rozmowę.

Jan odwrócił się i skinął głową. – Tak, panie Ballantyne. Coś się stało? – Jan wydukał jedną z wyuczonych formułek, koślawiąc przy tym akcent, tworząc jakąś polsko-szkocką nowomowę.

Do tego Daniel był przyzwyczajony, chrząknął głośno, doceniając próbę dobrych manier i zaprosił go ruchem ręki do biura. Gdy zamknął drzwi, spojrzął na Jana z wyrazem, którego ten nie potrafił odczytać – coś pomiędzy zmartwieniem a ciekawością.

– Nie chcę cię niepokoić, Jan, ale dzisiaj w fabryce ktoś pytał o ciebie. Policja.

Jan poczuł jak pali się ze wstydu, jako że zrozumiał tylko połowę przekazu. Nastąpiła chwila bardzo niewygodnej ciszy, po której odważył się.

– Czy mógłby pan powtórzyć? – ponownie wyuczona u hrabiny formuła pomogła troszkę rozładować sytuację.

– Ktoś ... pytał ... o ... Ciebie. Policja. – odparł ze stoickim spokojem Daniel, przyzwyczajony do tych wymian. A zarazem trochę szczęśliwszy, że chłopak robił postępy w nauce języka.

Jan poczuł, jak serce przyspiesza. – Policja? Co chcieli? – wymusknęło się mu jak z automatu, z całkiem znośnym akcentem, ale bardzo emocjonalnie.

Daniel westchnął i oparł się o biurko. Starając się mówić wolno, nie używając skomplikowanych wyrazów. Zastępując swój edynburski akcent czymś przypominającym jankeski – Nie wiem dokładnie. Wspomnieli coś o twoim dawnym wojskowym przyjacielu, Stash Mathushakee. – Daniel poległ tym razem na wymowie polskich nazwisk. Od zawsze się zastanawiał, kto wymyślił te dźwięki. Od rozmyślań odciągnęło go pytanie Jana.

– A co pan im powiedział? – Płynniej już odpowiedział Jan. Próbował zabrzmieć obojętnie, ale jego głos lekko drżał. Mięsień angielskiego już się trochę w jego głowie rozluźnił. Pomagało też bardzo, że czuł sympatię od srogiego właściciela fabryki. Nie było w tym nic dziwnego. Wszyscy wiedzieli, że młodego Ballantyne, Georga, brata Daniela, z ognia walki pod Falais wyciągnął na swoich plecach młody kapral Mariusz Stopski. Dlatego Daniel pomagał Polakom, gdzie mógł. Chociaż niewielu ich chciało osiadać w Scottish Borders.

– Powiedziałem prawdę. Że widuję cię codziennie w pracy i że nie interesuję się, co robisz po godzinach. – Daniel dodał ze spokojem. Mówiąc powoli, z wprawą, mając na uwadze możliwości Jana. I pomyślał, że nie wspominałem też jak się poznaliśmy. A były to ciekawe okoliczności.

– Ale Jan – Daniel spojrzał na niego poważnie i powoli dodał – jeśli coś cię goni z przeszłości, radzę ci być ostrożnym.

Jan skinął głową, wiedząc, że dalsza rozmowa nie przyniesie niczego dobrego. – Dziękuję za ostrzeżenie, panie Ballantyne. Będę uważał. – Był wdzięczny za ostrzeżenie. Nie wiedział

tylko co z tym jeszcze zrobić. Chociaż to nie mógł być przypadek. Sprawa Anny zaczęła wyglądać coraz bardziej skomplikowaną.

Skinął głową Danielowi. Odczekał chwilę. Daniel nie dodał już nic więcej, usiadł do papierów i ruchem ręki dał do zrozumienia Janowi, że rozmowa się zakończyła. Gdy wychodził przeleciała mu przez głowę myśl. Dlaczego policjant nie porozmawiał z nim? Wstrząsnął głową i odłożył ten problem na później.

W drodze do domu Jan mijął grupę swoich kolegów z fabryki, którzy jak zwykle gromadzili się w pubie Pratesha. Stali przy wejściu, z kuflami piwa w dłoniach, głośno śmiejąc się z jakiegoś dowcipu. Nie miał ochoty na piwo ani na rozmowy, ale widok ich bez troskiej zabawy przypomniał mu coś z dawnych czasów. Jan uśmiechnął się pod nosem, choć nie zatrzymał się, by do nich dołączyć.

—

Piękny poranek i popołudnie zaczęło zmieniać się w zachmurzone, typowe dla wysp, szarawe niebo. Szło na deszcz lub mżawkę. Jan szedł wąskimi uliczkami Peebles, które o tej porze dnia wciąż tętniły życiem. Skręcając w stronę High Street, poczuł delikatny zapach słodczy unoszący się z pobliskiej cukierni. Przypomniały mu się opowieści o Pani Ruickbie, kobiecie, która podobno wymyśliła legendarny „Peebles toffee” – słodczyce o niepowtarzalnej teksturze i smaku. W dzieciństwie, choć nigdy ich nie próbował, marzył o podobnych cukierkach, jakie kupowała jego babcia – tradycyjnych landrynkach lub delikatnych miętowych

pastylkach. Jednak to, co naprawdę chciałby wtedy zjeść, było zakazane – szokujące dla tamtych czasów „gobstoppery” czy gumę balonową.

Przechodząc obok jednego z rzeźników na High Street, zwolnił kroku. Sinclair’s, ze swoimi charakterystycznymi kafelkami przedstawiającymi bydło, przypomniało mu święta w Szkocji – dekoracje z wiszącymi bażantami i gęsiami w witrynie zawsze wzbudzały w nim mieszankę fascynacji i niepokoju. Widział kiedyś, jak dzieci przyglądały się maszynie do mielenia mięsa z równą ciekawością, z jaką jego dawni koledzy wojskowi oglądali Wojtka, misia-żołnierza, który w czasie wojny towarzyszył im na froncie.

Mijając Eastgate, mimowolnie zwrócił uwagę na szyld sklepu z haftami, o którym kiedyś opowiadał mu Angus. „Art of Needlework Repository” – nazwa była tak elegancka, że Jan zawsze uważał ją za nieco przesadzoną. Nigdy tam nie zajrzał, choć kiedyś usłyszał od Angusa, że wewnątrz można było znaleźć włóczki i materiały do szycia, układane w intrygujące, romboidalne półki.

Jan uśmiechnął się pod nosem. Zamyślony nie zauważył czarnego kapelusza poruszającego się za nim w bezpiecznej odległości.

Gdy Jan dotarł do domu hrabiny Teresy Łubieńskiej, człowiek w czarnym kapeluszu oparł się o czarnego Austin A40 Devon po drugiej stronie ulicy. Śledził Jana aż od fabryki. Jakby nigdy nic, odwrócił się plecami i zapalił papierosa. Blackbird, bo był to on, zaczął obserwować ruchy Jana w oknach domu naprzeciw niego.

Jan zapukał do drzwi w małym, prywatnym domku koło Drill Hall. Otworzyła mu starsza kobieta. Hrabina Teresa Łubieńska była kobietą, której obecność trudno było zignorować. Nawet w prostym ubraniu – najczęściej w skromnej sukience w ciemnych barwach i narzuconym na ramiona szalu – promieniowała pewnością siebie i wewnętrzną siłą, która brała się z jej burzliwej przeszłości. Jej drobna postać nie zdradzała od razu, przez co przeszła, ale iskry w jej oczach mówiły więcej.

Miała około pięćdziesięciu lat, choć wyglądała młodziej – może dzięki tej iskrze życia, która w niej wciąż płonęła. W jej oczach, ciemnych jak noc, widać było zarówno głęboką mądrość, jak i cień nieustannego lęku. Iskrzyły, gdy wspominała dawne czasy w Armii Krajowej, gdzie działała pod pseudonimem "33". Była legendą w swoim środowisku – jednym z niewielu ludzi, którzy przeżyli zarówno okupację, jak i nieustanną presję konspiracji.

Jej dłonie były drobne, ale silne. Choć ich delikatna skóra zdradzała lata, widać było, że niejednokrotnie używały broni i układały podziemne ulotki. Zawsze nosiła pierścionek z niewielkim szmaragdem – jedyną pamiątkę po domu rodzinnym, który zniknął podczas wojny.

Hrabina była niezwykle ostrożna. Nawet tutaj, w spokojnym Peebles, wciąż miała oczy dookoła głowy. Gdy ktoś pukał do drzwi, najpierw cicho sprawdzała, kto to, przez małą szczelinę w oknie. Jan pamiętał, jak powiedziała mu kiedyś:

– Nigdy nie zakładaj, że jesteś bezpieczny, nawet gdy wydaje ci się, że wróg jest daleko. Oni zawsze patrzą. Zawsze słuchają.

Życie nauczyło ją, że ostrożność to nie paranoja, lecz konieczność. Nawet podczas lekcji angielskiego mówiła z wyczuwalną ostrożnością, jakby każde słowo mogło być zapamiętane i użyte przeciwko niej. Nigdy nie podawała pełnych szczegółów swojej przeszłości. Wspominała tylko migawki – jak to, że przemycała meldunki ukryte w bucie, albo że musiała ukrywać się w podłogach domów.

A jednak, mimo tej ostrożności, Teresa wciąż miała w sobie życie. Uwielbiała uczyć, tłumaczyć gramatyczne zawiłości angielskiego, a nawet żartować.

– Angielski jest jak wojna, – powiedziała kiedyś Janowi z łobuzerskim uśmiechem. – Musisz wiedzieć, jak przechytryć wroga. W tym przypadku – zasady językowe.

Czasem, gdy była w dobrym humorze, siadała przy fortepianie, który stał w salonie, i grała ciche melodie z czasów swojej młodości. Wtedy jej twarz łagodniała, a ciężar przeszłości wydawał się na chwilę zniknąć.

Ale nigdy na długo. Kiedy tylko kończyła grać, znów wracała do swojej ostrożnej natury, sprawdzając zamki w drzwiach lub patrząc przez ramię, jakby spodziewała się, że ktoś ją śledzi. Wiele przeszła, ale to, że nadal żyła, mówiło więcej o jej sile, niż jakakolwiek opowieść. Była jak stary żołnierz – zawsze gotowa na kolejną bitwę, choć w głębi duszy pragnęła już tylko spokoju. I zawsze miała miękkie serce do byłych żołnierzy. Zwłaszcza tych od Sosaba.

Te wszystkie wspomnienia przemknęły Janowi przez głowę, gdy za powitalnym uśmiechem pani domu, przekroczył próg.

Miejsce to, choć proste i skromne, emanowało spokojem. Jan zawsze czuł się tu mile widziany, a lekcje angielskiego, które prowadziła hrabina, były dla niego nie tylko okazją do nauki, ale też ucieczką od ciężaru codzienności.

Hrabina Teresa Łubieńska ruszyła do swojego małego biurka, na którym leżał otwarty zeszyt Jana, kilka książek do nauki angielskiego oraz jej ulubiony kubek herbaty. Na ścianie za nią wisiał obraz przedstawiający sielski polski pejzaż – prawdopodobnie ostatni przedmiot, który zabrała ze swojego domu przed ucieczką z Polski.

– Panie Janie – powiedziała, unosząc delikatnie podbródek – w angielskim kluczowe jest, by nie brzmieć, jakby pan zebrał o każdą literę. Język ten, jak ich maniery, jest chłodny, oszczędny i... – tu zrobiła pauzę, uśmiechając się lekko – zaskakująco wyrachowany.

Jan był właśnie na klęczkach. Wyciągał swój zeszyt do nauki i ołówek ze starej komody hrabiny. Był to tak zwany Old Charm Aldeburgh. Pięknie zdobiony, z odlewanyymi, żeliwnymi rączkami do dwóch szuflad i drzwiczek od szafki. Widział już swoje lepsze czasy. Drzwiczki trzeba było otwierać z szacunkiem, ale też i stanowczością. Jako, że drewno już ze starości spęczniało. Spojrzał na hrabinę z lekko uniesioną brwią. – To znaczy?

Hrabina Teresa przewróciła oczami, jakby musiała wytłumaczyć coś oczywistego. – To znaczy, że jeśli chce pan być uprzejmy, proszę zapamiętać magiczne słowa. "Please",

"thank you", "excuse me". Niech pan zapomni o polskiej prostolinijności. Tutaj każde zdanie ma brzmieć, jakby niósł pan filiżankę herbaty przez minowe pole.

Jan zaśmiał się cicho. – Czyli „Anglik mówi jedno, myśli drugie, a robi trzecie”, tak?

– Dokładnie tak, chociaż niekoniecznie Szkot – hrabina uśmiechnęła się złośliwie. Wskazując na fakt, że na stałe mieszka w Londynie. I mimo wszystko Szkotów polubiła podczas tego krótkiego pobytu na północy – Ale proszę pamiętać, że sztuka konspiracji w tym przypadku jest bardzo podobna. Panie Janie, czyż nie uczyliśmy się podczas wojny mówić jedno, a myśleć drugie?

Jan skinął głową. – Ale teraz zamiast meldunku muszę ukrywać chęć kopnięcia Anglika, który trzeci raz zapyta mnie, skąd naprawdę jestem.

Hrabina roześmiała się – ten rzadki, serdeczny uśmiech rozświetlił jej twarz. – O, to prawda. Chociaż czasem lepiej odpowiedzieć, że pan z Walii, jeśli chce pan uniknąć dalszych pytań. Zawsze działa.

Jan zapisał coś w zeszycie, ale hrabina Teresa przerwała mu, stukając paznokciem w blat stołu.

– A teraz sposób na przełamywanie lodów w rozmowie. Proszę powtórzyć: „Lovely weather we’re having today.”

Jan spojrzął za okno na szarobury pejzaż, z którego sączyła się mżawka. – Ale to przecież nieprawda.

– Proszę nie mylić grzeczności z faktami, panie Janie – odparła Teresa z uśmiechem. – Proszę spróbować.

Jan westchnął i powtórzył z grymasem: – Lovely weather we're having today.

– Lepiej, ale proszę pamiętać, że trzeba to powiedzieć z takim entuzjazmem, jakby pan dostał na święta kartki żywnościowe, a nie odmowę udziału w paradzie zwycięstwa.

Jan zaśmiał się krótko. Pomyślał, że wykorzysta lekką atmosferę, aby zasięgnąć rady hrabiny. – Pani hrabino. Dzisiaj zdarzyła mi się niezwykła historia ...

Ale zanim hrabina zdążyła coś odpowiedzieć, ciszę przerwało nagle, rytmiczne pukanie do drzwi.

Hrabina natychmiast spoważniała. Jej uśmiech zniknął, a spojrzenie stało się ostre.

—

– Nie spodziewałam się innych gości – powiedziała hrabina. Jej głos zabrzmiał bardzo poważnie, a twarz zdradzała napięcie. – Jaśku, czy mógłbyś sprawdzić kto to? – dodała, powoli przesuwając się w stronę swojej sypialni, do której drzwi były obecnie zamknięte.

Jan był w szoku. Po pierwsze nie rozumiał, aż takiej reakcji hrabiny. Po drugie, pierwszy raz w ich trzytygodniowej znajomości nie nazwała go panem Janem. A zdrobnieniem jego imienia. Zaniemówił i zamarł.

Rytmiczne, natrętnie i w tonie wesołe pukanie do drzwi powtórzyło się.

– Panie Janie! - rzekła niezwykle dowódczym tonem hrabina. A zarazem tonem, który wykazywał powracające do niej opanowanie. Tonem, który nie nawykł do sprzeciwu.

Jan otrząsnął się i ruszył w stronę drzwi. Spojrzał przez szybę, a tam od razu pomachała mu młoda kobieta. Odwrócił się do hrabiny.

– To jakaś młoda kobieta – powiedział – ale ja jej nie znam.

Hrabina przez chwilę ważyła reakcję. Po czym skinęła głową. Jan otworzył drzwi.

Maggie McAllister była jednym z tych ludzi, którzy nie potrafili stać w miejscu. Gdy coś ich zaintrygowało, nie spoczęli, dopóki nie odkryli prawdy. Kiedy wpadła do mieszkania hrabiny Teresy Łubieńskiej, zrobiła to z impetem, jakby cała energia miasta była w niej skupiona.

– Przepraszam, że tak bez zapowiedzi! – powiedziała Maggie, opierając się na framudze drzwi i patrząc na Jana z odrobiną skruchy w oczach, ale nie ukrywając przy tym swojej determinacji. – W fabryce powiedzieli mi, że tutaj właśnie bierze pan lekcje angielskiego. Myślałam, że trafiłam do odpowiedniego miejsca...

Potok angielskich słów przekroczył możliwości Jana. Spojrzał na nią bezradnie. Na pomoc pospieszyła hrabina. Podeszła do drzwi.

Hrabina Teresa spojrzała na nią chłodnym wzrokiem, ale nie zamknęła drzwi. Maggie była dziennikarką, którą poznała już wcześniej w różnych okolicznościach. Drobna, z ognistym spojrzeniem, nigdy nie wydawała się do końca zadowolona z porażek, które spotykały jej śledztwa. Tak jak jej matka. Dobromiła z domu Boguszyńska. Która wyszła za mąż za attache kulturalnego angielskiej ambasady w Warszawie. Iana McAllistera. Nie widziały się dobre pół roku. Cóż robiła ta młoda londyńska dziennikarka właśnie tutaj?

– Tak, to prawda, pan Jan bierze lekcje – odparła spokojnie po angielsku hrabina, starając się nie zdradzić żadnych emocji. – A teraz, panno Maggie, co panna tutaj robi?

Maggie, nie czekając na zaproszenie, weszła do środka. Od razu poczuła się nieco bardziej komfortowo w tym cichym mieszkaniu. Hrabina zamknęła za nią drzwi. Po czym razem z Janem ruszyli za Maggie.

– Rozmawiałam z Anną Chmielewską dwa dni temu – zaczęła szybko, jakby chciała wyjaśnić wszystko na raz. – Na początku traktowałam to jak jedno z tysiąca nieszczęśliwych zdarzeń. Ale teraz wiem, że to nie jest zwykła historia. I do kogo ona zwraca się po pomoc? To *on* – ten Jan. No niesamowite! Coś musi w tym być.

Jan usłyszał i zrozumiał, że mowa jest o nim. Ale nie nadążał za prędko wypowiedzanymi po angielsku słowami.

Hrabina zmarszczyła brwi. – O czym panna mówi? – zapytała, niechętna do zbyt wczesnych wniosków.

Maggie wyciągnęła z torebki kilka notatek, które wręczyła Teresie. Na jednym z papierów znajdowały się nazwiska osób, które Maggie rozpytywała.

– Pozwoli pani, że wytłumaczę to wszystko mojemu uczniowi?  
– powiedziała nieskazitelnym, królewskim angielskim hrabina. Tonem znanym Janowi. Tonem, który teraz wykazywał dużo irytacji. Aczkolwiek widać było po hrabinie, że zaczęła się rozluźniać.

– Oczywiście – natychmiast odparła Maggie. Nagle jakby przystanęła. Błysk zrozumienia przeleciał przez jej twarz. – Postaram się także mówić wolniej i wyraźniej.

Hrabina skinęła głową i wyjaśniła sytuację Janowi. Zanim zdążył zareagować, Maggie ciągnęła już wywód dalej. Zdecydowanie wolniej i wyraźniej. Po Polsku.

– Na tej liście są różne osoby. Niektóre są powiązane ze światem przestępczym. – mówiła z rosnącym przekonaniem. – Mówią, że po wojnie zwerbowano do tego przedsięwzięcia nie tylko przestępców, ale i byłych żołnierzy. Piotr jest częścią tego świata. I jeśli to prawda, to sprawa, którą bada pan Jan, ma głębsze korzenie.

– Ja jeszcze nie badam żadnej sprawy – zaprzeczył Jan. W końcu nadganiając tę część rozmowy. Nadal pozostając w szoku po płynnym przejściu zdawało się rodowitej Angielki na czyściutki język Polski – zgodziłem się jedynie zapytać, czy ktoś tutaj słyszał o bracie Anny? Skąd tak dobrze zna pani Polski?

Maggie spojrzała na Jana z mieszkanką determinacji i lekkiego zniecierpliwienia, jakby jego brak entuzjazmu wobec jej rewelacji ją irytował, ale zarazem intrygował. Złożyła ręce na piersi i odetchnęła głęboko, starając się zachować cierpliwość. W sprawach sensacji była specjalistką. A ta sprawa wyglądała na taką, która sprzeda wiele gazet. Widząc siebie w glorii wielkiej pisarki, spróbowała nacisnąć.

– Panie Janie – zaczęła, tym razem tonem wolniejszym, bardziej kontrolowanym – nie chcę być niegrzeczna, ale jeśli pan myśli, że to tylko sprawa zaginionego brata, to się pan bardzo myli. A języka uczyła mnie mama. Nie pańska sprawa.

Jan zmarszczył brwi. Czuł się nieswojo, gdy Maggie patrzyła na niego w taki sposób – jak na kogoś, kto nie dostrzega oczywistego obrazu. Zdecydował się odpuścić pytania o język.

– Powiedziałem Annie, że tylko zapytam, czy ktoś coś wie – powtórzył, mocniej akcentując swoje słowa, jakby chciał zakończyć tę rozmowę, zanim zdąży się skomplikować. – To wszystko.

Maggie jednak nie zamierzała odpuścić. Nachyliła się lekko w jego stronę, jakby próbowała nawiązać z nim bardziej osobisty kontakt.

– A co, jeśli pana pytania sprawiają, że ktoś się zaniepokoi? – spytała z wyraźnym naciskiem. – Co, jeśli ludzie, którzy chcą, żeby ten chłopak zniknął, uznają, że pan jest problemem?

Hrabina, stojąc nieco na uboczu, zerknęła na Maggie z subtelnym uniesieniem brwi.

– To trochę przesadzone, panno McAllister – wtrąciła z chłodnym spokojem. – Pan Jan nie ma jeszcze żadnych informacji, więc trudno mówić o problemach.

Maggie spojrzała na hrabinę, potem znów na Jana, jej ton stał się bardziej ugodowy, choć nadal tliło się w nim napięcie.

– Słuchajcie – zaczęła, spoglądając na Jana – ja nie chcę nikogo osaczać. Rozmawiałam z Anną, z początku zbyłam tę historię, bo wydawała się typowa. Ale potem dotarłam do swoich źródeł. I wiecie, co znalazłam? Powiązania między niektórymi ludźmi polityki, gangami i... byłymi żołnierzami. To nie są przypadki, panie Janie.

Jan przez chwilę nie odpowiadał, tylko patrzył na Maggie z niezrozumieniem. Jej słowa powoli układały się w jego głowie, ale ciągle nie wiedział, czy powinien traktować ją poważnie, czy raczej odprawić za drzwi.

– I co pani z tym wszystkim zrobi? – zapytał w końcu, jego głos był chłodny, prawie wyzywający.

Maggie uśmiechnęła się lekko, ale jej spojrzenie pozostało ostre.

– Mogę pomóc. Mam kontakty, mogę dotrzeć do ludzi, do których pan nie ma dostępu. W zamian... – urwała na moment, jakby oceniała jego reakcję – w zamian chciałabym wyłączny materiał do artykułu.

Jan parsknął cicho pod nosem. – Artykuł? Pani McAllister, tu nie ma nic do pisania. Nie jestem bohaterem, nie ma tu żadnej sprawy.

Maggie uniosła ręce w geście obronnym.

– Nie chodzi o to, żeby zrobić z pana bohatera. Ale jeśli to, co mówię, jest prawdą, to ludzie powinni o tym wiedzieć. Tylko razem możemy coś odkryć.

Jan pokręcił głową. – Nie chcę pani pomocy.

Hrabina, dotychczas milcząca, spojrzała na Jana z wyraźnym zamyśleniem.

– Janie, panna McAllister może mieć swoje intencje, ale wygląda na to, że wie, o czym mówi – powiedziała spokojnie.

– Może warto przemyśleć, czy to nie jest jednak korzystne.

Jan zgrzytnął zębami, wciąż czując, że ta sytuacja wymyka się spod jego kontroli. Spojrzał na Maggie, która nie spuszczała z niego wzroku, jej determinacja zdawała się niemal namacalna.

– Nie ufam dziennikarzom – rzucił w końcu, twardo.

Maggie tylko uśmiechnęła się szerzej.

– A ja nie ufam ludziom, którzy nie chcą pomocy, kiedy jej potrzebują – odpowiedziała z lekkim złośliwym błyskiem w oku.

Między nimi zapanowała cisza pełna napięcia, jakby oboje czekali, kto pierwszy ustąpi. W końcu Jan odwrócił się do hrabiny.

– Chyba skończymy lekcję wcześniej, pani hrabino – powiedział, próbując zakończyć rozmowę.

Ale Maggie nie wyglądała, jakby zamierzała tak łatwo się poddać. Patrzyła na niego z wyraźnym wyzwaniem, jakby ta rozmowa dopiero się zaczynała. Maggie skrzyżowała ramiona, nie spuszczać wzroku z Jana. W jej spojrzeniu pojawiła się mieszanka zadowolenia z własnych informacji i lekkiego wyrzutu, jakby nie mogła uwierzyć, że musi przypominać mu coś tak istotnego.

– A co z Irvine? – zapytała nagle, przerywając ciszę.

Jan zamarł. Na moment jego twarz stężała, jakby chciał coś ukryć, ale Maggie zauważyła to niemal od razu.

– Co z Irvine? – odparł chłodno, choć w jego głosie było więcej zmęczenia niż wrogości.

Maggie westchnęła, jakby rozmawiała z dzieckiem.

– To proste – zaczęła. – Młody polski żołnierz zostaje dotkliwie pobity. Policja dostaje zgłoszenie, że sprawcą jest inny Polak. Nagle sprawa zostaje zamknięta, bo „to tylko wewnętrzne porachunki emigrantów”. Wygodne, prawda? – Jej głos był ostry, ale kontrolowany.

Jan zacisnął szczękę. – Nie wiem, co pani chce przez to powiedzieć.

Maggie uniosła brew, a jej ton stał się bardziej intensywny.

– Słyszałam, że pan tam był, panie Janie. Że pan się wtrącił. Że próbował pan ustalić, co naprawdę się stało. I że to dzięki panu wiele osób zaczęło wątpić w tę „wygodną” wersję policji.

Hrabina Teresa spojrzała na Maggie z lekkim zainteresowaniem, ale nie powiedziała ani słowa. Jej wzrok przeszedł na Jana, który wyglądał, jakby chciał uciec z pokoju.

– To nie było tak proste – mruknął w końcu Jan, unikając spojrzenia Maggie. – Policja nie chciała mnie słuchać. Mieli swoją wersję wydarzeń i nie zamierzali jej zmieniać. Tam były duże zamieszki.

– Dlaczego? – naciskała Maggie, pochylając się lekko w jego stronę. – Bo łatwiej było im udawać, że to Polacy rozwiązują swoje sprawy pięściami?

Jan uderzył dłonią w stół, a jego głos nagle podniósł się o oktawę.

– Bo ich to nie obchodziło! – wybuchnął. – Bo to była sprawa, która nie pasowała do ich papierów. Bo my dla nich jesteśmy tylko „emigrantami”. Niczym więcej.

Hrabina drgnęła lekko, ale nie wtrąciła się, pozwalając Janowi mówić dalej.

– Sprawdziłem fakty – kontynuował Jan, tym razem ciszej, ale z wyraźnym żalem w głosie. – Ten młody chłopak, Michał... On nawet nie wiedział, dlaczego został pobity. Był przypadkową ofiarą. I ten drugi... – urwał, jakby próbował sobie przypomnieć. – Józef. On nie zrobił tego, co im zarzucano. Ale policja? Nie chcieli słuchać. Dla nich liczyło się tylko to, że mają gotową historię.

Maggie patrzyła na niego uważnie, jej oczy wypełnione były mieszaniną współczucia i podziwu.

– A jednak wielu ludzi w tamtej sprawie mówiło, że pan był jedynym, któremu można było zaufać. Że pan próbował pomóc, mimo wszystko.

Jan pokręcił głową, wbijając wzrok w podłogę. – Nie pomogłem. Ta sprawa skończyła się tak, jak chcieli. Nie znałem też wystarczająco angielskiego. Józef... trafił za kratki.

Maggie zbliżyła się do niego i położyła rękę na stole, próbując złapać jego uwagę.

– Właśnie dlatego chcę napisać ten artykuł, panie Janie. Ludzie muszą wiedzieć, że takie rzeczy się dzieją. Że są ludzie, którzy chcą pomóc, ale system... system ich ucisza. A z angielskim mogę pomóc. Byłaby to bardzo owocna współpraca.

Jan spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– A pani myśli, że pani artykuł coś zmieni? Że ludzie nagle zaczną się przejmować?

Maggie wzruszyła ramionami, a jej głos stał się bardziej łagodny.

– Może nie od razu. Ale każda historia ma znaczenie, panie Janie. A ta może pomóc komuś innemu, komuś, kto potrzebuje wiedzieć, że jest ktoś, komu zależy.

Jan westchnął, ale nie powiedział nic więcej. W pokoju zapanowała cisza, przerywana jedynie cichym tykaniem zegara. W końcu hrabina Teresa, która do tej pory milczała, odezwała się cicho, lecz stanowczo.

– Panie Janie, może nie wszystko da się zmienić, ale czasem warto próbować. Nawet jeśli tylko dla własnego sumienia.

Jan spojrział na hrabinę, a potem znów na Maggie. Maggie, widząc, że Jan jest na krawędzi podjęcia decyzji, postanowiła zagrać ostatnią kartę. Jej ton stał się bardziej delikatny, niemal współczujący, ale w oczach wciąż tliła się determinacja.

– Panie Janie, jest jeszcze coś, o czym powinnam była powiedzieć na początku – zaczęła, a jej głos lekko zdrzął. – Piotr Chmielewski... to syn Pawła „Boryły” Boryłskiego.

Jan znieruchomiał. To nazwisko uderzyło w niego jak młot. Przez chwilę Maggie miała wrażenie, że nawet przestał oddychać.

– Powtórz pani – powiedział cicho, prawie szeptem, jakby nie dowierzał własnym uszom.

– Paweł „Boryła” Boryłski – powtórzyła Maggie, patrząc mu prosto w oczy. – Był żołnierzem. Spadochroniarzem. Słyszałam, że brał udział w Market-Garden i tam zginął. Może go pan znał?

Jan spuścił wzrok, a jego dłonie zacisnęły się na krawędzi stołu. W jego głowie powróciły obrazy z dzisiejszego koszmaru i tamtej strasznej nocy – cienie, eksplozja, odznaka z orłem, która błysnęła w unoszącym się pyłe. Granat. Tomasz. Boryła.

– Znałem go – powiedział po dłuższej chwili, głosem pełnym bólu, jakby każde słowo było wrywane z jego duszy. – Paweł

był... jednym z nas. Jednym z najlepszych. Zginął... od granatu.

Hrabina Teresa spojrzała na Jana z troską, ale nie przerywała. Maggie natomiast nie spuszczała z niego wzroku, jakby próbowała zrozumieć, co działo się w jego głowie.

– To dlatego Anna przyszła do pana – kontynuowała Maggie, jej głos łagodny, ale zdecydowany. – Bo Piotr to syn człowieka, który walczył obok pana. To przeznaczenie. Chociaż ona nie wie, że pan znał jej ojca.

Jan wciąż patrzył na stół, jakby próbował poukładać myśli. Przez chwilę w pokoju panowała cisza, przerywana jedynie tykaniem zegara. W końcu podniósł wzrok i spojrzał na Maggie.

– A pani? Dlaczego tak pani na tym zależy? – zapytał, a w jego głosie była mieszanka gniewu i zmęczenia.

Maggie westchnęła, a jej spojrzenie złagodniało.

– Bo wiem, jak to jest, gdy system zawodzi ludzi. Gdy zostawia ich samych, żeby się pożarli między sobą. Piotr może być tylko kolejnym przypadkiem dla policji, ale dla mnie to historia. Historia, którą mogę opowiedzieć, żeby coś zmienić. I może przy okazji pomóc mu wrócić do domu.

Jan milczał przez chwilę, analizując jej słowa. W końcu odwrócił wzrok, jakby podejmowanie decyzji było dla niego zbyt trudne.

– Muszę się zastanowić – po dłuższej chwili milczenia odpowiedział Jan, spoglądając na Maggie z mieszkanką znużenia i niechęci. Jego głos był spokojny, ale dało się w nim wyczuć ciężar wydarzeń tego dnia. – Jutro mam wolne, gdzie się pani zatrzymuje?

Maggie uniosła brwi, jakby to pytanie zupełnie ją zaskoczyło.

– Och, nie myślałam o tym – odrzekła lekko, jakby całkowicie zignorowała napięcie w pokoju. Potem spojrzała na hrabinę z błyskiem w oku. – Tereso, czy mogłabym zatrzymać się u Ciebie?

Jan, który właśnie zaczął zapinać guziki swojego płaszcza, drgnął, słysząc jej pytanie. Było coś niemal brutalnie bezpośredniego w tonie Maggie, co przypominało mu o jej nieustępliwej naturze. Zerknął na hrabinę, gotów zobaczyć błysk gniewu na jej twarzy, ale zamiast tego zauważył coś innego – subtelny cień zainteresowania.

– Dajmy panu Janowi czas, panno Maggie – powiedziała Teresa, jej głos był opanowany, choć w oczach widać było odrobinę rozbawienia. – Tak, możesz się u mnie zatrzymać, przez wzgląd na twoją matkę.

Jan kiwnął głową w podziękowaniu, choć nie odezwał się ani słowem. Zapiął ostatni guzik płaszcza, poprawił kołnierz i spojrzał na obie kobiety.

– Dobranoc – rzucił sucho, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi. Każdy jego krok odbijał się cicho w małym salonie hrabiny, ale w jego głowie dźwięczały słowa, które dzisiaj usłyszał – o Piotrze, o hrabinie, o sobie samym.

Gdy zamykał drzwi za sobą, usłyszał cichy śmiech Maggie, a potem jak hrabina mówi coś spokojnym, lecz stanowczym tonem. Nie obrócił się jednak. Nocne powietrze uderzyło go chłodem, gdy zszedł po kamiennych schodach. Było późno, ale Jan nie czuł zmęczenia – tylko coraz większy ciężar decyzji, które musiał podjąć.

Przyspieszył kroku, jakby próbując uciec przed myślami, które nie dawały mu spokoju. Nie był jeszcze do końca przekonany. Nie wiedział jaką podejmie decyzję. Obrazy i sytuacje z tego dnia nadal wirowały mu w głowie. Uszedł może z dwa zakręty. Zamyślony nie zauważył szybko podjeżdżającego samochodu marki Austin. Usłyszał pisk opon, poczuł uderzenie w potylicę i stracił przytomność.

—

Blackbird stał na skraju ulicy, w cieniu drzewa, zaciskając pięści. Jego czarny kapelusz był przekrzywiony, a połowa papierosa, którego trzymał w dłoni, rozpadła się na chodnik, gdy zęby mocno zacisnęły mu się na końcówce ustnika. Samochód, który chwilę temu z piskiem opon oddalił się z Peebles, zniknął za zakrętem, a Blackbird poczuł, jak znajoma fala wściekłości uderza w niego niczym porywisty sztorm. Przyzwyczał się do śledzenia Kowalewskiego z precyzją myśliwego, zawsze w bezpiecznej odległości, z cieniem subtelności, na którą pozwalała jego praca. A teraz? Teraz ktoś inny wkroczył na jego teren, złamał reguły i, co gorsza, uprzedził go.

Rzucił papierosa na bruk i zmiażdżył go obcasem z taką siłą, że wydawało się, jakby chciał go zetrzeć na pył. Nerwowo

poprawił połę płaszcza, które podwinęły się podczas tego wybuchu gniewu. Oczy, dotychczas spokojne i chłodne, teraz płonęły dzikim blaskiem, jak u wilka, któremu odebrano zdobycz. W jego głowie wirowały myśli – kto mógł to zrobić? Gangsterzy z Edynburga? Ludzie, którzy kręcili się wokół Chmielewskiego? Blackbird nie wiedział, ale czuł rosnącą w nim złość, zmieszaną z czymś, czego rzadko doświadczał – frustracją, że przez moment stracił kontrolę. Zaciągnął się jeszcze raz głęboko, choć dymu już nie było, i obrócił się gwałtownie na pięcie.

---

Pulsujący ból w potylicy obudził Jana. Powoli otworzył oczy, czując szorstki sznur wżynający się w nadgarstki. Ciemność w pomieszczeniu była niemal namacalna. Jan czuł chłód przenikający przez wilgotne ściany, z których miejscami odchodziły płyty starego tynku, odsłaniając nierówne cegły. Powietrze było stęchłe, przesiąknięte zapachem pleśni i starego oleju, który najwyraźniej wyciekał z jednej z maszyn stojących w kącie. Pośrodku pomieszczenia, na betonowej podłodze, leżały porzrzucone narzędzia – młotek, zardzewiały klucz francuski i śrubokręt. Nad nimi wisiała samotna żarówka na kablu, ale była wyłączona, pozostawiając pokój w niemal całkowitej ciemności.

Jan, przywiązany do metalowego krzesła, czuł pod sobą zimną, chropowatą powierzchnię, która wpijała się w jego plecy i nogi. Jego spojrzenie powoli przyzwyczajało się do mroku, pozwalając mu dostrzec inne szczegóły – stertę metalowych części w kącie, porzewiałą beczkę i wąskie okienko przy suficie, przez które wpadały słabe promienie

latarni ulicznej. Miał wrażenie, że to miejsce od dawna nie widziało nikogo poza szczurami i pajęczakami, które z pewnością miały tu swój raj.

Z sufitu co jakiś czas spadały krople wody, które rozbijały się o beton z cichym, regularnym pluskiem, niemal wyznaczając rytm jego przyspieszonego oddechu. To opuszczony warsztat – albo coś w tym rodzaju, pomyślał. Miejsce, które wyglądało, jakby zostało zapomniane przez wszystkich...

Z mroku wyłoniła się wysoka, postawna postać. Mężczyzna w prostym płaszczu o wojskowym kroju trzymał w dłoni papierosa. Zapalił go powoli, a błysk zapalniczki na moment oświetlił jego twarz – surowe rysy, krótko przycięte włosy i zimne, stalowe spojrzenie.

– W końcu się obudziłeś – powiedział mężczyzna głosem spokojnym, choć napiętym. – Plutonowy Kowalewski, jeśli dobrze pamiętam.

Jan zmarszczył brwi.

– Kim pan jest? – zapytał ostro.

Mężczyzna zignorował pytanie. Przesunął się bliżej, a potem powoli wypuścił dym w stronę Jana.

– Od tygodni obserwuję, jak wchodzisz i wychodzisz z mieszkania hrabiny. Powiedz mi, dlaczego ktoś cię śledził, zanim dzisiaj tam dotarłeś?

Jan spojrzał na niego zdezorientowany.

– Śledził? Nie wiem, o czym pan mówi.

Mężczyzna zmrużył oczy, jakby oceniał, czy Jan kłamie.

– Nie wiesz, ale wciążasz ją w coś, co może być śmiertelnie niebezpieczne – powiedział chłodno. – Przyzwyczailem się do twojej obecności przez ostatnie tygodnie. Tolerowałem cię, Kowalewski. Ale teraz przekroczyłeś granicę.

Jan spojrział na niego ostro.

– A co pan wie o hrabinie? – rzucił, próbując wyciągnąć jakiegokolwiek informacje.

Mężczyzna odsunął się o krok i odwrócił wzrok.

– Wiem wystarczająco. Wiem, że ukrywa się tutaj, bo w Polsce wydano na nią wyrok. I wiem, że ktoś taki jak ty, choćby nieświadomie, może sprowadzić na nią niebezpieczeństwo.

Jan poczuł, jak serce przyspiesza.

– Ona nigdy o tym nie wspomniała – powiedział.

Mężczyzna spojrział na niego zimno.

– Bo to nie twoja sprawa. Ani twojej... – Zawahał się przez chwilę. – Dziennikarki.

Jan zmarszczył brwi, starając się zrozumieć, o co chodzi.

– To nie moja dziennikarka. Szuka sensacji w historii Piotra Chmielewskiego, a ja jej nie znam.

Porucznik parsknął z wyraźnym rozbawieniem, choć w jego oczach było coś, co wyrażało jedynie rozdrażnienie.

– Piotr Chmielewski... Kolejny młody głupiec, który wplątał się w coś, czego nie rozumiał. A ty... – Spojrzał na Jana z wyraźnym wyrzutem. – Ty wciągasz hrabinę w tę sprawę, nawet o tym nie wiedząc.

– Nie zamierzam jej skrzywdzić – powiedział Jan, próbując utrzymać spokój w głosie. – Jeśli pan wie, kto mnie śledził, to niech mi pan powie.

Porucznik pokręcił głową.

– To nie ja mam ci mówić, co się dzieje. Ale radzę ci jedno, Kowalewski: trzymaj się z dala od hrabiny. Jeśli naprawdę zależy ci na jej bezpieczeństwie, nie wracaj do jej domu.

– Dlaczego? – Jan spojrzał na niego z narastającą frustracją.

Porucznik nachylił się nad nim, a jego spojrzenie stało się lodowate.

– Bo jeśli coś jej się stanie, to ja będę odpowiedzialny. Przysięgłem jej to. Będę jej bronił do śmierci, nawet jeśli mnie nienawidzi i nie chce widzieć na oczy.

Jan spojrzał na niego, próbując odczytać jego intencje.

– To dlatego mnie pan związał? – zapytał, choć w jego głosie było więcej wyzwania niż strachu.

Porucznik wyprostował się i sięgnął do kieszeni, skąd wyjął niewielki nóż.

– Związałem cię, bo nie wiedziałem, kim jesteś. A teraz...

Przeciął sznury na nadgarstkach Jana, a potem na jego kostkach.

– Teraz lepiej, żebyś się zastanowił, czy naprawdę chcesz w to brnąć. Bo jeśli wrócisz do hrabiny, możesz ściągnąć na nią coś, czego żadne z was nie będzie w stanie zatrzymać.

Jan wstał, masując obolałe nadgarstki. Spojrzał na porucznika z mieszanką gniewu i niepewności.

– Może i pan ma rację. Ale jeśli to prawda, to tym bardziej potrzebuje pomocy – powiedział ostro. – Nie mogę po prostu odejść i udawać, że nic się nie dzieje.

Porucznik pokręcił głową z wyraźnym rozczarowaniem.

– To twoje życie, Kowalewski. Ale pamiętaj moje słowa. – Jego głos stał się cichy, ale pełen groźby. – Jeśli wrócisz do niej, a coś jej się stanie, to ja pierwszy do ciebie przyjdę.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i zniknął w ciemności, pozostawiając Jana samego.

Jan odetchnął głęboko, czując, że jego nogi ledwo utrzymują go w pionie. Myśli kłębiły się w jego głowie. Kim był ten człowiek? Co oznaczał wyrok na hrabinę? I dlaczego ktokolwiek miałby śledzić właśnie jego?

Nie wiedział, co zrobić, ale jedno było pewne: musiał dowiedzieć się prawdy – dla Boryły, dla Anny i może nawet dla siebie. I powoli doszło do niego, że ten gość coś wiedział o Piotrze. A on nie zdążył zadać żadnego pytania.

—

Jan wstał powoli z metalowego krzesła, na którym spędził ostatnią godzinę. Plecy i nogi bolały go od niewygodnej pozycji, a nadgarstki wciąż piekły od szorstkiego sznura. Ruszył w stronę drzwi, które zaskrzypiały głośno, gdy je otworzył. Korytarz za nimi był wąski, oświetlony jedynie słabą poświatą wpadającą przez wysokie, zakurzone okno. Ściany pokryte były odpadającym tynkiem, a pod stopami chrzęściły drobne kamyki. Gdy wszedł na schody prowadzące na poziom ulicy, powietrze zaczęło robić się mniej duszne. Każdy krok odbijał się echem w pustym budynku.

Na zewnątrz powitała go ciemność, przetykana jedynie światłem ulicznych latarni. Było już po 23, a miasto zdawało się spać. Jan rozejrzał się uważnie, ale ulica była opustoszała. Tylko jego oddech i ciche, miarowe kroki przerywały ciszę nocy.

Szereg kamienic z rzadka oświetlonych oknami wydawał się jeszcze bardziej ponury niż zazwyczaj. W oddali usłyszał szczekanie psa i przytłumiony huk zamykanych drzwi. Powietrze było wilgotne i chłodne, jakby zapowiadało powrót mżawki. Jan poprawił kołnierz płaszcza, próbując osłonić się przed zimnem, ale chłód przenikał go głębiej – gdzieś do środka, tam, gdzie tkwiły jego myśli.

Czemu w ogóle pozwolił sobie na wciągnięcie w tę sytuację? W głowie kołatały mu się słowa porucznika: „Jeśli wrócisz do hrabiny, możesz ściągnąć na nią coś, czego żadne z was nie będzie w stanie zatrzymać.” Myślał o hrabinie, która wydawała się tak opanowana, jakby żadne wyroki, o których mówił

porucznik, nie mogły jej dotyczyć. Ale jeśli to wszystko było prawdą? „Czy to naprawdę ma coś wspólnego z Piotrem i Anną?” – zastanawiał się. „A może to wszystko kręci się wokół hrabiny? Wyrok. Ucieczka. Teraz jeszcze Maggie. Kto mnie śledził?” W międzyczasie zaczęło mżyć.

W końcu ruszył dalej, przyspieszając kroku. Kiedy dotarł do swojej ulicy, zauważył znajomy kształt niebieskiej skrzynki pocztowej pod oknem. W mieszkaniu panowała cisza, jak zawsze. Wszedł do środka i zamknął drzwi na dwa spusty, jakby próbując odgrodzić się od wszystkiego, co działo się na zewnątrz.

Zdjął płaszcz i powiesił go na gwoździu wbitym w ścianę, potem usiadł na krawędzi łóżka. Jego spojrzenie zatrzymało się na spadochroniarskim mundurze wiszącym w kącie pokoju. Przetrawił z nim tyle – skoki w nieznane, noce w ukryciu, i ten jeden, ostatni dzień, którego wspomnienia wracały do niego w snach. Jak długo jeszcze przeszłość miała decydować o jego terażniejszości?

Wstał i podszedł do okna. Na zewnątrz ulicę spowijały ciemności, a jedyne światło rzucały latarnie i nieliczne okna. Deszcz wciąż kropił, zostawiając drobne smugi na szybie. Oparł się o parapet, zamknął oczy i próbował zebrać myśli.

„Maggie, Anna, Piotr, Boryła, hrabina, porucznik... Co ja właściwie robię?” – pytał sam siebie, czując ciężar sytuacji, która zaczynała go przerastać. Wszystko wydawało się splecione jak węzeł – zaginiony chłopak, gangi, stare wojenne konflikty, a teraz wyrok na hrabinę. A przecież obiecał sobie, że odsunie się od wszystkiego, co przypominało mu tamte

czasy. Uśmiechnął się do siebie smutno. Chyba obietnica dana Tomaszowi nie odpuści. Nie ważne, jak daleko będzie od niej uciekać.

Zaczął analizować wszystko od początku. Maggie – pojawiła się znikąd, z determinacją, która graniczyła z szaleństwem. Zręczna w słowach, ale nie w pełni szczerą. Czy naprawdę chodziło jej tylko o artykuł? A hrabina? Zawsze wydawała się taka niewzruszona, ale teraz widać było, że coś ją jednak dotknęło. Czy rzeczywiście była w niebezpieczeństwie?

A porucznik? Jego słowa o wyroku nie dawały Janowi spokoju. Dlaczego ktoś miałby szukać hrabiny teraz, po tylu latach? I skąd ten człowiek wiedział o wszystkim, skoro sam wydawał się równie ukryty, co ona?

Jan poczuł, jak napięcie w jego ramionach narasta. Zgasił świecę stojącą na parapecie i przesiadł się na krzesło przy stole. W ciszy słyszał jedynie odległe kapanie deszczu na dachy.

Przez chwilę myślał o Staszku. Warsztat w Galashiels – miejsce, które widniało na kartce od Anny. Czy to tam znajdzie odpowiedzi? Jeśli ktoś mógł rzucić światło na sprawę Piotra i ludzi, którzy śledzili Jana, to był właśnie on.

„Najpierw Staszek” – pomyślał Jan. – „Muszę zrozumieć, co naprawdę się dzieje, zanim zrobię kolejny krok.”

Wstał, otworzył szafę i wyciągnął prostą, wełnianą koszulę i suchą chustkę. Przejrzał kieszenie płaszcza, upewniając się, że ma wszystko – kartkę z adresem warsztatu i stary zegarek na łańcuszku, którego nigdy nie zostawiał w domu.

Podszedł jeszcze raz do okna, spojrzął na ciemność na zewnątrz i pozwolił sobie na chwilę spokoju. Po czym szybko podbiegł do łóżka, klęknął, odsunął obluzowaną deskę. Wyciągnął swojego Visa, nabił nabojami magazynek, przeładował. Położył się na łóżku. W głębi duszy wiedział, że decyzja, którą właśnie podjął, to dopiero początek.

### Rozdział 3: *Stary przyjaciel*

Ktoś wyłączył lampę, która była skierowana wprost na twarz Jana. Siedział na twardym drewnianym krześle w ciasnym pokoju, który śmierdział tytoniem, potem i metalem. Ściany były surowe, ceglane, bez żadnych ozdób. Druga żarówka wisiała pod sufitem. Jej światło migotało, rzucając nieregularne cienie na twarze dwóch mężczyzn w czarnych, niemieckich mundurach, którzy stali naprzeciwko niego.

Jeden z nich, wysoki, chudy, z głęboko osadzonymi oczami, palił papierosa, którego popiół leniwie opadał na podłogę. Drugi był masywniejszy, z kwadratową szczęką i zimnym spojrzeniem, które zdawało się przenikać Jana na wskroś. Na jego czarnym mundurze błyszcząły insygnia, a na ramieniu widniała naszywka z czaszką.

Jan czuł, jak pot spływa mu po skroniach, mieszając się z krwią na czole. Jego mundur spadochroniarza był podarty, lewy rękaw przesiąknięty krwią. W nodze pulsował ból – rana od odłamka granatu, który go trafił. Niemcy zdjęli mu but, a

otwarta rana na łydce zaczęła zasychać, zostawiając brązowe ślady na skórze.

– No więc, *Polsken* – zaczął ten chudy, wypuszczając dym w twarz Jana – z kim jeszcze skakałeś? Ilu was było?

Jan spojrzał na niego spod przymkniętych powiek, ale nie odpowiedział. Słowa brytyjskiego oficera – "Im mniej wiedzą, tym mniej mogą wydobyć" – rozbrzmiewały w jego głowie jak mantra.

Masywny SS-man uśmiechnął się drwiąco, nachylając się do Jana.

– *Bist du taub?* – rzucił po niemiecku, po czym przeszedł na łamaną polszczyznę: – Jesteś głuchy? Może zrobimy ci przysługę i wybijemy ci jeszcze kilka zębów, żebyś nie musiał mówić?

Podniósł rękę i wymierzył cios. Pięść trafiła Jana w żebra, wybijając mu powietrze z płuc. Jan osunął się na bok, a krzesło zachwiało się pod nim, skrzypiąc.

– Ilu was jest, Kowalewski? – zapytał chudy, tym razem bardziej stanowczo. Wyjął zdjęcie z mapnikiem, który musieli znaleźć przy Janie. Na fotografii był Tomasz i Paweł „Boryła” Borylski, w tle wieża spadochronowa, z którymi Jan i cała reszta jego oddziału, zrzucili się na Driel.

– Tomasz Wójcik. Paweł Borylski – chudy wymówił nazwiska powoli, z wyraźnym niemieckim akcentem.

Jan odetchnął głęboko, próbując zapanować nad bólem. W głowie miał jedno zdanie, które powtarzał w myślach: „Nie wolno im nic powiedzieć. Nigdy.”

Masywny esesman sięgnął po szklanę stojącą na stole. W środku była woda. Przez moment Jan pomyślał, że Niemiec poda mu ją, ale zamiast tego chlusnął wodą w jego twarz.

– Obudzisz się, czy dalej będziesz udawać bohatera? – syknął. – Porachujemy się teraz z twoimi przyjaciółmi. Może oni będą bardziej rozmowni.

Te słowa uderzyły w Jana jak kolejny cios. Z gardła wyrwał się mu stłumiony dźwięk, ale nie był w stanie nic odpowiedzieć. Nie mógł...

Zanim zdążył zareagować, koszmar nagle się skończył. Jan obudził się gwałtownie, z sercem bijącym jak młot. Znany ból w nodze przywrócił go do rzeczywistości. Otworzył oczy i spojrzał na swoje mieszkanie – na spadochroniarski mundur wiszący w kącie, na zegar wskazujący kilka minut po siódmej rano. Przetarł twarz drżącymi dłońmi. Koszmary z Driel wracały coraz częściej, a rana w nodze, choć stara, zawsze budziła go w tych chwilach, jakby przypominała mu o tym, co zostawił na tamtym polu bitwy. I o obietnicy danej Tomaszowi.

Piątek był dla niego dniem wolnym. Ciekawy układ, który zorganizował mu Daniel.

Po wyszykowaniu się, do jednej kieszeni zapakował sobie śniadanie i lunch w postaci dwóch kanapek. Pistolet odkłada pod deskę w podłozie. Wychodzi. Dzień jest pochmurny. Wyszedł z mieszkania, zamykając drzwi na klucz, i ruszył w

stronę przystanku autobusowego. Po kilku minutach spaceru dotarł do Eastgate, gdzie znajdował się główny przystanek autobusowy w Peebles.

Linia autobusowa 62 łączyła Peebles z Galashiels, przejeżdżając przez Innerleithen. Autobusy kursowały regularnie, co godzinę, co było wygodne dla mieszkańców podróżujących między tymi miastami. Jan spojrzął na zegarek – było kilka minut przed ósmą. Autobus miał odjechać o 8:05. Usiadł na ławce pod wiatą przystankową, obserwując przechodniów i poranny ruch uliczny. Pochmurne niebo zapowiadało deszcz, ale na razie było sucho.

Gdy autobus nadjechał, Jan wsiadł, płacąc kierowcy kilka szylingów za bilet do Galashiels. Zajął miejsce przy oknie, skąd mógł obserwować mijane krajobrazy. Trasa wiodła przez malownicze tereny Scottish Borders – zielone wzgórza, pola i niewielkie wioski.

Podróż trwała około 45 minut. Jan wykorzystał ten czas na przemyślenia. Spotkanie ze Staszkiem w Galashiels mogło dostarczyć mu informacji na temat Piotra i ostatnich wydarzeń. Miał nadzieję, że dawny znajomy pomoże mu zrozumieć, co się dzieje, i jakie kroki powinien podjąć dalej.

Wczoraj wszystko wydawało się zbyt chaotyczne, by cokolwiek ułożyć w logiczny ciąg. Teraz, choć koszmar z Driel nadal tlił się w jego głowie, Jan zmusił się do wzięcia głębokiego wdechu. Musiał oczyścić umysł. Odrzucił na bok myśli o hrabinie – na razie. Choć jej sytuacja była niepokojąca, to Piotr i te dziwne cienie wokół niego wydawały się kluczem do zrozumienia, co naprawdę się dzieje. Logika,

jakiej uczył profesor Ajdukiewicz, wymagała zimnego podejścia do spraw.

Zaczął od prostego pytania: kto go śledził? Przypadek? Nie sądził. Był pewien, że ci ludzie wiedzą o Piotrze. Ale dlaczego skupili się na nim? Przecież nie znał chłopaka. Może Anna coś pominęła w swojej opowieści? Albo... może jego własna przeszłość zaczynała go doganiać?

Niepokojące było to, że porucznik wspominał o „wyroku” na hrabinę. A jednak nie to teraz przykuwało uwagę Jana – to, jak porucznik patrzył na niego, gdy wspominał o ludziach, którzy śledzą. Jakby coś o nich wiedział, ale nie chciał powiedzieć. Czy oni również byli powiązani z wojną? Z SS, które przesłuchiwało Jana w Driel? Ta myśl wywołała zimny dreszcz. Czy ci ludzie mogą być częścią siatki, która przeżyła koniec wojny i teraz działała w cieniu? Jeśli tak, czy Piotr był przypadkową ofiarą, czy też świadomie wplątał się w coś większego? Co on wiedział o Piotrze? Piotr wyglądał na 18 lat. Czemu Boryła nigdy nie wspominał o synu?

Przypomniał sobie słowa Maggie: "Powiązania między niektórymi ludźmi polityki, gangami i... byłymi żołnierzami." Brzmiało to, jakby ktoś budował coś w rodzaju nowej struktury – może przestępczej, może politycznej. A Piotr? Był zbyt młody, zbyt niedoświadczony, by świadomie wpaść w takie bagno. Ale jeśli ktoś go wciągnął? Jeśli ktoś używał młodych emigrantów, by coś przemycać, coś ukrywać?

Jan wyciągnął kartkę, na której zapisany był adres warsztatu Matusiaka. „Warsztat w Galashiels” – miejsce, które mogło być zwykłym warsztatem albo czymś znacznie więcej. Czy

Staszek wiedział o Piotrze? A może ktoś ukrywał się za fasadą warsztatu, używając go jako przykrywkę? Staszek był ostrożny, nawet paranoiczny. Jeśli coś się tam działo, Jan musiał być gotów na to, że przyjaciel nie powie mu wszystkiego od razu.

W tym momencie przeszłość Jana i sprawa Piotra zaczynały się zbiegać w jednym punkcie. Ci, którzy go śledzili, mogli być powiązani z jego dawną służbą wojskową, ale równie dobrze mogli być częścią nowej układanki, której Piotr był tylko pionkiem. Jedno było pewne: nie mógł dłużej ignorować faktu, że sprawa chłopaka i własne cienie zaczynały się nakładać.

– Kim oni są? – mruknął do siebie po Polsku Jan, wpatrując się w kartkę z adresem warsztatu. – I dlaczego mnie w to mieszają? – Kilka osób w autobusie obejrzało się na niego. Wyuczonym od hrabiny gestem uśmiechnął się. Odwrócili głowy.

Niezależnie od odpowiedzi, musiał zacząć od konkretnego tropu. Piotr, warsztat Matusiaka, Staszek – to były jedyne elementy, które mógł sprawdzić. Musiał zapomnieć o hrabinie na chwilę, nawet o Maggie. Zbyt wiele wątków kręciło się wokół niego, a brak skupienia mógł skończyć się katastrofą. Jeśli Matusiak nie będzie mówił wprost, Jan spróbuje czytać między wierszami – Staszek miał swoje sposoby, ale Jan znał go na tyle dobrze, by wiedzieć, gdzie szukać wskazówek.

Gdy autobus wjechał do Galashiels, Jan poczuł lekkie napięcie. Miasto było większe niż Peebles, z bardziej ruchliwymi ulicami i większą liczbą mieszkańców. Wysiadł na

głównym przystanku przy Bank Street Gardens, dziękując kierowcy.

Staszek prowadził warsztat na obrzeżach miasta, przy ulicy Wilderhaugh. Jan ruszył w tamtym kierunku, mijając sklepy, kawiarnie i przechodniów zajętych swoimi sprawami. Droga zajęła mu około 15 minut.

Gdy dotarł na miejsce, zatrzymał się przed warszatem. Z zewnątrz budynek wyglądał niepozornie – ceglana fasada, duże okna z metalowymi ramami i szyld z napisem "Warsztat Mechaniczny Matushak & Co". Po angielsku. Jan wziął głęboki oddech i wszedł do środka, gotów na rozmowę, która mogła rzucić nowe światło na całą sytuację.

—

Warsztat Staszka Matusiaka był miejscem, w którym przeszłość zdawała się ścierać z teraźniejszością. Wysokie, surowe ściany z cegły, gdzieniegdzie przesiąknięte wilgocią, były pełne śladów dawnego użytkowania. Rząd metalowych półek uginających się pod ciężarem narzędzi, puszek z farbą i starych części mechanicznych przypominał, że warsztat był czymś więcej niż tylko miejscem pracy – był jego azylem.

Pośrodku stał solidny drewniany stół roboczy, pokryty śladami oleju, opiłkami metalu i rozłożonymi schematami technicznymi. W kącie stała niewielka kuchenka gazowa, a na niej kipiał czajnik. Para unosiła się leniwie w powietrzu, mieszając się z zapachem smaru, oleju i starej skóry. W kącie, przy oknie zaklejonym co zimę gazetą, aby zmniejszyć przeciągi, stało proste krzesło, na którym spoczywała kurtka Staszka – wyblakła, skórzana, pełna zagięć i rys.

Drzwi wejściowe zaskrzypiały, gdy Jan wszedł do środka. Panujący półmrok rozjaśnił się lekko, gdy Staszek, niosąc dzbanek z herbatą, wyszedł z zaplecza.

– A kogo to kot przyniósł? – powiedział Matusiak, a jego czarny kocur otarł się o nogę, wskoczył na stół roboczy, podreptał w kółko i złożył się w obwarzanek cicho mrucząc. Staszek postawił dzbanek na stole i obrócił się do Jana. – Plutonowy Kowalewski. Jak miło.

Jan uśmiechnął się lekko, siadając na krawędzi stołu roboczego.

– Poruczniku Matusiak – rzucił Jan z cichym humorem, przypominając ich wspólną przeszłość. – Nie przyszedłem składać meldunku.

Staszek parsknął cicho i sięgnął po dwa kubki, które stały na jednej z półek.

– Ostatni meldunek w Kinnaird House, pamiętasz? – zapytał, nalewając herbatę. – Długa noc. Krótkie odpowiedzi. Jak to poszło? "Nie wiem, co przyniesie jutro."

Jan skinął głową, sięgając po kubek.

– A dziś? Co powiesz?

– Powiem, że potrzebuję twojej pomocy, Staszku – odparł Jan, patrząc na przyjaciela. – I to nie jest sprawa na krótkie odpowiedzi.

Staszek spojrzał na niego uważnie, jego oczy błysnęły w świetle kuchennego płomienia.

– Siadaj więc. I mów – rzucił, wskazując krzesło obok.

Jan usiadł, biorąc łyk gorącej herbaty. Spoważniał, jego brwi lekko się zmarszczyły. Przez chwilę przyglądał się ciemnej herbacie w kubku, jakby szukał w niej odpowiedzi, a może pretekstu, by nie musieć mówić. Powietrze w warsztacie zdawało się gęstnieć od ciszy. Staszek nie naciskał – po latach nauczył się, że z byłymi kompanami trzeba cierpliwości. Każde takie spotkanie było jak otwarcie rany, która nigdy do końca się nie zagoiła.

Jan przypomniał sobie ich pierwszą rozmowę. Było to w 1945 roku, w dusznej sali Kinnaird House, gdzie przetrwali kolejną noc pełną gorączkowych rozmów i złożonych półszepem meldunków. Całą noc rozmów. Staszek, siedząc przy niskim stole, z tą samą spokojną, ale surową miną, cytował wtedy coś, co Janowi utkwilo w pamięci.

– "Ziemia obiecana" – powiedział Staszek, stukając palcem w otwartą książkę, którą trzymał na kolanach. – Czytałeś, Jasiek? Tam też wszyscy uciekali. Wierzyli, że jest lepsze miejsce, gdzie można zacząć od nowa. Tylko że... niektórzy nigdy nie wracają, bo nie ma już dokąd.

Jan wtedy nie odpowiedział. Miał głowę pełną sprzecznych myśli – wracać do Polski, czy zostać? Ale Staszek ciągnął dalej.

– Nie wracaj tam. Nie ma po co. – Jego głos był twardy, pragmatyczny. – Polska to nie ta sama ziemia, którą zostawiliśmy. Tam są już inni ludzie, inne układy. Jeśli wrócisz, w najlepszym razie niczego nie znajdziesz. W najgorszym... – przerwał, patrząc na Jana z powagą. – komuniści cię znajdą.

Teraz, siedząc w warsztacie, Jan przypomniał sobie, jak te słowa wtedy go dotknęły. Miał za sobą miesiące niepewności, poczucie, że zdradza ojczyznę, której przysiągł służyć. Ale w głębi duszy wiedział, że Staszek miał rację. Po wojnie Polska była krajem, który zdradzał swoich bohaterów. Wszyscy to wiedzieli. A jednak wtedy Jan potrzebował kogoś, kto wypowie te słowa na głos, kto da mu przyzwolenie, by zrezygnować.

„Tutaj jest teraz nasza ziemia obiecana” – powiedział Staszek tamtej nocy, zamykając książkę. – „Tutaj mamy przynajmniej szansę. Może niewielką, ale własną.”

Jan spojrzał na Staszka teraz, w warsztacie, i zobaczył w nim tego samego pragmatyka, który przeżył wojnę dzięki chłodnemu rozsądkowi. Staszek nie zmienił się – nadal stąpał twardo po ziemi, wiedząc, że sentymenty i romantyczne wizje nie pasują do ich rzeczywistości.

Jan z trudem zebrał myśli. Wiedział, że musiał zacząć rozmowę, ale nie wiedział, jak wyjaśnić, że ten trop – Piotr, warsztat, ludzie, którzy go śledzą – zdawał się prowadzić do czegoś znacznie większego. I że niepokoiło go, jak bardzo te wydarzenia zaczynały przypominać tamte dni, kiedy walczyli na obcej ziemi, wierząc, że walczą za wolność.

„A może to właśnie dlatego tutaj jestem” – pomyślał Jan. – „Bo Staszek miał rację wtedy i ma rację teraz. Nie chodzi o to, żeby wracać tam, gdzie nas już nie ma. Chodzi o to, żeby przetrwać tutaj.”

Jan wziął kolejny łyk herbaty i podrapał kota za uchem. Ten odwdzięczył mu się lekkim skubnięciem w rękę. Uśmiechnął

się. Kot nazywał się Ator, na rzecz jednego takiego Irańczyka, z którym Staszek się kiedyś kumplował.

Jan spojrzął na stół warsztatowy, na którym leżały rozrzucone śruby i mały klucz francuski. Metal odbijał słabe światło, a zapach oleju i palącego się czajnika mieszał się z jego myślami. "Co mam mu powiedzieć?" – to pytanie wydawało się ważyć więcej niż wszystkie narzędzia w tym pomieszczeniu.

Adres warsztatu, zapisany pospiesznie ręką Anny, zdawał się palić dziurę w jego kieszeni. Piotr Chmielewski, młody chłopak, którego twarzy Jan nie potrafił wymazać z pamięci. Było coś w jego oczach na zdjęciu – jakaś nieśmiałość, jakaś niepewność, którą Jan widział wcześniej u innych młodych ludzi, wciągniętych w sytuacje, których nie rozumieli. Ale czy mógł postawić na szali swoją relację ze Staszkiem dla kogoś, kogo nie znał?

Myśli wracały do przeszłości. To Staszek pomógł mu przetrwać ten pierwszy, najtrudniejszy rok po wojnie. Kiedy Jan był rozdarty między lojalnością wobec ojczyzny a realiami życia emigranta, to właśnie Staszek uświadomił mu, że wybór, który musiał podjąć, nie był zdradą – był przetrwaniem. Dzięki jego radzie Jan znalazł się w Szkocji, w Edynburgu, zamiast gdzieś na przesłuchaniu w Polsce, gdzie żołnierze starego byli traktowani jak zdrajcy.

„A teraz?” – pomyślał Jan, bębniąc palcami po kubku z herbatą. – „Czy nie zdradzam go w jakiś sposób, przychodząc tutaj z tym adresem? Może warsztat to tylko warsztat, a

Staszek nie ma pojęcia, że coś jest z nim nie tak. Może Piotr nigdy nawet tutaj nie dotarł.”

Ale było coś jeszcze. Jan wiedział, że Staszek nie lubił pytań bez odpowiedzi. Zawsze ważył słowa, ostrożnie dobierał to, co mówił, a jeszcze ostrożniej to, co przemilczał. Jeśli Jan go zapyta, czy Staszek odpowie?

To pytanie było ryzykiem. Jan wiedział, że może stracić coś więcej niż tylko odpowiedź. Mógł utracić zaufanie człowieka, który był dla niego czymś w rodzaju latarni, gdy w 1946 roku dryfował po świecie jak łódź bez steru.

„A może właśnie to jest istotne” – pomyślał, wzdychając cicho. – „Nie pytam go jako obcy. Pytam go jako człowiek, który ufa, że Staszek, nawet jeśli nie powie wszystkiego, nie zostawi mnie bez tropu. Nawet jeśli to oznacza, że sam coś ukrywa.”

Jan poczuł ciężar obowiązku, którego nie mógł zignorować. Anna szukała swojego brata. Piotr, zaginiony w nowym kraju, mógł być ofiarą czegoś znacznie większego. Jeśli Staszek wiedział cokolwiek, Jan musiał się tego dowiedzieć. Ale jednocześnie czuł w głębi serca, że każde słowo, które wypowie, będzie jak odsłonięcie kolejnej warstwy tajemnicy – takiej, która mogła zniszczyć fundamenty ich relacji.

„Mogę czekać, ważyć, kalkulować” – pomyślał Jan. – „Ale jeśli Piotr rzeczywiście jest w niebezpieczeństwie, każda godzina, którą stracę, może kosztować go życie. Czy Staszek, z całym swoim pragmatyzmem, nie powiedziałby mi tego samego?”

Jan wziął łyk herbaty. Staszek patrzył w okno, kot mruczał. Cisza uśmiechnęła się do obu i spokojnie, dalej pomagała im

rozpakowywać walizki wspomnień. Jan nie zauważył, że brwi Staszka również marszczyły się od myśli.

Jan spojrzął w cień własnych dłoni, unoszący się na stole roboczym. Myśli przesunęły się na Staszka. Jak dobrze go znał? Miesiące spędzone w Edynburgu, meldunki składane pod osłoną nocy, rozmowy o przyszłości, o Polsce, o przetrwaniu – wydawały się teraz bardziej fragmentami niż całością. Staszek zawsze był pragmatykiem, człowiekiem czynów, a nie słów.

Zastanawiał się, czy powiedzieć mu o hrabinie i o tym, co usłyszał od porucznika – o rzekomym wyroku, o cieniu, który zdawał się gęstnieć wokół niej. A Maggie? Czy wspominać o dziennikarce, której zainteresowanie wydawało się równie niepokojące, co jej determinacja? I w końcu, czy wyjawić, że ktoś go śledził – że każdy krok, który wykonał w ostatnich dniach, mógł być obserwowany przez ludzi, których intencji nie rozumiał?

Zdążył jeszcze raz wziąć łyk herbaty i podrapać kota za uchem. I wtedy zaskoczył go Staszek.

—

Staszek wstał z krzesła, podchodząc do półki z narzędziami. Zostawił kubek z resztką parującej herbaty. Przesunął kilka kluczy i sięgnął po kawałek szmatki, którą wytarł dłonie. Zamiast wrócić do stołu, oparł się o parapet i spojrzął na Jana z wyraźnym namysłem.

– Dawno się nie widzieliśmy, Jasiek – zaczął cicho, ale w jego głosie była nuta napięcia. – A żyć jakoś trzeba. Warsztat nie zawsze daje dość przychodu.

Jan podniósł na niego wzrok, czując, że rozmowa zaczyna skręcać w kierunku, którego się nie spodziewał.

– Wiesz, jak jest – kontynuował Staszek, krzyżując ręce na piersi. – Po wojnie trzeba było znaleźć swoje miejsce. Przepraszam, że nie powiedziałem ci wcześniej, ale... wiedziałem, że przyjdiesz.

Jan zmarszczył brwi. – Powiedzieć mi co?

Staszek spojrział na niego, przez chwilę jakby ważył słowa. W końcu westchnął.

– Pracuję dla MI5 – powiedział wprost, bez zbędnych wstępów.

Jan uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

– Po wojnie chcieli ludzi, którzy mieli nasze doświadczenia. Znajomość języka, kontaktów, środowisk. Byłem w odpowiednim miejscu i czasie. A oni potrzebowali kogoś, kto potrafi zniknąć w tłumie. – Staszek wyciągnął papierosa z kieszeni i zapalił go, jakby potrzebował chwili na złapanie dystansu. – No i tak się złożyło, że wpadłem na pewien trop.

– Jaki trop? – zapytał Jan, choć już czuł, że to nie będzie nic prostego.

– Nowy gang – odpowiedział Staszek, dmuchając dymem. – Mają powiązania w całej Szkocji, Anglii i... polskim

środoowisku. Duże powiązania. Zaczęli od fałszowania kuponów na żywność. Myślisz, że to drobna rzecz? Nie, Jasiek. To wielka machina. A fałszywe kupony to tylko wierzchołek góry lodowej.

Jan poczuł, jak jego ciało napina się.

– I co ja mam z tym wspólnego? – spytał ostrożnie.

Staszek spojrział na niego z cieniem uśmiechu.

– Piotr miał coś z tym wspólnego. Miał przyjść do mnie. – Wyprostował się i zgasił papierosa o metalową krawędź stołu. – Zająłem pomniejszą funkcję w gangu. Nic wielkiego – przerzucam jakieś towary, czasem pilnuję magazynu. Ale w tym magazynie mam swoją skrytkę. Dzięki niej wiem więcej, niż powinni.

– I Piotr? – Jan czuł, jak napięcie narasta z każdym słowem.

– Piotr był kurierem – powiedział Staszek, spoglądając na niego uważnie. – Miał dostarczyć dużą partię fałszywych kuponów gdzieś w okolicy. Do większych ryb. Tyle wiem. Ale zniknął. Jak kamień w wodę.

Jan przez chwilę milczał, analizując słowa przyjaciela.

– Dlaczego mi to mówisz? – zapytał w końcu.

– Bo potrzebuję pomocy, Jasiek – odpowiedział Staszek. – Ponoć mój oficer kontaktowy zrobił wywiad na twój temat. Wszystko wyszło pozytywnie. Nie jestem zaskoczony. Nawet by sam z Tobą wczoraj porozmawiał, gdybyś nie zniknął. – Uśmiechnął się lekko. – Moglibyśmy współpracować. Pomogę

ci dowiedzieć się, co stało się z Piotrem. Ale muszę wiedzieć, że mogę na ciebie liczyć.

Sprzeczne myśli zawirowały w głowie Jana. Czy Anna też była związana z MI5? Jej desperacja wydawała się autentyczna, ale jeśli Staszek pracował dla wywiadu, to skąd miał pewność, że Anna nie była tylko kolejnym elementem ich układanki? A Piotr? Czy ten chłopak w ogóle istniał? Mógł być pionkiem, fałszywą historią, wymyśloną po to, by wciągnąć Jana głębiej w sprawę, której wcale nie chciał się podjąć.

I Maggie. Dlaczego pojawiła się tak nagle, jakby czekała na pretekst, by wtrącić się w jego życie? Czy miała związek z tą operacją, czy była po prostu zdeterminowaną dziennikarką, szukającą sensacji? Jej obecność, sposób, w jaki naciskała, a potem nagle się wycofywała, zostawiał go z niepokojącym uczuciem, że za jej słowami kryje się coś więcej.

A Staszek? Czy człowiek, który tyle dla niego zrobił, mógł być naprawdę godny zaufania w tej sytuacji? MI5 na pewno nie przyjęłoby go bez powodu, ale czy Jan mógł polegać na kimś, kto celowo nie powiedział mu, w co jest zaangażowany?

Zanim zdążył znaleźć odpowiedź na choćby jedno z tych pytań, Staszek przerwał ciszę, jakby wyczuł jego wewnętrzne rozdarcie.

– Wiem, że teraz próbujesz to wszystko poskładać – zaczął spokojnie, tonem człowieka, który znał takie rozterki. – Ale tutaj nie ma miejsca na wątpliwości, Jasiek. Jeśli chcesz współpracować, chodź na zaplecze. Przekażę ci wszystko, co wiem. Powiem, co robić, żeby to miało sens.

Staszek zamilkł na chwilę, pozwalając swoim słowom opaść. Jan nie wziął tym razem łyka herbaty. Kot Staszka zaczął go obserwować.

– Albo... – kontynuował, odwracając się do Jana z zimnym, praktycznym spojrzeniem. – Możesz wyjść teraz. Jakby nic się nie stało. Nie będę miał ci tego za złe. Ani ja, ani nikt inny. Ale wtedy o Piotrze nie dowiesz się nic.

Szybkie decyzje nigdy nie były mocną stroną Jana. Był typem człowieka, który analizował, ważył, rozkładał każdą sytuację na czynniki pierwsze, zanim cokolwiek zrobił. Ale teraz, stojąc w warsztacie Staszka, wiedział, że nie ma na to czasu. To była sytuacja albo-albo. Zaufać człowiekowi, który tyle dla niego zrobił, i zaangażować się z pełnym przekonaniem, albo odejść i zostawić sprawy takimi, jakie były.

Myśl o odejściu zdawała się zrazu kusząca, ale szybko wyparowała. Jan nigdy nie umiał odpuszczać, zwłaszcza gdy wiedział, że jest blisko prawdy. A teraz? Już zabrnął zbyt daleko. Widział zmartwioną twarz Anny, słyszał zdeterminowany głos Maggie i czuł, że sprawa Piotra, choć mglista, nie mogła zostać przez niego zignorowana.

Postanowił. Pomóc. Stawiał się po dobrej stronie – stronie, która chroniła pokrzywdzonych i próbowała uporządkować chaos. Poza tym, perspektywa współpracy z MI5, organizacją, która miała jasno określony cel, zdawała się na swój sposób atrakcyjna. Był to świat znacznie bliższy jego dawnej wojskowej naturze niż praca jako pomocnik pracza w fabryce wełny. Tam czuł się jak cień samego siebie. Tu, w tej chwili, w

towarzystwie Staszka, miał poczucie, że znów może być kimś więcej.

Nie zważając na kolejne myśli, które kłębiły się gdzieś na granicy świadomości, zrobił krok w stronę otwartych drzwi prowadzących na zaplecze.

– Niczego mniej się po tobie nie spodziewałem – rzekł jeszcze Staszek, wchodząc z nim na zaplecze i zamykając za sobą drzwi.

Kot wstał. Wygiął się w wielkie, odwrócone u. Spojrzał na biurko Staszka. Wziął mały rozbieg. Podszedł do kubka z resztą parującej herbaty. Trącił metalowy kubek łąpką i z satysfakcją spojrzał, gdy ten spadał na ziemię, rozbryzgując resztki herbaty z metalicznym brzdękiem. Oblizał łąpkę. Potarł czołko, po czym skoczył na ziemię i z podniesionym ogonem wybiegł na ulicę. Wyglądał na szczęśliwego.

—

Zaplecze warsztatu Staszka było ciemne i klaustrofobiczne, z ledwo tłącą się żarówką na suficie, której światło migotało jakby na skutek drobnych drgań. W rogu pomieszczenia stał prowizoryczny stolik, na którym leżały złożone na kupkę dokumenty, kilka map i wysłużona lampa naftowa. Obok, na ścianie, wisiał stary wojskowy płaszcz, a tuż pod nim znajdowała się mała metalowa szafka zamykana na kłódkę. Atmosfera była duszna, a zapach wilgoci mieszał się z wonią oleju silnikowego.

Kiedy Jan wszedł do środka, niemal od razu zauważył mężczyznę w czarnym płaszczu, trzymającego w ręku czarny

kapelusz, który stał przy mapie rozciągniętej na stole. To był Blackbird – mężczyzna, którego widział wcześniej karmiącego kaczki. Teraz, w tej klaustrofobicznej przestrzeni, wyglądał jeszcze bardziej ponuro.

– Good evening, Mr. Kowalewski – odezwał się Blackbird, jego głos był niski, kontrolowany, a akcent wyraźnie angielski.

Jan skinął lekko głową, czując, jak każda sylaba wymaga od niego skupienia. – Good evening – odpowiedział, z lekkim polskim akcentem.

Blackbird spojrzał na Staszka i wymienił z nim szybkie, porozumiewawcze spojrzenie, które Jan od razu zauważył, ale nie potrafił odczytać. W końcu Staszek się odezwał, jego głos brzmiał spokojnie, ale czuć było napięcie, jakby każde słowo było częścią większego planu.

– Martwiliśmy się o ciebie wczoraj – zaczął Staszek, unosząc lekko brew, jakby oceniając stan Jana. – Co się stało, kiedy... porwał cię ten samochód?

Jan westchnął, starając się ułożyć sobie w głowie odpowiedź. Jego angielski był daleki od perfekcji, ale wiedział, że Blackbird będzie słuchał uważnie każdego jego słowa.

– Szedłem do domu – zaczął Jan, spoglądając na Blackbirda, jakby szukał w jego twarzy jakiejś oznaki, że może mu zaufać. – Na rogu ulicy... Austin... samochód – poprawił się, wyraźnie, żeby zabrzmiało zrozumiale – uderzył mnie. Potem ciemność.

Blackbird skinął głową, nie przerywając, ale jego spojrzenie sugerowało, że analizuje każdy szczegół.

– Kiedy obudziłem się... w opuszczonym budynku. On... pytał o mnie – dodał Jan, patrząc na Staszka, jakby oczekiwał, że ten coś powie, ale Staszek milczał.

Blackbird pochylił się nieco nad stołem, jakby słowa Jana bardziej go zainteresowały.

– Pytali, kto jestem. Skąd... co robię u starszej pani – dokończył Jan, czując, jak napięcie rośnie.

Staszek wymienił kolejne spojrzenie z Blackbirdem, po czym ponownie zwrócił się do Jana.

– Jasne. To ważne. Ale czy zobaczyłeś ich twarze? Jakiegokolwiek szczegóły? – zapytał, tonem, który sugerował, że ta odpowiedź może być kluczowa.

Jan poczuł, jak atmosfera w ciasnym zapleczu warsztatu zaczyna gęstnieć. Blackbird, stojący wciąż przy stole, przyglądał mu się uważnie – jak drapieżnik gotowy do skoku. Jan wiedział, że nie mają czasu na ogólniki, ale czuł się coraz bardziej osaczony, jakby każde jego słowo miało być zapamiętane i wykorzystane.

– Opowiedz to wszystko dokładnie, używając polskiego – powiedział Blackbird. Staszek wyciągnął papier i ołówek z kieszeni. – Staszek wszystko zrozumie.

Jan przełknął ślinę. Myśl o tym, że mężczyzna słuchał jego koślawego angielskiego, przysparzała go o dyskomfort, ale teraz było jasne, że każda informacja jest dla nich cenna. Odetchnął głęboko i zaczął mówić.

– Był tam mężczyzna – zaczął, patrząc na Staszka, który z powagą skinął głową. – Wysoki, dobrze zbudowany. Ubrany w ciemny płaszcz, który wyglądał, jakby przeszedł w nim wojnę. Krótko ścięte włosy, siwe skronie. Na pewno nie młody, może po pięćdziesiątce.

Zatrzymał się na chwilę, próbując sobie przypomnieć więcej szczegółów.

– Zwracał się do mnie jak do podwładnego – dodał Jan, marszcząc brwi. – Powiedział, że wie, kim jestem. Nazywał mnie plutonowym Kowalewskim, choć nigdy go wcześniej nie widziałem. Używał tonu, jakby wydawał rozkazy.

Staszek nie odzywał się, ale jego wzrok stał się bardziej skupiony.

– Powiedział, że chroni hrabinę. I że ktoś wydał na nią wyrok – kontynuował Jan, z każdym słowem czując, jak wraca do tamtego momentu. – Mówił, że będzie jej strzegł do końca, nawet jeśli ona sama tego nie chce. Wyglądało, jakby żył tylko po to, by ją chronić.

Staszek zapisał coś szybko na kartce, ale nie przerwał Janowi.

– Powiedział też, że powinienem się trzymać z daleka od niej, jeśli wiem, co dla mnie dobre – dodał Jan, a w jego głosie pojawiła się nuta niepewności. – Miał przy sobie broń, chyba pistolet. Nie wyciągnął go, ale dał mi jasno do zrozumienia, że mógłby, gdyby chciał.

Jan przełknął ślinę, starając się ułożyć myśli.

– I ta młoda kobieta u hrabiny – dodał po chwili, jakby dopiero sobie o niej przypomniał. – Maggie. Powiedziała, że szuka materiału do artykułu, ale coś mi nie pasuje. Mówi po polsku lepiej niż niektórzy rodacy, a jednak twierdzi, że tylko próbuje pomóc. Wydaje mi się, że wie więcej, niż mówi.

Staszek spojrzał na Blackbirda, a potem znów na Jana. Przez chwilę w pomieszczeniu panowała cisza, przerywana jedynie tykaniem zegara na ścianie.

– To wszystko? – zapytał w końcu Staszek, głosem neutralnym, ale wciąż stanowczym.

Jan poczuł, jak jego dłonie zaczynają lekko drżeć. Czuł się, jakby był na przesłuchaniu – każde jego słowo było analizowane, każde niedopowiedzenie mogło być później zakwestionowane. Ale wiedział, że nie może niczego pominąć. Wziął głęboki wdech i spojrzał na Staszka.

– Tak, to wszystko, co wiem – odpowiedział, starając się zabrzmieć pewnie, choć czuł ciężar tych słów na swoich barkach.

Atmosfera w pomieszczeniu, choć wciąż napięta, zaczęła się rozluźniać, kiedy Blackbird się uśmiechnął. Wyprostował się, poprawił płaszcz i spojrzał na Staszka, jakby podsumowywał właśnie wykonany raport.

– Indeed, he's sincere, asks good questions, makes sharp observations – powiedział po angielsku, kiwając głową w stronę Jana. – He also seems to have good endurance to stress. He'll do.

Staszek nie odpowiedział, tylko skinął głową, jakby zatwierdzał ocenę Blackbirda. Jan, choć wciąż czuł lekkie napięcie, odetchnął nieco głębiej, widząc, że rozmowa zmierza ku końcowi.

Blackbird zerknął jeszcze raz na Staszka i wskazał na niego lekkim ruchem dłoni.

– Staszek, zajmij się formalnościami – rzucił, tonem, który brzmiał bardziej jak rozkaz niż prośba. – Przydziel mu odpowiednie środki, ustal wypłatę. I pamiętaj – oczekuję meldunków.

– Oczywiście – odpowiedział Staszek, już nieco bardziej swobodnym tonem.

Blackbird spojrział na obu mężczyzn, jego wyraz twarzy stał się bardziej neutralny, niemal uprzejmy.

– Good luck, gentlemen – powiedział z charakterystycznym angielskim akcentem, po czym ruszył w stronę drzwi.

Wychodząc, założył kapelusz i, bez zbędnych ceremonii, zniknął za drzwiami, zostawiając za sobą tylko echo kroków.

Jan spojrział na Staszka, który teraz wyglądał na bardziej rozluźnionego. Warsztat znowu wydawał się jego miejscem – spokojnym, pełnym narzędzi i zadań do wykonania, a nie areną przesłuchań. Jan wziął głęboki oddech, czując, że presja opadła.

—

Staszek spojrzał na Jana z wyrazem twarzy, który wyraźnie mówił, że wszystko, co działo się do tej pory, było jedynie wstępem.

– To dopiero początek – powiedział spokojnie, ale z nutą powagi w głosie.

Sięgnął do kieszeni swojego płaszcza i wyjął małą, brązową kopertę, którą wręczył Janowi.

– Tutaj znajdziesz coś na początek – dodał, patrząc mu prosto w oczy. – Pieniądze. Nie za dużo, ale wystarczająco, żebyś nie musiał martwić się o drobiazgi.

Jan spojrzał na kopertę z mieszaniną ciekawości i wahania. Nie otworzył jej od razu, czekając na dalsze wyjaśnienia.

– Nie zmieniaj pracy – kontynuował Staszek, gestem wskazując, żeby Jan schował kopertę. – Rób wszystko tak, jak robisz. Nie zmieniaj pracy, nie zmieniaj rutyny. Potem powiem tobie więcej.

Jan skinął głową, zaciskając palce na kopercie. Czuł, że Staszek mówi to z troską, ale też z wyraźnym pragmatyzmem.

Jan nie mógł się powstrzymać. Kiedy Staszek odwrócił się, by zająć miejsce przy stole, Jan delikatnie rozchylił kopertę i zajrzał do środka. Jego oczy natychmiast rozszerzyły się ze zdumienia.

W środku znajdowała się zwinięta plikami gotówka – więcej, niż Jan zarabiał w fabryce w ciągu miesiąca, pracując od świtu

do zmierzchu. Szylingi i funty wyglądały, jakby zostały wypłacone prosto z banku, ułożone w równym stosie.

Jan wyciągnął z koperty jeden banknot i przyjrzał mu się przez chwilę, jakby sprawdzając, czy nie śni. Dla niego, pracownika fabryki, który żył skromnie, odkładając na każde większe wydatki, była to mała fortuna.

– A teraz – Staszek obrócił się. Usiadł. Wskazał Janowi krzesło naprzeciwko – przejdźmy do szczegółów.

Jan spojrzął na kopertę jeszcze przez chwilę, po czym zdecydowanym ruchem schował ją do kieszeni. Pieniądze mogłyby ułatwić życie, ale dla niego nigdy nie były celem. W tej chwili liczyła się tylko Anna i znalezienie Piotra.

– Nie robię tego dla pieniędzy, Staszek – powiedział spokojnie, ale stanowczo. – Chcę wiedzieć, co się stało z Piotrem. Co ty o nim wiesz?

Staszek westchnął i sięgnął pod stół, skąd wyjął złożoną na pół dużą mapę. Rozłożył ją na stole, wygładzając dłońmi zagniecenia. Jan nachylił się, widząc, że to plan Scottish Borders, na którym widniało kilkanaście czerwonych znaków. Dwa z nich znajdowały się w Peebles. Część symboli była przekreślona cienką, precyzyjną linią, a pozostałe pozostawały wyraźne.

– To miejsca, które udało nam się zidentyfikować – powiedział Staszek, wskazując na mapę. – Podejrzane, a czasem potwierdzone punkty, gdzie zdarzały się przerzuty. Fałszywe kupony, nielegalne towary, czasem coś więcej.

Jan przyjrzał się mapie dokładniej. Jego wzrok zatrzymał się na Peebles.

– Dwa tutaj – wskazał, podnosząc wzrok na Staszka.

– Tak – potwierdził Staszek. – Warsztat na Caledonian Road i magazyn za starą cukrownią przy Eastgate. Oba miejsca są powiązane z naszymi tropami, ale jeszcze nie mamy pewności, co tam się dzieje.

Staszek spojrział na Jana, jego wyraz twarzy był poważny, ale nie nachalny.

– Chcę, żebyś pomógł mi je sprawdzić – powiedział, przesuając palcem po mapie. – Będziesz miał przewagę. Nie wzbudzisz podejrzeń.

Jan wziął głęboki oddech, wpatrując się w mapę. Znał te miejsca. Warsztat był blisko fabryki, a magazyn, o którym mówił Staszek, mijał wielokrotnie, idąc na spacer.

Staszek przesunął palcem po mapie, zatrzymując się na warsztacie przy Caledonian Road.

– Zaczynij tutaj – powiedział. – To warsztat samochodowy, prowadzony przez Jamesa Frazerwooda. Nic szczególnego na pierwszy rzut oka, ale mamy informacje, że ktoś używa tego miejsca do ukrywania przesyłek. Frazerwood raczej nie jest głową tej operacji – jeśli już, to tylko trybikiem w większej maszynie.

Jan skinął głową, zapamiętując miejsce.

– A magazyn przy Eastgate? – zapytał.

Staszek wskazał drugi punkt na mapie.

– To miejsce jest bardziej podejrzane. Magazyn należy do Williama Hardinga, starszego handlarza, który oficjalnie zajmuje się przechowywaniem towarów dla lokalnych sklepów. Ale coś nam tam nie gra. Ktoś regularnie wynajmuje przestrzeń w tym magazynie na krótkie okresy, a Harding nigdy nie chce podać szczegółów, kto to jest ani co tam trzymają.

Staszek oparł się na krześle i spojrzał na Jana z lekkim uśmiechem.

– Dzisiaj jest piątek. Sobota to idealny dzień na zrobienie rekonesansu. Warsztat i magazyn powinny być otwarte. Spędź trochę czasu, przyglądając się, co tam się dzieje. Porozmawiaj z właścicielami, jeśli to możliwe. Nie naciskaj zbyt mocno – ludzie w Peebles znają cię jako zwykłego robotnika. Wykorzystaj to.

Jan uniósł brew, czując jednocześnie, że Staszek ma rację.

– A potem? – zapytał.

Staszek wstał i podszedł do szafki, skąd wyjął złożoną na pół kartkę. Podał ją Janowi.

– Spotkajmy się około piątej po południu w herbaciarni Wilson and Sime's. To na High Street, powinieneś wiedzieć, gdzie to jest. Będę tam czekał. Omówimy, co udało ci się dowiedzieć.

Jan skinął głową, chowając kartkę do kieszeni.

– A ty? – zapytał po chwili.

Staszek westchnął, jakby ważył, czy powiedzieć coś więcej. W końcu nachylił się nad stołem, spojrzał na Jana i zaczął mówić.

– Nie chcę, żebyś myślał, że ta sprawa jest prosta – zaczął, zniżając głos. – Od roku jestem w to wciągnięty. Nie chodzi tylko o Piotra. Sprawdziłem już wiele miejsc w Galashiels i okolicach. Wypytywałem ludzi, szczególnie w polskim środowisku. Kurierzy, handlarze, robotnicy.

Jan spojrzał na niego, a w jego oczach odbił się cień niepokoju.

– Rozmawiałem też z kolegą, byłem żołnierzem, Polakiem – kontynuował Staszek. – Służył z nami, chociaż w innej jednostce. Maczkowiec. Mówił, że słyszał o młodym chłopaku, który miał się pojawić w tej okolicy z przesyłką. Ale to było na tyle. Żadnych szczegółów, żadnych nazwisk.

Staszek odsunął się nieco, a jego wzrok spoczął na mapie, jakby szukał w niej odpowiedzi.

– Kiedy rok temu wysłałem ci list, że otwieram warsztat w Galashiels i przenoszę się z Edynburga, to nie była tylko zmiana miejsca. Było coś jeszcze. – Staszek przerwał na chwilę, jakby te słowa były trudne do wypowiedzenia.

Jan czekał cierpliwie, ale czuł, że to, co usłyszy, może być ważniejsze, niż się spodziewał.

– Rok temu znaleziono jednego z kurierów – powiedział w końcu Staszek, jego głos był cichy, ale pełen ciężaru. – Martwego. Młody chłopak, podobny do Piotra. Nie miał szans.

Nie wiem, kto za tym stał, ale to wtedy zrozumiałem, że sprawy stały się poważne. Nie chodzi już tylko o kupony na żywność czy przerzuty. To coś większego, bardziej niebezpiecznego.

Jan poczuł, jak napięcie w powietrzu staje się niemal namacalne.

– Dlatego to robisz? – zapytał po chwili, nie kryjąc swojego zaskoczenia.

Staszek spojrzał na niego z determinacją.

– Tak – odpowiedział. – Nie tylko dlatego, że to moja praca. Chcę, żeby ktoś za to odpowiedział. I chcę, żeby tacy jak Piotr – jeśli jeszcze jest gdzieś tam – mieli szansę wyjść z tego cało.

Zapadła cisza, przerywana jedynie odległym odgłosem pracujących maszyn warsztatu. Jan wziął głęboki wdech i spojrzał na mapę.

—

Obudził ją zapach papierosowego dymu i świeżo parzonej kawy. Przez niedokładnie zaciągniętą kotarę wpadało światło słońca. Rozejrzała się po małym pokoju, jaki został jej udostępniony na tę noc. Pod ścianą naprzeciw okna stała wielka szafa z ciemnego dębu. Była zamknięta. Po jej lewej ręce pod oknem stała mała toaletka. Przeciągnęła się leniwie, czując miękkość starej, choć zadbanej pościeli. Pokój był prosty, ale z pewnością urządzone z dbałością o detale. Ściany, pomalowane na bladoniebieski kolor, były przystrojone

dwoma obrazkami w drewnianych ramach – sielskie widoki, może polskie pejzaże, które wnosiły odrobinę nostalgii.

Toaletka, stojąca pod oknem, była subtelnie ozdobiona – ręcznie rzeźbione rogi i niewielkie lustro w owalnej ramie nadawały jej klasyczny wygląd. Na blacie leżał porcelanowy dzbanek i miednica, a obok nich kilka drobiazgów: mały srebrny szczotkowany flakonik perfum i książka o tytule “Ultor sanguinis paterni, dies e vita nobili Polono”, autorstwa Eugeniusza Trabczyka z pożółkłymi kartkami. Cała książka była po łacinie. Języka tego Maggie nie знаła.

W kącie, na drewnianym wieszaku, wisiał jej płaszcz. Nad nimi, na półce, spoczywały stare, oprawione w skórę książki i mały zegar, który właśnie wybijał godzinę siódmą trzydzieści.

Zapach dymu i kawy stawał się coraz wyraźniejszy, a ciche skrzypienie desek na korytarzu podpowiadało jej, że hrabina już jest na nogach. Maggie usiadła na łóżku, odgarnęła włosy z twarzy i spojrzała na światło wpadające przez kotarę. Miała wrażenie, że ten pokój, choć prosty, otula ją spokojem, którego tak bardzo potrzebowała po ostatnich wydarzeniach.

Podchodząc do toaletki, Maggie zaczęła się czesać – spokojne, mechaniczne pociągnięcia szczotką po rudych włosach. Zawsze układały się po swojemu, jakby kpily z jej prób ujarznienia ich. Myśli powracały jednak nie do lustra przed nią, lecz do wczorajszej rozmowy.

Hrabina była dokładnie taka, jaką pamiętała – stanowcza, pełna klasy, a przy tym przenikliwa i nieco surowa. Mimo to Maggie zdołała wyciągnąć od niej kilka ciekawych rzeczy,

choć wciąż miała wrażenie, że Teresa Łubieńska trzyma przed nią jakieś sekrety.

Jan. Z pozoru zwykły robotnik, a jednak pod tym spokojnym, trochę wycofanym zachowaniem kryło się coś więcej. Maggie widziała to w jego oczach wczoraj, kiedy opowiadał o Piotrze. Zmęczenie, ale i pewna determinacja, której nie dało się podrobić. Ktoś taki nie pasował do prostej roli fabrycznego pracownika. I z tego co wiedziała już, zdecydowanie nim nie był.

Poprawiając bluzkę, Maggie starała się odgonić rosnące wątpliwości. Zastanawiała się, czy może w pełni zaufać Janowi. Był uprzejmy, rzeczowy, ale wokół niego unosiła się mgielka tajemnicy, która zaczęła ją niepokoić. Maggie spojrzała przez okno na miasteczko, odsuwając kotarę, które o poranku budziło się do życia. Myśli kotłowały się w jej głowie. Czy Jan mógłby ją oszukać? Z jednej strony, był jedyną osobą, która zdawała się móc pomóc. Z drugiej – co, jeśli troszeczkę się zagalopowała tak mocno go namawiając?

Westchnęła ciężko, prostując plecy. Uświadomiła sobie, że w tej grze pełnej cieni i półprawd, każdy ruch musiał być starannie przemyślany. Jeśli za bardzo naciskała, mogła popsuć wszystko – ale jeśli nic nie zrobi, mogła przeoczyć coś ważnego. No i, że idzie do przodu ten, co coś robi.

Nie lubiła tych swoich wątpliwości. Tylko szybkie, energiczne działania były warte zachodu. “Aby nikt nigdy się nie dowiedział, jak czasem potrafię wątpić” pomyślała Maggie.

Maggie zaczęła się przekonywać, że musi pozwolić Janowi wykonać pierwszy ruch. Może, jeśli da mu przestrzeń, prawda

wyjdzie na jaw sama. Obciągnęła bluzkę raz jeszcze, jakby chciała upewnić się, że sama czuje się pewnie. „Nie można ufać na ślepo” – pomyślała – „ale równie dobrze można dać innym szansę, by pokazali swoje prawdziwe oblicze”. Tego ranka Maggie postanowiła być cierpliwa. I przyjrzeć się Janowi z ukrycia.

Zamknęła drzwi za sobą i wkroczyła salonu, gdzie hrabina siedziała z filiżanką kawy. Rzuciła okiem w lustro – spojrzenie czujne, lekko zdeterminowane. Była gotowa.

Teresa Łubieńska siedziała przy stole, poprawiając mankiety swojej starannie uszytej sukni. Na jej kolanach złożona leżała gazeta. Peeblesshire News. Obok niej stała kryształowa, prawie nieskazitelnie czysta popielnica. W niej dokładnie jeden niedopałek. Filiżanka hrabiny była do połowy pełna, a na talerzyku obok leżały już tylko okruszki. Filiżanka dla gościa była pełna gorącego, czarnego płynu. A na drugim talerzyku leżał francuski rogalik.

Na widok Maggie hrabina uniosła wzrok, w jej oczach odbiła się mieszanina troski i lekkiego zaskoczenia.

– Dzień dobry, panno Maggie – zaczęła uprzejmie, gestem zapraszając ją do stołu. – Mam nadzieję, że się tobie dobrze spało. Jak zdrowie matki?

Maggie przystanęła tylko na chwilę, jej myśli wyprzedzały konwersację. Wzięła filiżankę z kawą do ręki. Napiała się dużym haustem. Chwyciła do ręki rogalik.

– Matka ma się dobrze, dziękuję – odparła szybko, ale zaraz zmieniła temat z typową dla siebie energią. – A propos, hrabino, co za niezwykłym mężczyzną musi być Jan!

Hrabina uniosła brew, wyraźnie zaskoczona gwałtownością tego wyznania. Odłożyła filiżankę kawy na spodek z cichym stuknięciem.

– Niezwykłym? – zapytała, starając się ukryć lekkie rozbawienie. – Jan to dobry człowiek, choć czasami zbyt zamknięty w sobie. Ale przestrzegam panią, panno Maggie – mężczyźni, choćby najciekawszy, bywają... kłopotliwi.

Maggie uśmiechnęła się półgębkiem, odrzucając włosy z twarzy.

– Nie zamierzam się za nim uganiać, jeśli o to pani chodzi – odpowiedziała z figlarnym błyskiem w oku. – Ale wie pani, gdzie można go znaleźć? Zastanawiałam się, czy nie porozmawiać z nim jeszcze raz o sprawie Anny.

Hrabina spojrzała na nią z odrobiną podejrzliwości, ale w końcu westchnęła, jakby uznała, że nie warto protestować.

– Jan mieszka na Young Street, pod numerem dwudziestym czwartym – odpowiedziała, kręcąc lekko głową. – Ale proszę pamiętać, panno Maggie, Jan nie lubi nieproszonych gości.

Zanim hrabina zdążyła dodać coś więcej, Maggie zareagowała szybko i energicznie.

– Och, dziękuję! – powiedziała, chwytając swój płaszcz i torbę.  
– Jest pani niezwykle pomocna, hrabino! – po czym połykając rogalik prawie bez żucia, ruszyła do drzwi.

Zanim Teresa zdążyła zareagować, Maggie już mijła drzwi, a kilka sekund później słychać było odgłos jej kroków na zwirowanej ścieżce.

Na ulicy stał jej żółty Volkswagen Beetle, lekko zakurzony po wczorajszej podróży. Maggie otworzyła drzwi, wskoczyła do środka i z wprawą przekręciła kluczyk. Silnik zaterkotał, a ona ruszyła, nie tracąc czasu na rozważania.

Maggie zatrzymała się na rogu Young Street, silnik wciąż cicho mruczał. Wczesny poranek był chłodny, a mgła powoli unosiła się nad brukowanymi ulicami Peebles. Spojrzała na okno na drugim piętrze budynku, gdzie według hrabiny mieszkał Jan. W domu paliło się światło, co oznaczało, że mężczyzna był już na nogach.

Nie musiała długo czekać. O 7:50 drzwi budynku otworzyły się, a Jan wyszedł, ubrany w swój zwykły płaszcz. Maggie z zaciekawieniem obserwowała jego sylwetkę i trochę jakby zmartwioną posturę. Złapała się na myślach o tym co Jan robi wieczorami. Sam w pokoju. Z dala od domu. Otrząsnęła się i skupiła szybko. Jan ruszył w dół ulicy, zmiierzając w stronę centrum miasta. Maggie czekała, aż oddali się na bezpieczną odległość, po czym ruszyła za nim, trzymając się z tyłu.

Droga na przystanek autobusowy przy High Street była prosta. Jan szedł szybko, nie zatrzymując się, a jego sylwetka rysowała się wyraźnie na tle mgły, która wciąż wisiała w

powietrzu. Maggie obserwowała go z za szyby samochodu, przystając, kiedy wchodził na większe skrzyżowanie.

Na przystanku, niedaleko herbaciarni Wilson and Sime's, Jan stanął na chwilę, jakby upewniał się, że autobus jeszcze nie przyjechał. Maggie zatrzymała się w bocznej uliczce, skąd miała dobry widok. Kiedy na horyzoncie pojawił się autobus do Galashiels, Jan wsiadł, nie rozglądając się wokół.

Maggie poczekała chwilę, aż pojazd odjechał, po czym uruchomiła silnik i ruszyła za nim. Wiedziała, że musi trzymać odpowiednią odległość, aby nie wzbudzić podejrzeń. Autobus poruszał się powoli, więc mogła łatwo śledzić jego trasę.

Droga z Peebles do Galashiels wiodła przez malownicze tereny Scottish Borders, pełne łagodnych wzgórz, przecinanych wstęgami rzek i otulonych mgłą zagajników. Maggie wpatrywała się w asfaltową wstęgę przed sobą, ale kątem oka dostrzegała, jak krajobraz powoli przechodzi z miejskiej ciasnoty w szerokie, otwarte przestrzenie. Żłociste światło poranka zaczynało przebijać się przez nisko wiszącą mgłę, nadając wszystkiemu ciepły, niemal nierealny blask. Jednak piękno otoczenia tylko przelotnie przyciągało jej uwagę – myśli Maggie skupiały się na autobusie sunącym kilka samochodów przed nią.

Jej wzrok zsunął się na torbę leżącą na fotelu pasażera. Teczkę, z którą od kilku dni się nie rozstawała. Ciemna, lekko sfatygowana skóra skrywała nazwy, twarze i adresy. Informacje, które zbierała przez miesiące, próbując połączyć poszlaki dotyczące przerzutów i działalności pewnej grupy operującej w polskiej diasporze. Anna Chmielewska była tylko

częścią tej płataniny. W pewnym sensie jej wyrzutem sumienia. Westchnęła do siebie Maggie.

Przypomniała sobie, jak kilka tygodni wcześniej dojeżdżała do Edynburga, zaciągając się rześkim, wiejskim powietrzem, tak różnym od londyńskiego smogu. Jej spotkanie z Anną było szybkie i chaotyczne – kobieta była pełna emocji, nerwowo wyciągając z torebki zmięte zdjęcie Piotra. W końcu wypłynęło imię Jana Kowalewskiego.

Kowalewski. Jego nazwisko zaczynało być coraz bardziej istotne w tej układance. Opowieści o byłym żołnierzu, który w Szkocji zawałczył o sprawiedliwość rodaków, intrygowały ją. Jan miał w sobie coś magnetycznego. I teraz, patrząc na autobus przed sobą, Maggie złapała się na tym, że zastanawia się, co Jan robi wieczorami, kiedy gasną światła w jego skromnym pokoju. Czy naprawdę spędza czas tylko na samotnych kolacjach i zasypianiu z książką?

Westchnęła, czując, jak jej myśli wymykają się spod kontroli. Wyciągnęła rękę i włączyła radio w samochodzie. Dźwięki muzyki wypełniły wnętrze Beetle'a, tłumiąc szum silnika i cichy stukot kół na drodze.

„Skup się, Maggie,” pomyślała, prostując się na siedzeniu i ponownie skupiając uwagę na autobusie. Obserwowała, jak powoli pokonuje kolejne zakręty, zatrzymując się w małych miejscowościach, gdzie pojedynczy pasażerowie wsiadali lub wysiadali.

Palce Maggie zacisnęły się na kierownicy.

W Galashiels autobus zatrzymał się na głównym przystanku przy Market Street. Jan wysiadł, poprawił płaszcz i torbę, po czym ruszył pieszo w kierunku warsztatu Staszka Matusiaka na Caledonian Road. Maggie, parkując w bocznej uliczce, pozwoliła mu oddalić się na tyle, by nie zwracać na siebie uwagi, ale wciąż go widzieć.

Warsztat Matusiaka znajdował się na końcu spokojnej ulicy, otoczony kilkoma innymi niewielkimi zakładami. Było to skromne miejsce. Jan wszedł do środka, nie zatrzymując się.

Maggie zaparkowała naprzeciwko warsztatu, ustawiając samochód tak, aby miała dobry widok na wejście. Przez kilka minut nic się nie działo. Obserwowała ciche ulice Galashiels, zastanawiając się, co właściwie działo się w środku.

Po pewnym czasie drzwi warsztatu otworzyły się i wyszedł Blackbird, ubrany w czarny płaszcz i kapelusz. Mężczyzna rozejrzał się uważnie, jakby upewniając się, że nikt go nie obserwuje. Maggie instynktownie pochyliła się niżej na swoim siedzeniu, choć wiedziała, że jest dostatecznie daleko, by pozostać niezauważona.

Blackbird skierował się w stronę ulicy, szybkim krokiem zmierzając w kierunku Market Street. Maggie obserwowała go, ale postanowiła zostać na miejscu. Jej celem był Jan, a nie ten tajemniczy mężczyzna.

Czekała dalej, czując, jak adrenalina zaczyna w niej opadać, a ekscytacja miesza się z niepokojem. Jan w środku tego warsztatu z pewnością wiedział więcej, niż zdradzał. Maggie miała zamiar dowiedzieć się, co.

Czarny kocur wskoczył na śmietnik przed warsztatem i zdawał się obserwować Maggie. Drzwi warsztatu zaczęły się otwierać. Maggie odpaliła silnik.

---

Maggie ścisnęła w dłoni teczkę, która ciążyła jej niczym kamień. Wiedziała, że Jan nie będzie zadowolony z jej wizyty, ale coś w środku mówiło jej, że musi się z nim skonfrontować – i to właśnie tutaj. Wcisnęła pedał gazu.

Jan, zamknął drzwi warsztatu i ruszył w stronę ścieżki prowadzącej w kierunku miasteczka. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i mógłby zatracić się w szumie dnia – przynajmniej na chwilę, zanim znów wróci do ciężkich myśli, które nie dawały mu spokoju.

Zaledwie przeszedł kilkadziesiąt kroków, kiedy z piskiem opon za jego plecami zatrzymał się samochód. Nie zdążył nawet obejrzeć się za siebie, kiedy drzwi auta otworzyły się gwałtownie, a z wnętrza wyskoczyła sylwetka, którą rozpoznał natychmiast. Maggie.

– Jan! – zawołała, ścisnąjąc dokumenty tak, jakby miały zaraz uciec z jej rąk. Decydując się przejść na ty, unikając jakże denerwującej i dystansującej polskiej maniery.

Jan zmarszczył brwi. Zatrzymał się, ale nie ruszył jej na spotkanie. Patrzył na nią, jakby ważył, czy w ogóle warto wdawać się w rozmowę.

– Maggie? – rzucił chłodno. Również usuwając pani w angielskim stylu – Co ty tutaj robisz?

Podbiegła, dysząc ciężko, ale determinacja w jej oczach była nie do przeoczenia.

– Musimy porozmawiać – powiedziała, łapiąc oddech.

– Porozmawiać? – powtórzył, jego ton nabrał ostrości. – Śledziłaś mnie?

Maggie zamarła, widząc, jak jego spojrzenie twardnieje. Próbowała coś powiedzieć, ale nie znalazła w sobie wystarczającej pewności, by zaprzeczyć.

– Tak, śledziłam cię – przyznała w końcu, unosząc brodę w geście wyzwania. – I miałam powód.

Jan parsknął, kręcąc głową z irytacją.

– Nie masz pojęcia, co robisz – powiedział zniecierpliwiony. – Maggie, to nie jest gra.

– Wiem, że to nie gra! – przerwała mu ostro. Uniosła teczkę, którą trzymała w dłoni. – Dlatego musisz to zobaczyć. Nie mam czasu czekać, aż się zastanowisz nad odpowiedziami.

Jan spojrzał na dokumenty, ale nie wyciągnął po nie ręki.

– Co to jest? – zapytał, choć ton jego głosu sugerował, że nie jest pewny, czy chce poznać odpowiedź.

Maggie milczała przez chwilę, jakby szukała właściwych słów.

– Nazwiska – powiedziała w końcu. – Połączenia.

Jan zbliżył się o krok, niemal wrywając jej teczkę z rąk. Otworzył ją i zaczął szybko przewracać kartki. Na jednej z nich znajdował się rozkaz z pieczęcią i podpisem Montgomery'ego. Dokument dotyczył Pawła Boryły, byłego żołnierza Armii Krajowej, któremu przyznano Brytyjską Gwiazdę za służbę, a potem ją unieważniono. Pieczęć "CANCELLED" i ręczny dopisek "COWARDICE" rzucały się w oczy. Janowi ścisnęło serce.

Jan zatrzymał wzrok na kolejnej stronie – krótkim dossier dotyczącym Piotra Chmielewskiego. Data urodzenia: 1929. Adnotacja napisana po angielsku: "Refugee from Soviet occupation zone. Sister in Scotland. Anna."

– Skąd to masz? – zapytał, unosząc wzrok na Maggie, która obserwowała go z napięciem.

– Nie pytaj – odparła krótko. – Po prostu wiedziałam, że powinieneś to zobaczyć.

Jan zamknął oczy, jakby musiał zmusić się do zebrania myśli.

– Dlaczego, Maggie? – zapytał cicho. – Dlaczego w to wszystko się wtrącasz?

– Bo wiem, że jesteś w tym sam – odpowiedziała, ściszej głoś. – I wiem, że nie dasz sobie rady bez pomocy.

Jan zaśmiał się gorzko.

– A co ty możesz wiedzieć o tym wszystkim? – rzucił z ironią, machając dokumentami.

Czarny kot, który dotychczas obserwował ich z warsztatu, wyskoczył na żwirową drogę i przeciągnął się leniwie. Przysiadł kilka kroków od nich, patrząc na Jana z niemal oskarżycielskim wyrazem w zielonych oczach.

Jan spojrział na kota, potem na Maggie.

– Jeśli to, co myślę, jest prawdą... – zaczął, a potem urwał. – Maggie, jeśli zostaniesz w to wciągnięta, nie będzie odwrotu.

– Już zostałam – odpowiedziała cicho, wyciągając rękę w kierunku teczki. – A teraz albo mi zaufasz, albo będę nadal Ciebie śledzić i obserwować z ukrycia.

Jan przez chwilę wpatrywał się w nią, jakby ważył w myślach konsekwencje każdej decyzji. W końcu oddał jej teczkę, a jego wzrok złągdniał.

– Masz odwagę, Maggie – powiedział w końcu. – Ale abyśmy oboje tego nie pożałowali.

Ciszę przerwało ciche miauczenie. Kot podszedł bliżej i ocierał się o nogi Jana, jakby próbował go sprowokować do działania.

– Widzę, że nawet Ator się do tego wtrąca – mruknął Jan z ironią. – Może ma rację. Razem możemy coś z tym zrobić.

Maggie uśmiechnęła się lekko, czując, że udało jej się choć trochę przełamać lodowaty mur Jana. Ale w powietrzu wciąż unosiło się napięcie – cienka linia między zaufaniem a zdradą.

## Rozdział 4: *Czarna lista*

Jan i Maggie siedzieli w małej, przytulnej kawiarni w Galashiels. Para parujących filiżanek kawy stała na stole, obok teczek z dokumentami, które Jan przeglądał z wyraźnym skupieniem. Zeszyt Maggie z jej odręcznymi notatkami leżał otwarty, ujawniając starannie zapisane uwagi. Jan co chwila marszczył brwi, analizując złożoną układankę, która zaczynała nabierać kształtów, choć ciągle brakowało kilku kluczowych elementów.

– Spójrz na to – powiedział cicho Jan, wskazując fragment raportu. – Grupa byłych niemieckich szpiegów, operująca w UK, werbuje zdesperowanych ludzi do szajki fałszującej i oferującej na czarnym rynku kupony żywnościowe. Część z nich uciekła z Polski i znają konspirację doskonale. Możliwe, że nawet byli w AK.

– To nie tylko to – odparła Maggie, przechylając się przez stół. – Zobacz, tutaj. – Wskazała na swoje notatki. – Część tych ludzi to byli żołnierze, którzy chcą zemsty na rządzie. Czują się zdradzeni. A ich dzieci, są wciągani w to jeszcze głębiej.

Jan skinął głową, wertując kolejne strony. Na jednej z nich widniała szczególnie adnotacja, która ponownie przykuła jego uwagę – lista nazwisk, w tym Pawła Boryły i jego syna Piotra.

– To wyjaśnia, dlaczego MI5 jest w to zaangażowane – powiedział Jan. – Jeśli ta szajka ma dostęp do tajnych dokumentów i używa ich, by manipulować tymi ludźmi, sprawa jest poważniejsza, niż myślałem.

Maggie zamyśliła się, patrząc na dokumenty. – W jakiś sposób zdobywają te akta i udostępniają je w ograniczonej formie. Dają ludziom tyle, by wzbudzić w nich gniew, by zmotywować ich do działania, ale nie na tyle, żeby sprawa stała się publiczna.

Jan milczał przez chwilę, wodząc wzrokiem po kartce, jakby coś próbowało przebić się przez mgłę jego myśli. Czuł, że jest jeszcze jeden element tej układanki, coś kluczowego, co ciągle mu umykało. Oparł się na krzesło, odłożył dokumenty i spojrzał na Maggie.

– Jest coś jeszcze – powiedział z namysłem. – Nie mogę tego teraz uchwycić, ale to wszystko prowadzi do trzeciego wątku. Nie chodzi tylko o szpiegów, zemstę czy te dokumenty. Coś większego jest w grze.

Maggie skinęła, choć wyglądała na nieco zmartwioną. – Znajdziemy to. Jeśli połączymy wszystkie tropy, odkryjemy, co to jest.

Jan przeciągnął się na krzesło i jeszcze raz wziął do ręki dokumenty. Ich zawartość była jak kawałki układanki, które nie do końca pasowały do siebie, ale zarysowywały przerażający obraz. Czuł, że koniecznie musi skonsultować to wszystko ze Staszkiem. Staszek, z jego wiedzą i kontaktami, miałby szansę wypełnić luki w tej historii. Informacje, które mieli, były już wystarczająco niebezpieczne, aby działać samemu. Jak Maggie udało się z nimi obchodzić do tej pory, nie przyciągając uwagi?

Rozważał też w myślach, na ile powinien włączyć w tę sprawę Maggie. Choć jej odwaga i inteligencja były nieocenione, nie

znał jej wystarczająco dobrze, by w pełni jej zaufać. Z jednej strony jej intuicja okazała się przydatna, a upór pomógł im dotrzeć do niektórych kluczowych informacji. Z drugiej strony, im więcej wiedziała, tym większe było dla niej ryzyko. Jan nie chciał, żeby była wciągnięta głębiej, niż już była. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że Maggie wydawała się być kimś więcej niż tylko przypadkową osobą wplątaną w tę historię. Coś w niej sugerowało, że miała swoje własne tajemnice, których jeszcze nie odkrył.

Początkowo nie rozumiał, dlaczego w ogóle wciągnął się w tę sprawę. Tajemnicze zniknięcie Piotra Chmielewskiego i jego dochodzenie, wydawało się czymś, co można wyjaśnić zwykłą pomocą. Teraz już wiedział – to, co zaczęło się jako osobista tragedia, zamieniło się w grę wywiadowczą. Znowu odezwały się w jego głowie słowa Tomasza *“Zawsze pomagaj, jeśli możesz. Tylko wtedy wiesz, że zrobiłeś to, co trzeba.”*

Ślady prowadziły wprost do działań kontrwywiadu, co wskazywało, że w tej sprawie chodziło o coś większego niż tylko los jednej osoby.

To właśnie ten trzeci wątek nagle mu się rozjaśnił. Jeśli prawda wyjdzie na jaw, cała polska diaspora w Wielkiej Brytanii będzie zagrożona. Wszystko, co do tej pory osiągnęli – odbudowane życie, znalezione bezpieczeństwo – może zostać zniszczone jednym ruchem. Jan poczuł zimny dreszcz, wyobrażając sobie, jak brytyjska prasa rozpisuje się o aferze szpiegowskiej, a przeciętni Brytyjczycy zaczynają patrzeć na Polaków jak na zdrajców. I to współpracujących z Niemcami. Wiedział, że musi działać ostrożnie, żeby nie pociągnąć za sobą niewinnych ludzi, ale presja, by rozwikłać zagadkę i

zapobiec katastrofie, była coraz większa. I co ciekawe - niesamowicie go emocjonująca i dodająca chęci życia. Staszek wyczuł go dobrze.

Wyjaśniło to również sytuację z hrabiną. I otwierało zarazem pytanie o to, co wiedział "Porucznik"?

– Jan, co teraz? – spytała Maggie, przechylając głowę na bok i przerywając ciszę. – Mam wrażenie, że wiesz coś więcej, niż chcesz mi powiedzieć.

Jan spojrział na nią z ukosa. Przez chwilę zastanawiał się, czy cokolwiek wyjaśniać, ale w końcu westchnął.

– Muszę to skonsultować ze Staszkiem – powiedział, jakby samo jego imię wyjaśniało wszystko.

– Staszkiem? – powtórzyła Maggie, mrużąc oczy. – Kim jest Staszek?

Jan wzruszył ramionami, próbując nadać temu imieniu lekką wagę.

– Ktoś, kto wie więcej niż ja – odparł. – Powiedzmy, że ma talent do rozwiązywania takich zagadek.

Maggie zmarszczyła brwi.

– To dlaczego jeszcze nie skonsultowałaś się z nim wcześniej? – naciskała. – Jeśli to takie ważne, może powinnam z nim porozmawiać.

Jan uniół rękę, jakby chciał ją powstrzymać.

– Nie, Maggie. To nie jest najlepszy pomysł. Staszek... to skomplikowany człowiek. I uwierz mi, im mniej wie, że ktoś jeszcze się w to miesza, tym lepiej.

– Och, naprawdę? – rzuciła Maggie, przekrzywiając głowę. – Jan, czy to nie jest przypadkiem sposób na trzymanie mnie na uboczu?

Jan spuścił wzrok na teczkę, jakby szukał w niej odpowiedzi, zanim podjął decyzję.

– Nie chodzi o to – odpowiedział cicho. – Chodzi o to, że im dłużej udaje ci się unikać zainteresowania, tym lepiej. Szajka, kontrwywiad... Oni wszyscy są jak sępy. Jeśli zorientują się, że wiesz za dużo, wciągną cię w to bez litości. A ty, Maggie, masz jeszcze szansę wyjść z tego cało.

Maggie skrzywiła się i pochyliła bliżej.

– Wyjść z tego cało? – powtórzyła z drwiną. – Jan, może nie zauważyłeś, ale jestem już w środku. Nie udawaj, że chodzi o moją ochronę. Chodzi o to, żebyś mógł trzymać kontrolę.

Jan spojrzał jej w oczy. Tym razem jego spojrzenie było inne – poważne, pełne czegoś na kształt troski.

– Może masz rację – przyznał w końcu. – Ale nie zmienia to faktu, że Staszek musi to wyjaśnić. A ja nie mogę cię w to wciągać.

Maggie usiadła prosto, ale nie spuszczała z niego wzroku.

– Może nie możesz – odparła – ale prędzej czy później, będziesz musiał.

Maggie, opierając się na łokciu, wpatrywała się w niego z determinacją. Na stoliku między nimi stała zimniejsza już filiżanka herbaty i pół zjedzony kawałek ciasta.

– Jan, musimy iść do Staszka – powiedziała nagle, przerywając ciszę.

Jan nie podniósł głowy. Przewrócił kolejną kartkę, jakby jej słowa nie dotarły do jego świadomości.

– Maggie, Staszek to... skomplikowana sprawa – zaczął, starając się brzmieć spokojnie.

Maggie uniosła brew.

– Skomplikowana? To człowiek, który, jak mówisz, zna więcej szczegółów niż ty czy ja. Jeśli ktoś może nam pomóc zrozumieć tę całą układankę, to właśnie on. Dlaczego więc nie chcesz go odwiedzić?

Jan zawahał się, szukając odpowiednich słów.

– Bo Staszek nie jest kimś, kogo można tak po prostu odwiedzić. Jeśli tam pójdziemy, wciągniemy się w coś, czego możemy bardzo nie chcieć.

– A może na to już za późno? – odparła Maggie z naciskiem, pochylając się w jego stronę. – Spójrz na te dokumenty, Jan. Widzisz te adnotacje? Wygląda na to, że oni wiedzą więcej o nas, niż my wiemy o nich.

Jan przez chwilę milczał, a jego wzrok błędził gdzieś nad jej ramieniem, jakby próbował ułożyć w głowie scenariusz, który rozwiałby jej wątpliwości. W końcu jednak spojrzął jej w oczy.

– Dobrze – powiedział w końcu cicho. – Pójdziemy do niego. Ale obiecaj mi jedno: nie próbuj na niego naciskać. On sam zdecyduje, ile nam powie.

Maggie kiwnęła głową, jej spojrzenie łagodniało, ale determinacja wciąż tliła się w jej oczach.

– Obiecuję.

Jan odłożył dokumenty na bok, sięgnął po płaszcz przewieszony przez oparcie krzesła i ruszył w stronę drzwi, zatrzymując się na chwilę, by spojrzeć na Maggie.

– Gotowa? – zapytał.

– Zawsze – odpowiedziała, chwytając swoją torbę.

Razem opuścili kawiarnię, a ich kroki odbijały się echem w wąskich, cichych uliczkach Galashiels.

—

Staszek czuł się nieswojo, trzymając w rękach zakodowane kartki. Były to fragmenty dokumentów, które przedstawiały losy niemieckich agentów zwerbowanych przez MI5 w ramach operacji Lena z 1940 roku. Operacja ta miała na celu infiltrację i dezinformację niemieckiego wywiadu, a także wykorzystanie jego agentów w służbie brytyjskiej korony. Po wojnie część z tych osób została znaturalizowana i osiedliła się w Wielkiej Brytanii. Byli to cisi uchodźcy wojny, których istnienie i przeszłość zostały zatuszowane. Jednak teraz, dekadę później, ich nazwiska ponownie pojawiły się w raportach, gdy zaczęli fałszować kupony na żywność i angażować się w

rekrutację młodych Polaków – głównie byłych żołnierzy Armii Krajowej. Staszek wiedział, że tacy ludzie, znający tajniki konspiracji, stanowili niebezpieczne narzędzie w rękach osób, które mogły chcieć destabilizować powojenny porządek.

W głębi duszy Staszek miał wyrzuty sumienia, że nie powiedział Janowi wszystkiego. Jan, choć działał intuicyjnie i na pozór niezwiązany z głównym wątkiem tej historii, stał się kluczową postacią. Nieświadomie, kilka lat wcześniej, podczas zajścia w Irvine, otworzył drzwi do całej tej sprawy. Ujawniając prowokatorów wśród brytyjskich żołnierzy, Jan pozwolił MI5 zająć się ponownie grupą agentów, których powiązania z czasów wojny wydawały się już nieistotne. Jeden z nich, znany obecnie jako Julius Franklin, był szczególnie interesujący – człowiek ten zniknął niedługo po wojnie, pozostawiając po sobie tylko ślad w postaci kilku nazwisk powiązanych z fałszerstwami. To Jan, choć o tym nie wiedział, przypadkiem pchnął sprawy do przodu. Przez to, co odkrył podczas swego, niby-nieudanego śledztwa. To Staszek i Blackbird byli tymi, którzy ukręcili całej sprawie łeb. Staszekowi było bardzo przykro z powodu Jana i pomagał mu potem bardzo długo, aż stali się przyjaciółmi. Teraz Staszek miał okazję odplacić się za usługę Janowi. Pozytywnie. Rozważał też do przyznania się do wszystkiego.

Dla Staszka sytuacja nabrała dodatkowej wagi. Jego misja – odkrycie prawdziwych celów szajki – stawała się coraz bardziej skomplikowana. Wiedział, że grupa, która werbowała polskich emigrantów, działała w sposób wyrachowany. Fałszywe obietnice, fragmenty dokumentów ukazujących niesprawiedliwość wobec żołnierzy AK i ich rodzin, a także podsycanie nienawiści wobec brytyjskiego rządu – wszystko

to było precyzyjnie zaplanowane. Jan, jako ktoś, kto cieszył się respektem wśród lokalnej społeczności i był przy tym niemal anonimowy dla dużych graczy, mógł stać się ich celem. Staszek wiedział, że musi chronić Jana – nie tylko dlatego, że był jego przyjacielem, ale też dlatego, że Jan mógł być kluczowym ogniwem w rozwiązaniu tej sprawy.

Ale motywy szajki nadal pozostawały ulotne. Niebezpieczne ślady prowadziły też w stronę Edwarda VIII. Jeden z kodowanych listów, to była korespondencja ogrodnika z Bahamów, który pisał nad wyraz elokwentnie do kolegi ogrodnika na zamku Balmoral. Przechwycona przez MI6 i przekazana Blackbirdowi. Co najmniej dziwna. Najprawdopodobniej pisana kodem, którego jeszcze nie udało się złamać.

Staszek westchnął, przewracając kolejną stronę dokumentów, które leżały rozłożone na stole. Myśli krążyły mu wokół Edwarda VIII, znanego jako Księżę Windsoru, który abdykował w 1936 roku, a jego dalsze losy zdawały się splecione z cienistymi strukturami władzy i tajemnicami wywiadowczymi. Staszek cicho mruknął pod nosem:

– Bahamy, Balmoral, kodowane listy... co jeszcze może się pojawić? – Był zmęczony, ale zaintrygowany. Te fragmenty historii, choć pozornie niezwiązane, układały się w coś większego.

Edward VIII po abdykacji żył życiem pełnym luksusu i kontrowersji. W czasie wojny pełnił funkcję gubernatora Bahamów, gdzie jego sympatie wobec nazistów wywołały spore zamieszanie. Krążyły pogłoski, że spotykał się z

niemieckimi agentami, a jego postawa względem hitlerowskich Niemiec była, delikatnie mówiąc, dwuznaczna. W 1949 roku Edward mieszkał we Francji ze swoją żoną Wallis Simpson. Prowadzili życie wypełnione wystawnymi przyjęciami, ale ich otoczenie było pełne postaci z przeszłości, w tym dawnych niemieckich dyplomatów.

Staszek odłożył dokument na bok i zaczął mówić sam do siebie:

– Co by chciał uzyskać Edward VIII? Zemsta na rodzinie królewskiej? Albo zwykła potrzeba utrzymania swojej pozycji w cieniu? Może wcale nie ma to nic wspólnego z nim, a tylko użyto jego nazwiska, żeby zmylić MI5. Ale... list ogrodnika? – Przetarł dłonią twarz.

Wziął do ręki kopię przechwyconego listu, analizując precyzyjnie dobrane słowa i zwroty. Pismo, choć proste, pełne było dziwnych szczegółów o „roślinach dobrze rosnących w cieniu” i „płodozmianie w trudnych warunkach”. Brzmiało to absurdalnie w kontekście wojennego wywiadu, ale MI6 widocznie sądziło inaczej. W korespondencji mogło kryć się coś więcej, choć nie było jasne, dlaczego miałyby ona dotrzeć do szkockiego zamku Balmoral, szczególnie że Edward mieszkał wtedy w zupełnie innym miejscu.

W jego myślach pojawiło się pytanie: „A może list to tylko przynęta?” Mógł zostać skonstruowany, by odwrócić uwagę MI5 od działań szajki. Ale dlaczego szkocki zamek i kto miałby być odbiorcą? Staszek poczuł, jak napięcie w nim rośnie.

W tym momencie na podłodze coś zaszeleściło. Staszek spojrzął w dół i zobaczył kota Atora, który wślizgnął się do

pokoju. Zanim zdążył zareagować, Ator zaczął ocierać się o jego nogi, wydając żałosne miauknięcia.

– Co ty tutaj robisz? – zapytał, próbując skupić myśli, ale kot był nieustępliwy.

Ator usiadł przy jego nodze, patrząc na niego przenikliwymi zielonymi oczami, jakby domagał się wyjaśnień równie pilnie jak jedzenia. Staszek uśmiechnął się mimowolnie.

– Tak, tak, już ci coś znajdę – powiedział, wstając. Zastanawiał się, czy kot jest tak samo głodny informacji, jak on sam odpowiedzi na pytania.

Kiedy przygotowywał jedzenie dla Atora, jego myśli znów wróciły do Edwarda VIII i kodowanego listu. Może kot przyniósł szczęście, a może to tylko przerwa, której tak bardzo potrzebował.

—

Staszek pochylał się nad rozkręconym silnikiem, który leżał na roboczym stole w warsztacie. Praca przy maszynach pomagała mu myśleć – czuł, jak rytmiczny stukot narzędzi i zapach oleju wypełniający przestrzeń oczyszczają umysł. Warsztat był dla niego azylem, miejscem, gdzie zgiełk spraw, które plątały się wokół niego, wydawał się odległy. Nawet jeśli był tylko przykrywką, Staszek był oryginalnie kształcony na mechanika. Maszyny były proste. Ludzie skomplikowani.

W kącie warsztatu Ator, czarny kot, jadł z ceramicznej miski, ignorując wszystko, co działo się dookoła. Tylko od czasu do

czasu rzucał okiem na Staszka, jakby upewniając się, że ten nadal tam jest.

Drzwi warsztatu otworzyły się nagle, skrzypiąc przeciągle. Staszek uniósł głowę, wycierając dłonie w szmatkę, i zobaczył stojących w progu Jana i kobietę, której wcześniej nie widział. Jan zamknął za sobą drzwi, a Maggie zatrzymała się, rozglądając się po warsztacie z widocznym zaciekawieniem.

– Staszek – powiedział Jan, odstawiając kapelusz na pobliski hak. – To Maggie.

Staszek skrzywił się, patrząc na kobietę, a potem na Jana.

– Wiem, kim jest Maggie – odparł cicho, ale z wyczuwalną ironią. Odwrócił się i odstawił klucz na stół, spoglądając na kota, który teraz wpatrywał się w nich z lekkim zainteresowaniem. – Pytanie, dlaczego ją tutaj przyprowadziłeś.

Maggie uniosła brew, wyraźnie niezadowolona z tonu.

– Bo postanowiłem jej zaufać – odpowiedział Jan spokojnie.

– Ty? Ty komuś zaufałeś? – Staszek parsknął, a w jego głosie pojawił się cień ironii. Podszedł do stołu, jakby nie mógł znieść stania w miejscu. – Od kiedy to Jan Kowalewski bierze kogokolwiek do swojego małego kręgu wtajemniczonych?

Jan spojrzał na Maggie, jakby szukał w jej twarzy odpowiedzi, którą mógłby przekazać dalej.

– Bo jest uparta – odpowiedział w końcu.

Maggie wyprostowała się, w jej oczach błysnęła determinacja.

– Bo wiedziałam, że w tej sprawie potrzebujesz pomocy – dodała. – A ja już jestem w to zamieszana.

Staszek uniósł ręce, jakby chciał przerwać ich słowne przepychanki.

– Dobrze, dobrze. Ale co konkretnie ona tutaj robi? Mam wrażenie, że twoje sprawy były zawsze twoimi sprawami.

– Przyniosła dokumenty – powiedział Jan, wyjmując z kieszeni teczkę. – I są w nich rzeczy, które musisz zobaczyć.

Staszek zmarszczył brwi i spojrzał na teczkę, a potem na kota, który teraz ocierał się o nogi Maggie, domagając się uwagi.

– Ator też uważa, że coś tu nie gra – mruknął Staszek, schylając się, by pogłaskać kota. – Dobrze, Jan. Pokaż, co masz, ale najpierw powiedz mi jedno. Dlaczego Maggie jest taka ważna?

Jan spojrzał na Maggie, jakby sam próbował znaleźć odpowiedź.

– Bo... Maggie nie odpuści – powiedział w końcu.

Maggie rzuciła Staszekowi spojrzenie pełne determinacji, a ten tylko westchnął i sięgnął po dokumenty.

Staszek usiadł przy stole w rogu warsztatu, gdzie światło z wiszącej nad głową lampy rzucało ostre cienie na porozrzucane narzędzia i smar. Wyciągnął dokumenty z teczki, którą przyniósł Jan, i zaczął je przeglądać. Ręce, z

pozoru spokojne, przesuwaly kartki, ale gdzieś w środku czuł, że coś tu jest nie tak.

Na każdej stronie widniały starannie zapisane notatki, adnotacje, a niektóre dokumenty miały pieczętki brytyjskich służb. Tajne dokumenty, listy nazwisk, sporo adnotacji Maggie. Przykuł jego uwagę dokument na temat Boryły. Wiedział, ile ten człowiek znaczył w życiu Jana. Oto przed nim leżały kopie rzeczy, które, jak był pewien, nie miały prawa znaleźć się poza ich pierwotnym miejscem przechowywania.

Przejechał palcem po jednym z nazwisk na liście. Julius Franklin. Pamiętał to nazwisko z raportów MI5, które udało mu się kiedyś zdobyć. Franklin był jednym z tych, którzy mieli podwójne życie – były niemiecki agent, zwerbowany przez Brytyjczyków, a potem zniknął bez śladu. To, że Maggie miała jego nazwisko na tej liście, świadczyło o jednym – wiedziała więcej, niż powinna.

Staszek spojrział ukradkiem na Maggie, która stała przy drzwiach warsztatu, lekko opierając się o framugę. Obserwowała go uważnie, jakby czekała na jakiś werdykt. Wyglądała spokojnie, niemal nonszalancko, ale w jej oczach czaiła się ostrożność.

„Kim ty właściwie jesteś, dziewczyno?” – pomyślał Staszek, z trudem tłumiąc niepokój. Zwykle potrafił rozpoznać, z kim ma do czynienia. Ludzie mieli swoje ślady – sposób mówienia, przeszłość, która prędzej czy później wychodziła na jaw. Ale Maggie była zagadką.

– Skąd to masz? – zapytał nagle, próbując utrzymać głos w neutralnym tonie, choć w środku czuł, jak napięcie rośnie.

Maggie wzruszyła ramionami, jakby to było coś zupełnie naturalnego.

– Mam swoje sposoby – odparła, patrząc mu prosto w oczy.

– Swoje sposoby? – powtórzył z nutą ironii, ale jednocześnie zaczął układać sobie w głowie wszystkie scenariusze. Czy była związana z jakąś organizacją? Może pracowała dla kogoś, kto chciał podsycić chaos w polskiej społeczności?

Nie dał po sobie poznać, że czuje się nieswojo. Zamiast tego wrócił do przeglądania dokumentów, choć każdy kolejny szczegół, który się w nich znajdował, tylko potęgował jego wątpliwości.

„Ona wie za dużo” – pomyślał. „A ja nie wiem o niej nic. To nie jest dobry układ”.

Staszek przesunął na bok ostatnią stronę i złożył dokumenty z powrotem do teczki. Odłożył ją na stół i spojrzał na Maggie, która wciąż na niego patrzyła, czekając na odpowiedź.

– Masz tu rzeczy, które mogłyby ściągnąć na ciebie spore kłopoty – powiedział w końcu, zerkając na Jana. – Powinnaś być ostrożna, dziewczyno. Nie każdy będzie tak cierpliwy, jak ja.

Maggie uniosła brew, jakby chciała coś odpowiedzieć, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

– Mogę sobie poradzić – powiedziała spokojnie.

Staszek zmrużył oczy, ale nie odpowiedział. Ator podszedł do niego i zaczął ocierać się o jego nogi, jakby wyczuwając

napięcie w pomieszczeniu. Staszek schylił się, podrapał kota za uchem i westchnął.

„Muszę dowiedzieć się więcej o tej dziewczynie” – pomyślał. „Zbyt wiele niewiadomych. A w tej grze każda niewiadoma może być śmiertelna”.

– No dobra – zaczął powoli Staszek, jego głos był niski, niemal szorstki. – Chyba przyszedł czas, żeby postawić sprawy jasno.

Jan uniósł brew, wyraźnie zaskoczony tonem Staszka.

– Co masz na myśli? – zapytał, opierając się o stół i mrużąc oczy.

– To, że plan, który sobie wymyśliliśmy, Janie, jest już nieaktualny – Staszek spojrzał na niego poważnie. – Myślałem, że uda ci się samemu to rozpracować, zrobić wywiad, zebrać dane i wyjść z tego cało. Ale z tą dziewczyną na pokładzie – wskazał ruchem głowy na Maggie – to już nie jest opcja.

Maggie wyprostowała się i zmarszczyła brwi.

– Co to ma znaczyć? – wtrąciła, krzyżując ramiona.

Staszek uniósł rękę, jakby chciał ją uciszyć, ale jego głos nie stracił stanowczości.

– To znaczy, że teraz działamy w trójkę. Ty wiesz za dużo, Maggie. Za dużo, żeby to zignorować. I za dużo, żeby pozwolić ci błąkać się z tym wszystkim sama.

Jan spojrział na Staszka z niedowierzaniem.

– Staszek, chwila. Nie uważasz, że to ryzykowne? Maggie nie ma chyba doświadczenia w... – przerwał, szukając odpowiedniego słowa – w takich sprawach.

– Ryzykowne? – Staszek spojrział na Jana z nieukrywaną irytacją. – A co, uważasz, że nasz poprzedni plan to był szczyt bezpieczeństwa?

– Nie o to chodzi... – zaczął Jan, ale Staszek mu przerwał.

– To właśnie o to chodzi! – podniósł głos, po czym odetchnął głęboko, uspokajając się. – Jeśli Maggie ma te dokumenty – wskazał na teczkę – to znaczy, że jest już na ich radarze. A jeśli ty myślisz, że dalej możesz działać solo, to się grubo mylisz.

Maggie, dotychczas milcząca, w końcu wtrąciła się.

– Dlaczego teraz nagle włączasz mnie do gry? Przecież mnie nawet nie znasz.

Staszek spojrział na nią twardo, ale bez cienia wrogości.

– Bo jeśli coś ma pójść nie tak, lepiej, żebyśmy wszyscy byli tego świadomi. W tej chwili ty jesteś zarówno naszym najslabszym ogniwem, jak i największym atutem. Wiesz rzeczy, do których nikt z nas nie miałby dostępu. Ale pytanie brzmi: jak?

Maggie spuściła wzrok, przez chwilę wydawała się zbierać myśli. W końcu odparła:

– Mam swoje źródła.

– Swoje źródła? – powtórzył Staszek z lekkim uśmiechem. – No to świetnie, będziemy ich potrzebować.

Jan westchnął ciężko, po czym spojrzał na Maggie, jakby szukając w jej oczach odpowiedzi, której sam nie mógł znaleźć.

– Jeśli mamy to robić razem, to wszystko musi być na stole – powiedział w końcu. – Nie ma ukrywania informacji, żadnych niedopowiedzeń. Zgoda?

Maggie spojrzała na obu mężczyzn, a potem kiwnęła głową.

– Zgoda.

Staszek wstał z krzesła, wyciągnął rękę w stronę kota Atora i poklepał go po głowie. Na dłuższy moment zaległa bardzo wielka cisza.

Jan zaczął pierwszy, wyraźnie zmieszany całą sytuacją.

– Chyba powinniśmy zacząć od tego, dlaczego w ogóle się tu wszyscy znaleźliśmy – powiedział, unikając wzroku Maggie, która odchyłała się lekko na krześle. – Spotkałem się ze Staszkiem dosłownie dzisiaj rano. Chociaż znamy się od lat. Próbuję odnaleźć Piotra Chmielewskiego. Zaginął, a wszystko wskazuje na to, że jego sprawa jest powiązana z czymś dużo większym. Trop od jego siostry prowadził do warsztatu Staszka.

Staszek przerwał mu krótkim uniesieniem dłoni.

– To prawda – powiedział, podnosząc kartkę z dokumentami Maggie. – Sprawa Piotra łączy się z działalnością szajki fałszerzy kuponów żywnościowych. Ale musisz zrozumieć, Janie, że to, co robimy, nie ogranicza się tylko do jego poszukiwań.

Staszek odchylił się na krześle, wyraźnie zastanawiając się, ile może powiedzieć.

– Od pewnego czasu śledzę zniknięcia młodych Polaków – powiedział oględnie. – Mężczyzn, którzy nie tylko byli żołnierzami, ale też dobrze znali konspirację. Piotr był jednym z nich. Fałszerstwa to tylko wierzchołek góry lodowej.

Zawiesił głos i spojrzał na Maggie.

– A teraz pytanie do ciebie, Maggie. Masz kopie dokumentów, które mogłyby postawić na nogi cały brytyjski wywiad. Skąd, do diabła, je masz?

Maggie uniosła brodę, jakby chciała pokazać, że nic sobie nie robi z jego ostrego tonu.

– To nie jest takie proste – zaczęła, unikając wzroku Staszka.

– Lepiej, żeby było – przerwał jej Staszek. – Bo albo zaczniemy grać w otwarte karty, albo nasza współpraca skończy się zanim na dobre się zaczęła.

Jan spojrzał na Maggie, wyraźnie niezadowolony z tego, jak Staszek ją naciskał.

– Daj jej chwilę, Staszek – wtrącił Jan. – Maggie, możesz nam zaufać.

Maggie zawahała się, po czym westchnęła.

– Dobrze – powiedziała cicho. – Dokumenty mam od kogoś z Londynu. Kobiety o imieniu Lena. Przez ostatnie miesiące pracowałam nad dziennikarskim śledztwem. Lena była moim kontaktem. Ale nie wiem, kim jest naprawdę ani skąd wzięła te papiery. Ostatni raz rozmawiałam z nią cztery miesiące temu przez telefon. Następnego dnia znalazłam dokumenty w mojej skrzynce na listy.

Staszek zmrużył oczy, jakby analizował każde jej słowo.

– Lena... – powtórzył wolno. – To imię pojawiło się już wcześniej. W nazwie pewnej szczególnej operacji.

Jan spojrział na niego zaskoczony.

– Gdzie?

– To długa historia – odparł Staszek. – Ale jeśli to ta sama osoba, to Maggie mogła wplątać się w coś znacznie poważniejszego, niż jej się wydaje.

Staszek wstał od stołu, podchodząc do warsztatowego regału, z którego wyciągnął opasły segregator. Jego ruchy były powolne, niemal ostentacyjne, jakby chciał podkreślić wagę tego, co zaraz zamierza powiedzieć. Otworzył segregator na oznaczonej zakładce i położył go na stole przed Janem i Maggie.

– Operacja Lena – zaczął, wskazując na kilka zażółconych dokumentów. – Była to nazwa niemieckiego programu infiltracji Wielkiej Brytanii przez szpiegów wysłanych jeszcze

przed rozpoczęciem wojny. Cel? Oczywiście. Sabotaż i dezinformacja. Ale to, co jest naprawdę interesujące, to co stało się z tymi ludźmi po D-Day.

Maggie nachyliła się nad dokumentami, próbując rozszyfrować nagłówki pisane czcionką maszynową.

– Co się z nimi stało? – zapytała ostrożnie.

Staszek westchnął, przeciągając dłonią po twarzy.

– Niektórym pozwolono osiedlić się w kraju, by monitorować ich działalność. W tamtym czasie to mogło wydawać się logiczne. Ale niektórzy z tych ludzi znów stali się problemem.

Jan uniósł brew.

– I co ma z tym wspólnego Lena?

Staszek wskazał na jedną z zakodowanych list w segregatorze.

– Kluczowa w tym wszystkim jest lista nazwisk. Podobna trafiła również do MI5. I mam ją ja. Taką samą, jaką ma Maggie.

Maggie spojrzała na Jana, a potem na Staszka.

– Mówisz, że Lena może być jednym z nich? – spytała, z niedowierzaniem w głosie.

Staszek wzruszył ramionami.

– To możliwe. Albo ma z nimi kontakt. Problem w tym, że te listy nazwisk, w tym ta, którą znalazłaś w swojej skrzynce, łączą nie tylko dawnych niemieckich szpiegów, ale również zaginionych młodych Polaków. Wszystko wskazuje na to, że szajka fałszerzy kuponów to tylko przykrywka dla czegoś znacznie bardziej złożonego.

Staszek zamyślił się na chwilę, wpatrując w zakodowane nazwiska.

– Wiesz, Maggie – powiedział w końcu – brytyjska polityka po wojnie była pełna paradoksów. Niemieckich agentów, którzy służyli w operacji Lena, po wojnie nie rozliczono. Wielu z nich zwerbowano do MI5 lub CIA. Dostali nowe nazwiska, nowe życie. Ale niektórzy z nich nigdy nie przestali działać. Jeśli ta szajka fałszerzy ma z nimi powiązania, to stoimy na progu czegoś znacznie większego, niż moglibyśmy sobie wyobrazić.

Jan zamilkł na chwilę, patrząc na Maggie, jakby próbował ocenić, czy może jej zaufać w tej sprawie.

– Musimy działać razem – powiedział w końcu, przerywając ciszę. – Nie ma sensu rozdzielać się, skoro wszystko zaczyna się łączyć.

Staszek kiwnął głową.

– Dwie lokalizacje w Peebles, o których mówiliśmy wcześniej – warsztat na Caledonian Road i magazyn przy Eastgate – to nie przypadek. Warsztat prowadzi Frazerwood, rzekomo zwykły mechanik, ale mamy dowody, że wykorzystuje to miejsce do ukrywania przesyłek. Magazyn Hardinga to zupełnie inna sprawa. Właściciel wynajmuje przestrzeń na

krótkie okresy i unika odpowiedzi, co tam faktycznie przechowuje. Myślę, że te miejsca mogą być kluczowe w rozpracowaniu szajki.

Staszek zdążył to powiedzieć i wtedy Ator wskoczył na stół, trącił leżącą tam teczkę Maggie. Dokumenty spadły i rozsypały się. Jan zaczął je zbierać i wtedy zauważył coś nowego. Co wcześniej przegapił. Zlepiona mała kartka. Rachunek z Frazier Garage na Caledonian Road. Pokazał go Maggie i Staszewi.

– Nie możemy tracić czasu – wtrąciła Maggie, patrząc na Staszka i Jana z determinacją.

Staszek westchnął, przeciągnął dłonią po twarzy i odwrócił się do Jana, ignorując na moment Maggie.

– Jan, rozumiesz, dlaczego to jest tak skomplikowane? To nie jest tylko kwestia znalezienia odpowiedzi na pytania, które mamy. Każdy nasz krok może ściągnąć na nas niechcianą uwagę.

Jan zmarszczył brwi, opierając się rękami o stół.

– Ale chyba właśnie o to chodzi, prawda? O wyciągnięcie tego wszystkiego na światło dzienne? Ludzie muszą wiedzieć.

– Myślisz, że to takie proste? – Staszek spojrzał na niego ostro. – To nie film. Wciągnięcie Maggie, ryzykowanie twojego życia – to są realne konsekwencje. Zbyt wielu ludzi wie za dużo, a to zawsze kończy się źle.

Jan wzruszył ramionami, choć wyraz twarzy zdradzał mieszankę niepokoju i złości.

– To właśnie dlatego powinno się działać. Jeśli każdy będzie bał się mówić, to co nam zostanie? Teraz mamy dokładny ślad.

Staszek przez chwilę milczał, jakby zastanawiał się, czy dalsza rozmowa ma sens. W końcu zwrócił się do Maggie.

– Dobra, Maggie. Jeśli chcesz iść z nami, musisz się przygotować. To nie będzie spacer po parku.

Ator, jakby wyczuwając napięcie, miauknął przeciągle i otarł się o nogi Staszka, który machinalnie pogłaskał kota.

– Lepiej, żebyś wiedziała, w co się pakujesz – dodał, patrząc prosto na Maggie.

Maggie wyprostowała się, rzucając Staszкови pewne spojrzenie.

– Wiem wystarczająco – powiedziała spokojnie, ale z nutą stanowczości.

Jan wstał, przesuwając krzesło z głośnym skrzypnięciem.

– To co? Warsztat?

Staszek skinął głową, zamykając segregator.

– Jedźmy.

—

Żółty Volkswagen Beetle Maggie przetaczał się leniwie po wijącej się drodze z Galashiels do Peebles. Silnik terkotał miarowo, wypełniając ciszę, która zapadła między trójką pasażerów. Za oknami krajobraz przesuwiał się niczym malowany akwarelą: delikatne, złociste od letniego słońca wzgórza Cairn Hill i leniwie wijąca się rzeka Leithen, odbijająca błękit nieba, były jak wyjęte z kart pocztówek. Chłodny wiatr muskał ich twarze, wpadając przez lekko uchylone okno po stronie kierowcy, niosąc zapach wilgotnych liści i ziół porastających pobocza.

Jan siedział na przednim fotelu pasażera, wpatrując się w krajobraz, choć jego myśli uciekały daleko poza ten malowniczy pejzaż. Miał świadomość misji, na którą właśnie się udawali, ale co rusz łapał się na tym, że jego myśli powracają do Maggie. Jak to możliwe, że tak szybko zaczęła wypełniać luki w jego ostrożnie pielęgnowanej samotności? Zaledwie wczoraj była dla niego obcą osobą, kimś, kogo traktował z podejrzliwością i dystansem. A teraz – cóż, teraz jej obecność była jak słońce w tym zimnym, jesiennym krajobrazie.

Przygryzł wargę, próbując powstrzymać te myśli, ale spojrzenie Maggie – skupione na drodze, pewne i skoncentrowane – co chwila odwracało jego uwagę. Jej dłoń spoczywała na kierownicy, druga opierała się na gałce zmiany biegów. Była skupiona, a jednocześnie wydawała się tak naturalna w tej prostocie chwili, jakby ta podróż była tylko kolejnym zwyczajnym dniem.

W lusterku wstecznym Staszek przyglądał się obojgu z tylniego siedzenia, zachowując milczenie. Wiedział, że każde

z nich w tej chwili porządkowało swoje myśli. On sam, choć również pełen wątpliwości, starał się nie zdradzać żadnych emocji. Myśli o operacji Lena i nadchodzącym starciu z fałszerzami kuponów skutecznie zajmowały jego uwagę, choć przez moment, widząc jak Jan zerka ukradkiem na Maggie, uniósł kącik ust w delikatnym uśmiechu.

Droga wiodła coraz wyżej, wspinając się w stronę wzgórz. Volkswagen wziął jeden z zakrętów, a ich oczom ukazał się malowniczy widok: dolina spowita lekką mgiełką, z rzeką Leithen wijącą się jak srebrna wstążka między wzgórzami. Maggie zwolniła, by lepiej pokonać stromy zjazd.

Jan w końcu odważył się przerwać ciszę:

– Niesamowite widoki – rzucił, choć jego głos zdradzał, że to nie krajobrazy były w tej chwili jego główną myślą.

Maggie spojrzała na niego kątem oka, uśmiechając się lekko.

– Zawsze lubiłam tę trasę. Często jeździłam nią jako dziecko z rodzicami. – Jej głos był spokojny, ale brzmiała w nim nostalgia.

Jan skinął głową, zastanawiając się, czy w jej życiu zawsze było miejsce na takie proste, zwyczajne chwile. Czuł, że Maggie skrywa więcej, niż do tej pory powiedziała.

Volkswagen wtoczył się na prosty odcinek drogi, a Peebles zaczęło majaczyć na horyzoncie. W Janie powoli budziła się pewność, że coś ich łączy. Nie wiedział jeszcze, czy to wystarczy, by zbudować zaufanie, ale wiedział jedno – Maggie była częścią tej historii.

Otrząsnął się. Maggie właśnie wjeżdżała do Peebles.

—

Zatrzymali się kilka ulic dalej, parkując żółtego Volkswagena Beetle Maggie w bocznej alejce, gdzie cień budynków skutecznie skrywał samochód przed przypadkowymi spojrzeniami. Caledonian Road, jeszcze tętniąca życiem, była pełna przechodniów, handlarzy i dzieci biegających z kijami, udającymi szable. Warsztat, ich cel, wciąż pozostawał otwarty. Zbyt wielu ludzi mogło ich zauważyć, zbyt wiele oczu mogło śledzić każdy ich ruch.

Maggie westchnęła ciężko, opierając ręce na kierownicy.

– No i co teraz? Czekać? – spytała, spoglądając na Staszka siedzącego z tyłu. Wyciągnął z kieszeni kartkę papieru i przeglądał ją, jakby szukał w niej wskazówek.

Jan rzucił szybkie spojrzenie w stronę warsztatu i zmarszczył brwi.

– Nie możemy po prostu tam wejść – powiedział. – Zbyt jasno, zbyt wiele osób.

Staszek, wciąż patrząc na kartkę, uniósł lekko głowę.

– Dwie godziny miną szybciej, niż ci się wydaje. To tylko czekanie.

Maggie spojrzała na niego sceptycznie.

– Może dla ciebie. Ja wolę działać. Bezczynność mnie męczy.

Jan zaśmiał się cicho.

– Zaczynam to zauważać. Ale Staszek ma rację. Nie możemy ryzykować.

Zamyślił się na chwilę, a potem wskazał na pub po drugiej stronie ulicy, z szyldem „Dutch Haven.”

– Znam właściciela. Pratesh jest przyjacielem ludzi z D. Ballantyne Brothers & Co Ltd. Możemy tam poczekać, nie zwracając na siebie uwagi. Dobry człowiek. Zrozumie, jeśli będziemy potrzebowali spokoju.

Staszek uniósł brwi, wciąż skupiony na swojej kartce.

– Idźcie. Ale pamiętajcie, że warsztat trzeba mieć na oku. Ja zostanę w pobliżu.

Maggie rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie.

– A ty? Nie uważasz, że w pubie byłoby mniej podejrzanie?

Staszek uśmiechnął się kątem ust, wyciągając z kieszeni małą lornetkę.

– Ufam swoim metodom. Wy róbcie swoje.

Jan skinął głową i otworzył drzwi samochodu.

– W porządku. Ale nie spędzimy tam całej nocy. Zbieramy się przed zmrokiem.

Pratesh's Haven okazał się przytulnym miejscem, gdzie egzotyczny zapach przypraw mieszał się z nutą whisky. Maggie zajęła stolik przy oknie, skąd miała widok na

Caledonian Road i warsztat. Jan podszedł do baru, zamawiając herbatę i piwo.

Stojąc przy kontuarze, dostrzegł znajomą twarz – Angusa, jednego z robotników z fabryki D. Ballantyne Brothers & Co Ltd. Mężczyzna stał z kuflem piwa w dłoni, uśmiechając się szeroko, jakby właśnie spotkał starego znajomego.

– Jan, mój człowieku! – wykrzyknął Angus, glasgowiańskim akcentem, podchodząc bliżej. – Jak ci mija przerwa w pracy? Nie spodziewałem się, że cię tutaj zobaczę.

Jan zamarł na moment, analizując szybko, jak najlepiej zareagować. Nie mógł sobie pozwolić na żadne faux pas. Odpowiedział lekkim uśmiechem.

– Wiesz, Angus, czasem trzeba się oderwać. A ty? Też przerwa od codziennego młyna?

Angus roześmiał się głośno, odstawiając kufel na blat.

– Ach, stary, ja to mam dzisiaj dzień wolny. Wpadłem do Pratesha zobaczyć, czy ma coś nowego. A ty? Nie pamiętam, żebym widział cię wcześniej w tym miejscu. Może teraz częściej będziesz wpadał? – Angus rozejrzał się, w myślach szybko rozważając od którego stolika Jan podszedł. Żarówka zaświeciła się w jego głowie – Oh good man! Lucky! She's lovely!

Jan spojrzął na barmana, który stawiał przed nim zamówione napoje, a potem znów na Angusa, który z ciekawością wpatrywał się w niego.

– Może tak – odparł, biorąc piwo. – Ale wiesz, nie zdradzaj nikomu. Potrzebuję trochę spokoju.

Angus uśmiechnął się konspiracyjnie i poklepał Jana po ramieniu.

– Spokoju? Z tego co wiem, to Pratesh ma najspokojniejszy pub w całym Peebles. A tak w ogóle, co tam u ciebie?

Jan z trudem zachował spokój. Wiedział, że Angus jest rozmowny, ale nie mógł pozwolić, by rozmowa zesłała na temat, który mógłby wzbudzić podejrzenia.

– Wszystko w porządku, Angus. Może następnym razem usiądziemy i porozmawiamy dłużej. Teraz muszę wracać.

Angus wzruszył ramionami, podnosząc swój kufel. Cieszył się, że samotny Jan w końcu kogoś poznał.

– Pewnie, Jan. Do następnego razu. Ale pamiętaj – jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebował rozmowy, wiesz, gdzie mnie szukać.

Na tym wszelkie wydarzenia w pubie skończyły się. Pratesh przyszedł się przywitać, zdziwiony jak Angus, że Jan zawitał w pubie. Ale szybko zrozumiał widząc Maggie. Zadbał by nikt im nie przeszkadzał.

– Maggie – zaczął Jan, a jego głos był spokojny, ale stanowczy. – Muszę wiedzieć, skąd to wszystko masz. Te dokumenty, twoja wiedza... Jest tego za dużo, jak na dziennikarskie śledztwo.

Maggie westchnęła i spojrzała na niego z lekkim zmęczeniem.

– Już ci mówiłam, Jan. Lena. Mój kontakt w Londynie.

Jan oparł się na krzesło, mrużąc oczy.

– Kim jest Lena? Dlaczego miałaby dać ci dostęp do takich rzeczy? To nie są zwykłe dokumenty, Maggie. To materiały, które mogłyby sprowadzić na ciebie poważne kłopoty.

Maggie spojrzała na niego, po czym wzięła głęboki oddech, jakby ważyła, ile może ujawnić.

– Lena to pseudonim. Nawet nie wiem, czy to jej prawdziwe imię. Spotkałam ją przez przypadek, kiedy pracowałam nad zupełnie innym artykułem – o uchodźcach wojennych. Była jedną z tych osób, które wiedziały zbyt wiele o zbyt wielu rzeczach. Przez miesiące podsyłała mi drobne tropy, dokumenty. Mówiła, że chce, żebym pomogła ujawnić pewne prawdy.

Jan uniósł brew.

– Jakie prawdy?

Maggie spojrzała mu w oczy.

– O tym, jak Wielka Brytania wykorzystała niektórych ludzi podczas wojny, a potem ich porzuciła. Jak dawne aliance przerodziły się w tajemnice i zdrady. Ale nigdy nie wiedziałam, skąd dokładnie ma te informacje. Nie pytałam. Po prostu myślałam, że to kolejny informator, ktoś z wywiadu albo związany z polityką.

Jan oparł łokcie na stole, nachylając się bliżej.

– A teraz?

Maggie opuściła wzrok, bawiąc się skrawkiem papieru na stole.

– Teraz... już jej nie ma. Ostatni raz rozmawialiśmy cztery miesiące temu. Powiedziała, że wyjeżdża na kontynent, ale nie podała szczegółów. Następnego dnia znalazłam dokumenty w mojej skrzynce na listy.

Jan zmarszczył brwi.

– I nie próbowałaś się z nią skontaktować?

Maggie uniosła wzrok.

– Próbowałam. Telefon jest głuchy. Żadnych odpowiedzi na listy. Zniknęła, Jan. A ja nie wiem, czy to dlatego, że coś jej się stało, czy może uznała, że zrobiła już wystarczająco dużo.

Jan milczał przez chwilę, obracając filiżankę w dłoniach.

– To ryzykowne, Maggie. Wiesz, że to wszystko może być częścią większej gry, prawda? Możesz być tylko narzędziem w czyichś rękach.

Maggie spojrzała na niego z determinacją.

– Może. Ale jeśli to, co znalazłam, może pomóc odkryć prawdę, to jest warte ryzyka.

Jan kiwnął głową, ale jego oczy zdradzały niepokój.

– A jak udało się Tobie ukryć fakt, że te dokumenty posiadasz? – spytał, opierając łokcie na stole i pochylając się ku Maggie, jakby próbował lepiej dostrzec prawdę w jej spojrzeniu.

Maggie zamilkła na chwilę, jakby zastanawiając się, jak sformułować odpowiedź.

– To nie było łatwe – zaczęła cicho. – Po tym, jak znalazłam dokumenty w skrzynce, musiałam działać ostrożnie. Na początku sądziłam, że to tylko kopie, ale kiedy zaczęłam je przeglądać... Jan, te pieczęcie, te podpisy – wyglądają na oryginały.

Jan uniósł brwi, a jego spojrzenie stało się jeszcze bardziej przenikliwe.

– I nikt się nimi nie zainteresował? Nie zauważył, że zniknęły?

Maggie pokręciła głową.

– Nie wiem. Może Lena miała dostęp do jakiegoś archiwum, które już dawno przestało być kontrolowane. Może ktoś celowo pozwolił jej je zdobyć.

Jan spojrzał przez okno pubu na ulicę, jakby próbując dostrzec coś w cieniu zapadającego zmroku.

– A te dokumenty? Jak udało ci się je przewieźć?

Maggie uśmiechnęła się słabo.

– Ukryłam je w walizce między książkami i gazetami. Nikt nie zwrócił na nie uwagi. Część z nich zdeponowałam u znajomego w Londynie, na wypadek gdyby coś mi się stało.

Jan spojrzał na nią z uznaniem, ale w jego oczach czaiła się troska.

– Jesteś lepsza w konspiracji, niż przypuszczałem.

Maggie wzruszyła ramionami.

– Praca dziennikarza wymaga czasem takich umiejętności. Ale to wciąż nic w porównaniu z tym, co robisz ty i Staszek.

– Ja za wiele nie robię. Tylko od wczoraj ... - zanim Jan dokończył, przerwała mu Maggie.

– Jan! Znam twoją historię i proszę mi tutaj nie strugać skromniska – rzuciła Maggie stanowczym tonem, na tyle głośno, że kilka osób w pubie obejrzało się w ich stronę. Twarze miejscowych wyrażały wyraźne niezadowolenie, słysząc język polski. Jan momentalnie poczuł gorąco na policzkach i nerwowo przesunął ręką po szyi, szukając odpowiednich słów.

– I'd like to practice English – powiedział nagle, przerywając napiętą ciszę, która zawisła między nimi. Popatrzył na Maggie znacząco, próbując przekazać, że powinni zmienić ton rozmowy.

– If you'd like – odpowiedziała Maggie po chwili, unosząc brwi, ale z lekkim uśmiechem. Jej spojrzenie złagodniało, gdy

zauważyła, że atmosfera w pubie uspokaja się, a twarze wokół nich odwracają się w swoje strony.

Jan przełknął ślinę i zaczął mówić, początkowo nieśmiało, ale wyraźnie zdeterminowany, by trzymać się wyznaczonej roli. Maggie, z jej płynnym londyńskim akcentem, podchwyciła temat i zaczęła opowiadać o drobiazgach z życia codziennego. Rozmowa toczyła się powoli, pełna przerw, gdy Jan zastanawiał się nad właściwymi słowami, a Maggie cierpliwie czekała, pomagając, gdy było to konieczne.

Z czasem rozmowa zaczęła płynąć swobodniej. Maggie z łatwością wciągnęła Jana w opowieści o dzieciństwie, a jej perlisty śmiech rozbrzmiewał, gdy wspominała zabawy z rodzeństwem na angielskiej wsi. Jan, choć początkowo powściągliwy, pozwolił sobie na cichy uśmiech, gdy opowiadał o swoim dorastaniu w cieniu wojny, o marzeniach, które wydawały się tak dalekie, i o małych radościach, które wypełniały trudne dni.

– It wasn't always easy – powiedział cicho, bawiąc się kuflem piwa. Maggie spojrzała na niego uważnie, ale nie naciskała.

– But you're here now – odparła z ciepłym uśmiechem. – And that's what matters.

Czas mijał szybko, a ich rozmowa stała się swoistym mostem między dwoma różnymi światami. Maggie, z jej pewnością siebie i miejskim obyciem, oraz Jan, skromny i wciąż niepewny w nowym otoczeniu, odnajdywali wspólny język, dosłownie i metaforycznie.

Kiedy zapadł zmrok, Maggie zerknęła przez okno na opustoszałą ulicę.

– Chyba czas – powiedziała, odstawiając filiżankę. Jan skinął głową, spoglądając na nią z mieszanką wdzięczności i czegoś, co było trudne do zdefiniowania.

Wstali od stołu i bez słowa ruszyli w stronę zaparkowanego żółtego Volkswagena. Ulica, skąpana w nocnej ciszy, zdawała się spać, a światła gasnących witryn rzucały na brukowane chodniki cienie, które poruszały się lekko przy podmuchach wiatru. Każdy ich krok odbijał się echem, które znikало w głębokiej ciszy miasta.

Wśród tych cieni jeden zdawał się żyć własnym życiem. Powoli odkleił się od ściany, subtelnie podążając za nimi. Mężczyzna, ukryty w cieniu, uniósł rękę i zapalił papierosa. Żar rozbłysnął na moment, rozjaśniając jego twarz na tyle, by dostrzec zimne, czujne oczy. W ciemnościach błysnęły jak zwierciadła, odbijając to, co obserwowały – sylwetki Jana i Maggie znikające za rogiem.

Dym papierosowy uniósł się w powietrzu, wirując w świetle latarni. Obserwator nie poruszył się od razu, jakby delectował się chwilą. Dopiero po kilku sekundach zgniół niedopałek butem, a potem ruszył cicho za nimi, pozostając w cieniu, który skrywał jego zamiary i twarz.

—

Było coś ciekawego w nocno-letniej atmosferze Peebles. Miasteczko, jak wiele innych w Szkocji w latach 50., oddychało spokojem, który nie do końca dawał się przerwać

nawet przez cienie, jakie dostrzegali nasi bohaterowie. Kamienne domy z charakterystycznymi spadzistymi dachami i brukowane uliczki w świetle latarni zdawały się szeptać opowieści o dawnych czasach.

Peebles, jak wszystkie małe miasteczka w tej części Szkocji, miało swoje życie toczące się wokół lokalnego pubu i sklepików, które były zamknięte o tej godzinie, ale w ciągu dnia tętniły rozmowami mieszkańców. Pobliskie wzgórza, otulone nocną mgłą, dodawały okolicy tajemniczego uroku, który teraz zdawał się bardziej intryguować niż przerażać.

Nawet w nocy, kiedy ruch na ulicach zamierał, Peebles zachowywało swoją aurę, jakby skrywało sekrety, które czekały na odkrycie. Nocna cisza zdawała się mówić, że to miejsce pamięta więcej, niż chciałoby zdradzić. W powietrzu unosiła się mieszanina zapachu kamienia, wilgotnej ziemi i letniego powiewu, a wszystko to tworzyło atmosferę, która była zarówno ciepła, jak i pełna niedopowiedzeń.

Otoczeni taką właśnie atmosferą, pogrążeni w rozmowie, Maggie i Jan dotarli do samochodu, w którym drzemał Staszek. Jego głowa była oparta o szybę, a lekki uśmiech sugerował, że sen oderwał go na chwilę od trosk, które nie opuszczały go na jawie. Maggie zapukała delikatnie w okno, a Jan uchylił drzwi, powodując, że Staszek przebudził się z lekkim szarpnięciem.

– Już pora – powiedział Jan cicho, rzucając szybkie spojrzenie w stronę warsztatu, który teraz tonął w ciemności.

Staszek odetchnął głęboko, jakby zbierał myśli, i natychmiast przybrał swoją zwyczajową czujną postawę.

– To gdzie zaczynamy? – zapytał, przeciągając się lekko, ale z oczu biło już skupienie.

– Tylne wejście – odparła Maggie, wskazując głową w stronę bocznej uliczki. – Jeśli mamy jakąkolwiek szansę wejść niezauważenie, to właśnie tam.

Ruszyli powoli, ich kroki były niemal bezgłośnie na nierównej brukowanej drodze. Latarnie w tej części miasta były rzadko rozmieszczone, a cienie kładły się ciężkimi smugami na elewacjach domów. Staszek szedł na przodzie, co chwilę przystając i rozglądając się uważnie.

Gdy dotarli do wąskiej, zacienionej uliczki, ich uwagę przykuł wąski zaułek prowadzący za warsztat. Miejsce wydawało się opuszczone, ale stary kosz na śmieci ustawiony pod ścianą zdradzał niedawne ruchy.

– Wygląda na to, że to tu – szepnął Staszek, wskazując na drzwi ledwie widoczne w ciemności.

Jan przyjrzał się zamkowi, a potem spojrział na Maggie.

– Zamknięte? – zapytała.

– Prawdopodobnie – odparł Jan, pochylając się bliżej, by ocenić sytuację.

Staszek, który stał tuż za nimi, przerwał ciszę.

– Dajcie mi chwilę. Mam sposób na takie drzwi. – Staszek wyciągnął małą latarkę oraz portfel z jakimś zestawem narzędzi z kieszeni.

Błysnęło światło, a Maggie i Jan zauważyli, jak odbłask rozjaśnia stary, zniszczony plakat przyklejony do drzwi warsztatu. Litery były już częściowo starte, ale nadal można było odczytać napis: „**Exchange your worn tyres for Frazier Garage remoulds, next best to new tyres - at half the cost.**” Plakat, wytarty przez czas i wilgoć, wyglądał jak relikw minionej epoki, próbujący na siłę zachować swój optymizm.

Pod hasłem, wryte ostrym narzędziem, widniały mroczne słowa: „**Even tyres deserve a second chance... unlike the unemployed.**”

Kiedy Maggie i Jan czytali plakat, Staszekowi udało otworzyć się drzwi do blaszanego warsztatu. Staszek widać był gotowy na takie sytuacje. Wyciągnął mały pojemnik ze smarem z drugiej kieszeni i upuścił parę kropelek na zawiasy oraz do klamki.

Kiedy Maggie i Jan czytali plakat, Staszek tymczasem zdołał otworzyć drzwi do warsztatu z blachy falistej. Było jasne, że Staszek przygotowany był na takie sytuacje – wyciągnął mały pojemnik ze smarem z kieszeni płaszczka i delikatnie upuścił kilka kropelek na zawiasy oraz do mechanizmu klamki.

Drzwi otworzyły się niemal bezszelestnie, a Staszek z zadowoleniem uniósł brew w stronę swoich towarzyszy. – Czasami wystarczy trochę smaru i cierpliwości – mruknął z lekkim uśmiechem, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie.

Jan spojrzął na Maggie, która uniosła ręce w geście podziwu. – Mamy tutaj prawdziwego specjalistę od dyskretnego wchodzenia – szepnęła, pół żartem, pół poważnie.

Staszek tylko wzruszył ramionami, wchodząc pierwszy do środka.

– Lepiej, żebyśmy się pospieszyli – rzucił cicho. – Cierpliwość działa tylko na drzwi, nie na ludzi, którzy mogą nas tu przyłapać.

—

Powietrze wewnątrz było ciężkie, przesycone zapachem smaru, kurzu i starego papieru. W półmroku majaczyły kontury narzędzi wiszących na ścianach i rozrzuconych kartonów. Warsztat wyglądał na miejsce, które dawno nie widziało klientów, ale jednocześnie nie było całkowicie opuszczone.

Na blacie pod oknem stała lampa warsztatowa, a obok niej stos papierów, niechlujnie rzuconych, jakby ktoś w pośpiechu czegoś szukał. W rogu pomieszczenia znajdował się niewielki magazyn, zamknięty na kłódkę.

Maggie podeszła do półki w głębi warsztatu i z namysłem uniosła jedną z paczek leżących w rzędzie identycznych pakunków.

– Jan... – jej głos był niski, prawie szeptem. – Chyba znaleźliśmy coś ciekawego.

Jan podszedł bliżej i spojrzał na paczkę. Była owinięta w szary papier i związana sznurkiem. Maggie rozwiązała węzeł i ostrożnie rozchyliła papier, odsłaniając stos kartek.

Na każdej z nich widniały rzędy starannie wydrukowanych cyfr i symboli, przypominających kupony racjonowania żywności, ale... coś się nie zgadzało. Papier był nowy. Zbyt nowy.

– Fałszywe kupony – szepnął Jan.

Staszek podszedł bliżej i obejrzał jeden z dokumentów.

– Nieźle podrobione. Ale jeśli ktoś się dobrze przyjrzy, zauważy różnicę.

– Ciekawe, dokąd trafiają – mruknęła Maggie, przekładając kolejne kartki.

Jan wyciągnął rękę i wskazał na coś na stole.

– A to co?

Błąd był zagracony – wśród stosu starych papierów, pożółkłych dokumentów i narzędzi leżała duża, ciężka skrzynia, częściowo przykryta zakurzoną szmatą. Dopiero gdy Jan odsunął materiał, zobaczyli to wyraźnie.

Metalowa obudowa była matowa, gdzieniegdzie porysowana, ale nadal w dobrym stanie. Trzy rzędy klawiszy, ułożone jak w maszynie do pisania, błyszczały w przytłumionym świetle latarki. Nad nimi znajdował się wałek papierowy, a po bokach skomplikowany system kół kodujących.

Staszek, który stał najbliżej, poczuł, jak serce mu przyspiesza.

– To niemożliwe... – wyszeptał. – Maszyna Enigma. Używa Enigmy w 1949 roku? Albo postradał zmysły, albo komunikuje się z fanatykami, którzy wciąż wierzą w potęgę Rzeszy i odrzucają fakt, że kody zostały złamane. To dowód na to, że mamy do czynienia z desperatami

Maggie spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Co do diabła to jest Enigma?

Staszek przejechał dłonią po chłodnej powierzchni maszyny, niemal czule, jakby dotykał czegoś, co do tej pory istniało tylko w legendach.

– To nie „coś z wojną”. To jeden z najważniejszych wynalazków w historii wojskowości. Niemcy używali Enigmy do szyfrowania swoich najważniejszych wiadomości. Była uważana za niemożliwą do złamania. Nadal mało kto wie, że w ogóle istniała. To tajemnica państwowa.

Maggie uniosła brwi, ale Staszek dodał szybko:

– Była niezła, dopóki Polacy jej nie złamali.

Maggie spojrzała na nich, nieco zbita z tropu.

– Polacy?

Staszek skinął głową, a w jego głosie pojawiła się nuta dumy.

– Marian Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Zygalski – polscy matematycy, którzy jeszcze przed wojną opracowali sposób łamania kodów Enigmy. Gdy Niemcy ją udoskonalili, przekazali swoje odkrycia Brytyjczykom. To dzięki nim i pracy Alana Turinga w Bletchley Park alianci mogli odczytywać niemieckie rozkazy.

Maggie przetarła czoło.

– No dobrze, rozumiem, że to ważna maszyna, ale... co ona robi tutaj?

W pomieszczeniu zapadła chwila ciszy.

Staszek spojrzął na Jana.

– I właśnie to mnie niepokoi.

Staszek zbliżył się do Enigmy i ostrożnie nacisnął jeden z klawiszy. Mała lampka nad literą zamigotała, ale po chwili zgasła.

– Nadal działa – powiedział cicho. – A to znaczy, że ktoś jej używał.

Maggie zmarszczyła brwi.

– Ale przecież wojna się skończyła. Kto miałby jeszcze kodować wiadomości Enigmą?

Staszek wziął głęboki oddech.

– Ludzie, którzy woleliby, żeby ich sekrety nigdy nie wyszły na jaw.

W tym momencie Staszek przesunął dłonią po blacie i odkrył kolejny dokument – starannie zapisany arkusz papieru z kolumnami cyfr i liter.

– To nie wygląda jak zwykłe notatki – mruknął, podając kartkę Janowi.

Jan przyjrzał się jej uważnie, po czym spojrzął na Staszka.

– To zaszyfrowana wiadomość.

Maggie spojrzała na nich z niecierpliwością.

– Możecie mówić jaśniej?

Staszek poklepał maszynę.

– Jeśli mamy Enigmę, możemy to odczytać.

Maggie spojrział na wejście do warsztatu, czując nagłe napięcie w powietrzu.

– I może powinniśmy się pośpieszyć, zanim właściciel tej maszyny wróci.

– *Keine Sorge, Fräulein. Wir sind hier.* – usłyszeli nagle wszyscy troje.

Głos był spokojny, niemal rozbawiony, ale brzmiała w nim groźba.

Obserwując tylne wejście, nie patrzyli na to, co działo się w warsztacie. Dopiero teraz, gdy w powietrzu zaiskrzyło przełączane światło, zobaczyli ich.

Czterech mężczyzn.

Jeden, postawny, zgarbiony drab stał w głównych drzwiach, blokując jedyną oczywistą drogę ucieczki. Dwaj kolejni wynurzyli się ze schowka w podziemiach, jak szczury wychodzące z nor. Ostatni, ubrany w długi, ciemny płaszcz, wyglądał na ich przywódcę.

– Moje nazwisko Franklin. – rzekł bez cienia strachu.

– Można powiedzieć, że nam się poszczęściło – rzucił z ironicznym uśmiechem, poprawiając mankiety swojej starannie skrojonej marynarki. – Cała trójka na raz.

Staszek zrobił ledwie pół kroku do tyłu, ale jeden z drabów wyciągnął pistolet i wymierzył w jego pierś.

– Ani drgnij – warknął.

Maggie zacisnęła pięści, próbując wyglądać na bardziej pewną siebie, niż w rzeczywistości się czuła.

Jan spojrzał na Franklina z chłodnym opanowaniem, choć jego myśli pędziły jak oszalałe.

– Maszyna Enigma i fałszywe kupony – powiedział Franklin, jakby mówił o pogodzie. – Cóż, to więcej, niż powinniście byli zobaczyć.

– To tylko stare papiery – odezwał się Jan, próbując zyskać na czasie.

Franklin uniósł brew.

– Oczywiście – zakpił. – I zapewne byliście tu po prostu na wieczornej wycieczce?

Zbliżył się powoli, ręce trzymając w kieszeniach płaszcza, jakby cały ten teatrzyk sprawiał mu pewną przyjemność.

– Gdyby to były tylko stare papiery, Kowalewski, nie byłibyście tutaj.

Maggie rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

– Skoro tak cię to martwi, to czemu jeszcze nas nie zabiłeś? – rzuciła.

Franklin zaśmiał się cicho.

– Bo, moja droga, wszystko wymaga odpowiedniego czasu.

Zatrzymał się metr przed Janem i spojrzał mu prosto w oczy.

– Problem w tym, że niczego już nie powiecie. Ani policji, ani nikomu innemu.

Drab stojący obok Staszka nagle uderzył go kolbą pistoletu w brzuch. Staszek zgiął się wpół, wydając stłumiony jęk bólu.

Maggie spróbowała zrobić krok do przodu, ale jeden z osiłków złapał ją za ramię i brutalnie odepchnął na ścianę.

Jan nawet nie zdążył zareagować.

Poczuł nagły, ostry ból w tyle głowy.

Świat zawirował.

Przez sekundę widział jeszcze triumfalny uśmiech Franklina.

A potem zapadła ciemność.

## Rozdział 5: Co wie Porucznik?

Pulsujący ból rozchodził się falami od tyłu głowy Jana, promieniując aż do skroni. Próbował poruszyć ręką, ale szorstka lina boleśnie wżynała mu się w nadgarstki. Był związany. I nie był sam.

Obok dało się słyszeć ciężki oddech.

Jan zamrugał kilka razy, próbując przyzwyczaić oczy do półmroku. Piwniczne pomieszczenie było wilgotne, pachniało stęchlizną, olejem i rdzą. W kącie ledwo migotała żarówka zawieszona na kablu. Zapach sugerował, że nadal znajdowali się gdzieś na terenie warsztatu. W rogu zauważył schody i metalową klapę w suficie. Żadnych okien. Byli więc pod ziemią.

Staszek siedział obok niego, również związany.

Jego głowa była opuszczona, a ciało napięte jak struna.

– Staszek... – wyszeptał Jan ochryłym głosem. – Jesteś przytomny?

Przyjaciel poruszył się lekko, ale nie odpowiedział od razu. Dopiero po chwili powoli uniósł głowę.

– Żyję... – wychrypiał cicho, ale jego głos był dziwnie pusty.

Jan rozejrzył się po pomieszczeniu. Drzwi z metalu. Jedno wąskie, zardzewiałe okienko tuż pod sufitem. Żadnych oczywistych wyjść.

Ale to nie było teraz najważniejsze.

Coś było nie tak ze Staszkiem.

Znał go nie od dziś – to był człowiek, który nawet pod ostrzałem potrafił rzucić głupi żart, a teraz... milczał. Jego spojrzenie było inne, jakby nieobecne.

Jan spróbował zmienić pozycję, ale lina wokół jego nadgarstków była związana ciasno.

– Przynajmniej nas nie zabili od razu – rzucił, próbując nadać głosowi choć cień optymizmu.

Staszek uśmiechnął się blado.

– Może po prostu się nie spieszą.

Jan zmarszczył brwi.

– Coś ty taki ponury?

Staszek przez chwilę milczał, wpatrując się w podłogę. Pewność, że to koniec. Trochę mu nawet użyło. Zdecydował się powiedzieć wszystko Janowi. W końcu odezwał się cicho:

– Bo mam ci coś do powiedzenia.

Jan spojrzał na niego uważnie, czując, że to nie będzie zwykłe wyznanie.

Staszek odetchnął głęboko.

– Po wojnie... miałem zadanie.

Jan nie odzywał się, pozwalając mu mówić.

– Miałem przekonywać byłych polskich żołnierzy, żeby nie wracali do kraju – powiedział cicho Staszek. – Żeby zostali w Wielkiej Brytanii.

Jan zmrużył oczy.

– A na czyje zlecenie?

Staszek uniósł na niego wzrok.

– Na zlecenie brytyjskiego wywiadu.

Zapadła chwila ciszy. Jan czuł, jak napięcie zaciska mu się na karku.

– MI5? – zapytał powoli.

Staszek skinął głową.

– Tak. Mój rozkaz był jasny: odciągnąć jak najwięcej polskich żołnierzy od powrotu do kraju. Wiedzieliśmy, że Stalin nie pozwoli im żyć. Ale... – zawahał się – nie chodziło tylko o ich bezpieczeństwo. Brytyjczycy mieli w tym swój interes.

Jan nie odpowiedział. Czekał.

– Potrzebowali ludzi z doświadczeniem bojowym, takich, którzy byli gotowi do działania – kontynuował Staszek. – W zamian za zapewnienie im możliwości pozostania w kraju, dawali im pracę. Niekiedy legalną, ale często... inną. A zarazem zmniejszyć szansę zorganizowanego, zbrojnego oporu w Polsce. Nikt nie chce kolejnej wojny Jan.

Jan zacisnął zęby.

– Czyli werbowaleś ludzi?

– Tak – przyznał Staszek bez wahania. – I robiłem to dobrze.

Jan wciągnął powietrze, starając się zapanować nad gniewem.

– A ja? – zapytał cicho.

Staszek zamilkł na dłuższą chwilę.

– W głębi duszy miałem wyrzuty sumienia, że nie powiedziałem ci wszystkiego – odezwał się w końcu. – Jan... ty od początku byłeś kluczowy.

Jan spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Co masz na myśli?

Staszek odchylił głowę i oparł ją o ścianę, jakby zbierał myśli.

– Nieświadomie, kilka lat temu, podczas zajścia w Irvine, otworzyłeś drzwi do całej tej sprawy – powiedział cicho. – Ujawniając prowokatorów wśród brytyjskich żołnierzy, pozwoliłeś MI5 wrócić do grupy agentów, których powiązania z czasów wojny wydawały się już nieistotne.

Jan zeszywniał.

– Chcesz powiedzieć, że...

Staszek skinął głową.

– Jeden z nich, znany teraz jako Julius Franklin, był szczególnie interesujący. Człowiek, który zniknął niedługo po wojnie, zostawiając po sobie tylko ślad w postaci kilku nazwisk związanych z fałszerstwami. To ty, Jan, choć o tym nie wiedziałeś, przypadkiem pchnąłeś sprawy do przodu.

Jan poczuł, jak coś ściska go w żołądku.

– Przez moje „nieudane” śledztwo...

– Tak – potwierdził Staszek. – To ja i Blackbird ukręciliśmy całej sprawie łeb.

Jan milczał, a Staszek patrzył w ziemię.

– Było mi przykro z twojego powodu – dodał cicho. – Ale nie mogłem ci tego powiedzieć. Więc pomagałem ci na tyle, na ile mogłem. I w końcu zostaliśmy przyjaciółmi.

Jan nie wiedział, co powiedzieć. Czuł, jak w żołądku zaciska mu się niewidzialny węzeł.

Tyle lat czuł, że coś w jego życiu nie pasuje. Że jest jakaś niewidzialna nić, jakiś szczegół, który umykał jego świadomości, ale wciąż był obecny – w spojrzeniach ludzi, w dziwnych zbiegach okoliczności, w pytaniach, na które nigdy nie dostawał odpowiedzi. Tyle razy budził się w środku nocy z myślą, że czegoś nie rozumie, że coś mu umknęło, że niektóre rzeczy nigdy się nie sklepiły w logiczną całość.

A teraz?

Teraz odpowiedź leżała przed nim.

To nie była paranoja. To nie były złudzenia.

On miał rację.

Zawsze czuł, że jest coś więcej, ale nigdy nie potrafił tego uchwycić. Każda rozmowa, każdy niejasny trop, każde

niepokojące uczucie, które kazało mu kwestionować rzeczywistość – wszystko to prowadziło do tej chwili.

To Staszek i Blackbird zgasili pożar, który on przypadkowo rozpałił.

To dlatego pewne drzwi były dla niego zawsze zamknięte. To dlatego nigdy nie znalazł wszystkich odpowiedzi.

Zamknął oczy na kilka sekund. Poczuł, jak napięcie opuszcza jego ramiona.

To było... dziwne.

Nie było w nim gniewu.

Nie było wściekłości ani chęci odwetu.

Była tylko cisza.

Cisza i uczucie, jakby po latach noszenia ciężaru, ktoś w końcu zdjął go z jego barków.

– Teraz – dodał Staszek, unosząc wzrok – mam okazję odplacić ci za tamto. Pozytywnie.

Jan spojrzał mu w oczy.

– Rozważałem, żeby się przyznać – dodał Staszek. – Ale teraz już nie wiem, czy to by cokolwiek zmieniło.

Przez dłuższą chwilę w piwnicy panowała cisza.

Jan spuścił głowę, wziął głęboki oddech i zaśmiał się cicho, bez cienia rozbawienia.

– Ty cholerny sukinsynu – powiedział w końcu.

Staszek uniósł brwi.

Jan podniósł głowę i spojrzał na niego.

– Całe te lata – pokręcił głową. – Tyle razy czułem, że coś nie gra. Tyle razy czułem, że nie znam całej historii. I co zrobiłeś? Dawalesz mi jakieś ochłapy, zamiast po prostu mi powiedzieć.

Staszek przełknął ślinę, ale nie spuścił wzroku.

– Musiałem.

– Musiałeś? – Jan parsknął. – To dla ciebie jest jakieś cholerne „musiałem”?

Przez chwilę wyglądało na to, że Janowi zaraz puszcza nerwy. Ale potem, niespodziewanie, jego oddech się uspokoił.

– A wiesz co? – powiedział, odchylając głowę i opierając ją o ścianę. – Chyba pierwszy raz od lat mogę odpuścić.

Staszek spojrzał na niego niepewnie.

– Bo w końcu znam prawdę.

Jan zamknął oczy.

– I co teraz? – zapytał Staszek.

Jan milczał przez chwilę, a potem uśmiechnął się półgębkiem.

– A teraz – otworzył oczy – spróbujemy przeżyć tę noc.

Jego słowa zawisły w dusznym powietrzu piwnicy. Ale nawet teraz, nawet po tej rozmowie, która powinna być dla niego jak katharsis, coś nie dawało mu spokoju.

Coś było nie tak.

Maggie.

Jan poczuł nagły ucisk w żołądku.

Cały czas skupiali się na sobie, na tajemnicy Staszka, na tym, że Franklin zablokował ich ruchy... ale gdzie była Maggie?

Poczuł, jak jego oddech przyspiesza.

Podniósł głowę i rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że czegoś brakuje.

– Staszek... – zaczął ostrożnie, jakby bał się wypowiedzieć to pytanie na głos. – Gdzie ona jest?

Staszek, który dotąd wpatrywał się w ścianę, spojrzał na niego poważnie.

– Nie wiem.

Jan poczuł, jak napięcie ściska go w klatce piersiowej.

– Przecież była z nami. Była w warsztacie.

Staszek skinął głową.

– Tak.

– Więc czemu jej tu nie ma?!

Cisza.

Staszek nie odpowiedział od razu, jakby próbował dobrać słowa.

– Może... może ją zostawili przy życiu. Może Franklin jej nie zabił.

Jan poczuł nagłą falę gniewu.

– A może właśnie zabili – syknął. – Może w tej chwili leży gdzieś na podłodze z kulą w głowie, a my tu siedzimy i rozmawiamy o przeszłości!

Szarpnął się gwałtownie, próbując uwolnić ręce, ale lina tylko boleśnie wbiła mu się w nadgarstki.

Staszek westchnął cicho.

– Jan...

– Nie! – Jan spojrzał na niego ostro. – Nie będę siedział tutaj jak jakiś cholerny więzień i czekał, aż Franklin zdecyduje, czy łaskawie pozwoli nam żyć!

Staszek nie odpowiedział, a Jan poczuł, jak wzbiera w nim strach – strach, którego nie czuł od lat.

Nie bał się o siebie.

Bał się o nią.

Maggie była z nimi. Słyszał jej głos. Widział jej cień w migoczącym świetle warsztatu. Czuł jej napięcie, gdy odkryli fałszywe kupony i maszynę Enigma.

A potem...?

Pamiętał uderzenie.

Pamiętał, jak świat wokół niego zrobił się czarny.

Ale Maggie?

Nie wiedział.

Nie pamiętał.

Co z nią zrobili?

Czy Franklin uznał, że była mniej groźna? Czy zostawił ją przy życiu? A jeśli tak – gdzie teraz była?

Jan zamknął oczy i wziął głęboki wdech.

Nie mógł pozwolić, żeby coś jej się stało.

Maggie była jedną z tych nielicznych osób, którym zaufał. Które znał. Może i nie zawsze się ze sobą zgadzali, może i bywała irytująca, zbyt pewna siebie, czasami nawet zbyt odważna jak na własne dobro...

Ale była też kimś, kto nigdy go nie zostawił.

Kimś, kto szedł za nim, nawet gdy inni dawno by się wycofali.

Nie mógł jej stracić.

Nie teraz.

Nie w taki sposób.

Jan spojrzał na Staszka.

– Musimy się stąd wydostać – powiedział cicho.

Staszek uniósł brew.

– Myślisz, że nie wiem?

– Nie rozumiesz. Nie chodzi tylko o nas.

Staszek patrzył na niego przez dłuższą chwilę, a potem skinął głową.

– Masz rację – mruknął.

– Więc jak to zrobimy? – Jan spojrzał na niego intensywnie. – Bo ja nie zamierzam tu siedzieć i czekać, aż Franklin zdecyduje, co z nami zrobić.

Staszek odchylił głowę i westchnął cicho.

—

Siedzieli w ciszy, otoczeni półmrokiem piwnicy, jakby czas sam zgubił orientację i nie wiedział, czy powinien płynąć dalej. Nie było okna, nie było zegara – tylko oddechy i drgające światło żarówki. Godzina? Dwie? Bezsilność mocno Jana denerwowała. Jak on dał się wciągnąć w taką intrygę. I kiedy stracił nad nią kontrolę?

Coś się nie zgadzało. Jan zamknął oczy, jakby w ciemności łatwiej było znaleźć odpowiedzi. Umysł pracował na pełnych obrotach, przeszukując wspomnienia z ostatnich dni, chwytając się każdego szczegółu. Maggie. Jej wiedza, jej pytania, sposób, w jaki prowadziła rozmowy – zbyt pewny, zbyt precyzyjny. Czy naprawdę można tak dobrze zrozumieć sprawę po jednej rozmowie z Anną? Rozmawiały przecież dopiero cztery dni temu. Cztery. A Maggie już wtedy wiedziała rzeczy, które nie powinny być oczywiste.

To nie był pierwszy raz, kiedy wyczuł, że coś jest nie tak. Wtedy zrzucił to na jej inteligencję, dziennikarski instykt, może na to, że Anna była bardziej rozmowna, niż przypuszczał. Ale teraz, w tej piwnicy, z bólem w nadgarstkach i chłodem sączącym się przez ściany, wszystko nabierało innego kształtu. Może Anna nie powiedziała jej aż tyle. Może Maggie... wiedziała wcześniej. Tylko skąd? I czemu nigdy o tym nie wspomniała?

Czy to możliwe, że Maggie była kimś, kto znał układ jeszcze zanim Jan ułożył pierwsze puzzle? Myśl ta była jak trucizna – sączyła się powoli, ale nieodwracalnie. Jan nie chciał w to wierzyć. Nie Maggie. Nie ona. Przez całe życie myślał, że rozumie, kto stoi po której stronie, a teraz – kiedy prawda wypłynęła od Staszka – nie mógł już ignorować cienia podejrzenia.

Wspomnienia z ostatnich dni zaczęły przepływać przed jego oczami. Te drobne momenty: jak Maggie odwracała wzrok, kiedy mówił o Enigmie. Jak znała nazwiska, które padły dopiero później. Jak jej pytania prowadziły go w konkretnym kierunku – nie zawsze zgodnym z tym, gdzie chciał iść. Może

nie robiła tego świadomie. Może ktoś ją też w coś wciągnął. Ale może... może jednak wiedziała więcej, niż przyznawała. A jeśli tak, to czemu była z nimi w warsztacie?

Serce Jana biło szybciej. Nie dlatego, że był blisko odkrycia prawdy – ale dlatego, że coraz bardziej bał się, co ta prawda może oznaczać. Jeśli Maggie coś ukrywała, to po co się w ogóle z nim zadawała? A jeśli nie – jeśli była naprawdę niewinna – to gdzie, do cholery, teraz była? Franklin nie działał przypadkiem. Nigdy. Jeśli Maggie zniknęła, to znaczyło, że miała wartość. Albo była przeszkodą. W obu przypadkach... musieli ją odnaleźć. Jak najszybciej.

Jego myśli przerwał nagły, chropowaty dźwięk – jakby metalowa zasuwa z oporem przesuwająca się po starych przewodnicach. Jan uniósł głowę, momentalnie napięty, serce zabiło mu szybciej. Staszek też się poruszył, odwracając się w stronę drzwi. Przez chwilę panowała martwa cisza, a potem rozległ się cichy trzask klamki. Drzwi uchyliły się powoli, a do środka wślizgnął się smukły cień, który po chwili okazał się sylwetką w wojskowym płaszczu. Twarz znajoma – porucznik, znajomy hrabiny. Jan nie zdążył nic powiedzieć, zanim mężczyzna szepnął: – Cicho. Mamy mało czasu.

Jan odetchnął z ulgą, choć napięcie w jego barkach wciąż nie ustępowało. Staszek spojrzał na niego pytająco, ale Jan tylko lekko pokręcił głową – sam jeszcze nie wiedział, co myśleć. Porucznik nie uśmiechał się, nie okazywał emocji. Jego ruchy były precyzyjne, ciche, jakby każdy z nich był przemyślany z wyprzedzeniem. Rozciął więzy najpierw Janowi, potem Staszekowi, a potem przysunął się bliżej i zniżył głos, niemal do szeptu.

– Słuchajcie uważnie – powiedział. – Nie mogę tu zostać długo.

Jan skinął głową, a porucznik kontynuował, bez zbędnych wstępów.

– Od miesięcy zbieram informacje o zaginionych młodych Polakach, byłych członkach Armii Krajowej, których przetrzucono do Wielkiej Brytanii pod koniec wojny – zaczął. – Oficjalnie mieli trafić do normalnego życia. Ale wielu z nich... zniknęło. Bez śladu. Żadnych adresów, żadnych kontaktów. A ostatnio ich nazwiska zaczęły wypływać – w zupełnie innym kontekście.

– Kupony – mruknął Staszek.

Porucznik spojrzał na niego ostro. – Właśnie. Fałszerstwa. Wyrafinowana siatka operująca na granicy legalności – i zdrady. A w samym centrum tego wszystkiego... nazwiska, które znaleźmy z wojennych kartotek. Ludzie, których uważaliśmy za zaginionych lub martwych.

Jan poczuł, jak jego umysł znów zaczyna pracować – obrazy, wspomnienia, nazwiska. Wszystko to, co do tej pory wydawało się tylko cieniem większej układanki, zaczynało nabierać konturów.

– Hrabina – dodał porucznik, a w jego głosie pojawiła się nuta ostrożności – pomagałem jej, bo tyle jej sprawa polska zawdzięcza. Ale nasz wywiad już prawie nie istnieje. Państwo podziemne ginie pod butem komunizmu. Myślałem, że próbujesz ją wciągnąć w coś niebezpiecznego. W coś, z czego nie ma odwrotu. A teraz jeszcze wyciągam z tego Was

obu. Chociaż jego akurat – spojrzął na Staszka – nie wiem, czy powinienem – uśmiechnął się bardzo gorzko.

Jan spojrzął w ziemię. Wiedział, że powrót do tej sprawy niósł ze sobą ryzyko. Ale nie sądził, że może wystawić na szwank życie kogoś takiego jak hrabina. Kogoś, kto w czasie wojny ryzykował wszystko.

– Mamy tylko chwilę – dodał porucznik, zerkając nerwowo w stronę korytarza. – Macie przy sobie coś, czego nie powinienem zobaczyć?

Jan i Staszek spojrzeli po sobie. Jan pokręcił głową.

– W takim razie ruszajmy. – Porucznik wyprostował się i przez moment spojrzął Janowi prosto w oczy.

Gdy tylko drzwi piwnicy zamknęły się za nimi, powitał ich stłumiony chłód opuszczonego warsztatu. Światło przeciekające przez brudne okna było blade, nienaturalne, jakby świat na zewnątrz nie do końca istniał. Dniało, ale słońce jeszcze nie weszło. Jan szedł pierwszy, rozglądając się czujnie. I wtedy go zobaczyli – z boku, między regałem a stertą zardzewiałych części, leżało ciało. Mężczyzna w ciemnym ubraniu, z twarzą zasłoniętą cieniem, jedna ręka nienaturalnie wygięta. Nie poruszał się.

– Kto to? – spytał Staszek, ściszym głosem, który i tak zabrzmiał zbyt głośno w pustym pomieszczeniu.

Porucznik rzucił krótkie spojrzenie w tamtą stronę, ale nie zwolnił kroku. – Jeden z ich ludzi. Nie pytaj, nie czas na to.

– Nie żyje? – dopytał Jan.

Porucznik nie odpowiedział od razu. – Nie mam obowiązku składać wam raportu – powiedział twardo. – Jeśli chcecie stąd wyjść, trzymajcie się mnie i nie oglądajcie za siebie.

Szli w milczeniu przez ciemne pomieszczenia, aż Jan nie wytrzymał.

– A Franklin? – zapytał. – Gdzie on jest?

Porucznik rzucił mu spojrzenie przez ramię. – Wyszedł. Z dziennikarką.

Jan momentalnie się zatrzymał.

– Maggie?! – Jan zatrzymał się gwałtownie, jakby ktoś wbił mu nóż w kręgosłup. – Była z nim?

Porucznik zerknął przez ramię, jakby nie do końca rozumiał, o co chodzi. – Ta dziennikarka? Tak. Wyszli razem.

– Była skrępowana? – Jan patrzył mu prosto w oczy.

Porucznik zawahał się na ułamek sekundy. – Nie sędzę. Nie zauważyłem żadnych więzów. Szli obok siebie.

To wystarczyło. Wszystko w Janie znów się spięło, a każdy alarm w jego głowie był głośniejszy niż wcześniej. Nie była związana. Jeśli to prawda – jeśli Maggie wyszła z własnej woli, albo jeśli nie walczyła – to znaczy, że coś tu się nie zgadza. Albo grała podwójną grę, albo była w niebezpieczeństwie, ale tego nie okazała. A Jan nie mógł już dłużej czekać.

Wyszli tylnym wyjściem, wciąż nie mówiąc ani słowa. Boczna uliczka tonęła w cieniu, tylko światła odległych latarni oświetlały wilgotny bruk. Z dala od głównego wejścia, porucznik wskazał kierunek ucieczki. Ale Jan zatrzymał się.

– Nie idę dalej – powiedział cicho. – Nie bez niej.

Staszek spojrzął na niego z zaskoczeniem, porucznik z irytacją.

– Zwariowałeś? – syknął. – Nie mamy żadnych informacji, żadnej przewagi, żadnego czasu.

– A ja nie mam zamiaru zostawić jej na pastwę Franklina – odparł Jan twardo. – Jeśli to pułapka, to i tak już jesteśmy na celowniku. A jeśli ona naprawdę wyszła z nim bez przymusu... to znaczy, że muszę wiedzieć dlaczego.

Staszek westchnął, ale w jego oczach pojawiło się coś w rodzaju lojalności. Pokiwał głową.

– Zasadzimy się – powiedział. – Tył warsztatu. Może wróca. Może to jedyna szansa, żeby się dowiedzieć. Jestem tyle tobie winny.

Porucznik spojrzął na nich obu, jakby oceniając, czy zostawić ich na pastwę losu, czy zostać i zaryzykować więcej, niż planował. W końcu bez słowa skinął głową i schował się w cieniu razem z nimi.

I tak czekali – jak cienie wśród cieni – aż coś, albo ktoś, ponownie naruszy ciszę nocy.

Ukryci za ceglaną wnęką przy tylnym murze warsztatu, Jan, Staszek i porucznik zamarli w bezruchu. Powietrze było ciężkie, nabrzmiałe od wilgoci i napięcia, a światło latarni nie sięgało tu nawet skrawkiem. Tylko odgłosy wczesnego poranka – gdzieś w oddali kapanie wody, szelest liści, skrzypnięcie rynny. Czas ciągnął się leniwie, jakby sam bał się ruszyć pierwszy.

Wreszcie – ciche kroki. Potem kolejne, bardziej nerwowe. Trzech? Czterech? Jan z napięciem wstrzymał oddech, gdy zza rogu wyłonili się ludzie. Na czele szedł Franklin, jak zawsze wyprostowany, w płaszczu sięgającym kolan, z cieniem gniewu na twarzy. Obok niego – Maggie. Szła bez przymusu, ale nie jak towarzysza. Raczej jak ktoś, kto wie, że każdy błąd będzie kosztowny. Dwóch innych mężczyzn szło za nimi – jeden niósł jakąś torbę, drugi co chwilę oglądał się przez ramię.

Weszli do środka. Za chwilę doszły ich siarczyste, niemieckie przekleństwa.

– Scheiße! – słychać było krzyk Franklina. Po chwili jego głos znowu poniósł się echem. – Wo zum Teufel sind sie?! Gdzie oni są?!

– Może ktoś ich wypuścił – usłyszeli niski głos jednego z jego ludzi.

– Kto?! – wrzasnął Franklin. – Kto miałby o tym wiedzieć?! Kto... do cholery... miałby dostęp?! – Znów zaklął, tym razem po angielsku, z furią. – Johan leży martwy! Martwy! I wy mówicie mi, że nie widzieliście, jak wychodzą?!

– Może to ta kobieta... – zaczął któryś z ludzi, ale Franklin przerwał mu brutalnie.

– Nie pieprz głupot! Maggie była cały czas ze mną. Prawda?

Zapadła cisza. Jan i Staszek spojrzeli po sobie. W cieniu Maggie zadrżała, ale odpowiedziała spokojnie:

– Tak. Cały czas.

Ton głosu był suchy, jakby nie chciała się mieszać, ale też jakby coś ukrywała.

– Więc mamy zdrajcę – powiedział Franklin cicho, aż niepokojąco spokojnie. – I problem. I coraz mniej czasu.

Ukryci przy ścianie, Jan i reszta pochyliłi się w stronę wąskiego, brudnego okna z tyłu warsztatu, przez które z trudem przenikało światło. Słowa stawały się wyraźniejsze. Franklin chodził tam i z powrotem, słycać było uderzenia butów o beton. Maggie coś odpowiedziała, ale zbyt cicho, by to zrozumieć. Jeden z ludzi Franklina zaczął mówić o planie B. O tym, że może czas się ewakuować. Franklin był przeciwny. Mówił, że nie może się teraz cofnąć. Że „sprawa” jest zbyt blisko rozwiązania.

Porucznik, cicho jak cień, wyjął broń spod płaszcza. Jan zerknął kątem oka i przez moment zamarł. Znajomy kształt. Chłód wspomnień. VIS – polski pistolet wojskowy. Jego własny VIS. Jan znał każdą rysę tej broni, każdy ślad po starej walce.

– Skąd go masz? – szepnął.

Porucznik tylko zerknął na niego. – Z twojego mieszkania. Dobra sztuczka z chowaniem go pod łóżkiem. Ale uważaj, by lepiej ukrywać plamy oleju.

Jan nie dopytywał. Teraz nie czas na sentymenty. Franklin był tuż za ścianą. Maggie też.

## Rozdział 6: Tajemnica Maggie

Franklin zaczął krzyczeć. Jego głos, ochrypyły, pełen wściekłości, odbijał się echem od ścian magazynu, niosąc się wyraźnie aż do miejsca, gdzie Jan, Staszek i porucznik leżeli w cieniu przy brudnym oknie z tyłu budynku. Każde słowo przecinało noc jak nóż, niosąc w sobie ciężar lat skrywanej frustracji.

– Nie po to wodziłem tych cholernych Anglików za nos przez całą dekadę! – ryknął Franklin, uderzając czymś ciężkim o blat stołu. – Nie po to przekupywałem, manipulowałem, obserwowałem i czekałem na odpowiedni moment, żeby teraz taka małostka, taka pieprzona dziennikarka, przeszkodziła mi w zakończeniu tego planu!

W pomieszczeniu zapanowała napięta cisza, przerywana tylko dźwiękiem kroków i szurania. Potem znów ten sam głos, ostrzejszy, bardziej złowieszczy:

– Maggie! Obiecałem ci historię, to ją miałaś. Masz ją. Masz nawet więcej, niż mogłabyś chcieć. Ale ty, zamiast mnie słuchać, ściągasz na nas uwagę tych przeklętych duchów z przeszłości! Polski wywiad? Naprawdę? – zadrwił. – Miało być cicho, miało być kontrolowane. A ty... ty wszystko zrujnowałaś!

Jan siedział w cieniu, wsłuchany w każde słowo. Serce biło mu mocniej, nie tylko z powodu emocji, ale i z szoku. Więc to jednak prawda. Franklin nie był tylko przemytnikiem fałszywych kuponów czy byłym oficerem bez przynależności. On był kimś więcej. Kimś, kto nigdy nie złożył broni. Kimś, kto miał cel.

– W rządzie brytyjskim mamy nadal przyjaciół! – syczał Franklin. – Nie wszyscy odcięli się od idei, które głosiliśmy. Wciąż są tacy, którzy wierzą, że świat bez słabości liberalnej demokracji byłby silniejszy. Tacy, którzy czekają tylko na dowód, że ten cholerny rząd Atlee’ego nie ma nad niczym kontroli. Zamordowanie Churchilla miało być tylko początkiem!

Porucznik, leżący obok Jana, uniósł lekko brew. Szeptem, niemal niesłyszalnie, mruknął:

– Churchill... Oni planowali zamach.

– Planowali albo jeszcze planują – odpowiedział Jan równie cicho. – Ale on już nie jest premierem.

– Dla nich to nie ma znaczenia. Symbolika.

W magazynie znów rozległy się kroki. Ktoś uderzył drzwiami. Franklin mówił teraz szybciej, nieskładnie, przeplatając angielski z niemieckim:

– ...verschwundene Idioten! Zwei Männer, und ihr verliert sie?! Was seid ihr überhaupt wert?!

– Przysięgałaś, że są niegroźni! – wrzasnął chwilę później po angielsku, najwyraźniej znów zwracając się do Maggie. –

Powiedziałaś, że są starymi, wypalonymi cieniami z przeszłości! A teraz co?! Jeden trup, dwóch zaginionych, a polski wywiad siedzi mi na karku!

Jan słuchał, próbując nie oddychać zbyt głośno. Maggie nic nie odpowiadała. Jej milczenie było jak kamień – ciężkie i znaczące. Ale Franklin nie kończył:

– Lena! Nie byłem kobietą. Ha! Ten pseudonim, ten teatr – to wszystko było po to, żebym mógł przekraczać granice. A teraz? Teraz wszystko się wali, bo zachciało ci się sumienia?! Ci dwaj mogą wszystko zepsuć.

Jan zamarł. Lena. Teraz wszystko zaczęło układać się w jedną całość. Pseudonim z czasów wojny. Kobieta, która była mężczyzną. Była Franklinem.

Wewnątrz magazynu rozgorzała kłótnia. Ktoś krzychał, ktoś inny próbował uspokajać Franklina. Jeden z jego ludzi domagał się ewakuacji, mówił coś o dokumentach, o radiu.

– Nie ruszamy się stąd, dopóki nie znajdziemy tych dwóch! – ryknął Franklin. – Jeśli uda im się wydostać te informacje, wszystko, nad czym pracowaliśmy przez dziesięć lat, pójdzie na marne!

Porucznik delikatnie przesunął się w cieniu, trzymając broń wycelowaną w kierunku drzwi.

Jan pokiwał głową. Wszystko w nim się napinało. Franklin był nie tylko groźny. Był częścią czegoś większego, siatki dawnych fanatyków, którzy nie pogodzili się z końcem wojny.

On sam – Jan – przypadkiem wszedł na ich ślad. A teraz wszystko zależało od tego, co zrobią dalej.

– Co teraz? – zapytał cicho Staszek.

– Czekamy – odpowiedział porucznik. – Ale jeśli będą wychodzić... musimy działać. Jan, zdecyduj, czy chcesz odpowiedzi, czy sprawiedliwości.

Jan przywarł mocniej do ściany, czując, jak chłód ściany przebija się przez jego kurtkę. Noc była głucha, ale każde słowo Franklina przenikało przez cienką ścianę warsztatu z niemal bolesną wyrazistością. Tyrada trwała. Franklin, z głosem raz stłumionym, raz przerażająco wyraźnym, miotał się we własnym szale, co chwila wracając do Maggie – do zdrady, do niewykorzystanego planu, do nieuchronnego końca.

Maggie stała gdzieś wewnątrz, Jan jej nie widział, ale wyobrażał sobie jej postać, sztywną, jakby zamrożoną, z rękoma może skrzyżowanymi na piersi, może zaciśniętymi w pięści. Widział ją oczami wyobraźni – ale nie jako zdrajczynię. Nie teraz. Drżała. Słyszał to w jej ciszy, czuł w powietrzu, które jakby zadrgało razem z nią. Jeśli była winna, to raczej z naiwności niż ze złej woli. I o to miał do niej największy żal – że nie powiedziała im wcześniej, że zna Franklina osobiście, że rozpoznała go, cokolwiek to teraz znaczyło. Że milczała. Ale nie potrafił jej za to znienawidzić. Bo wszystko wskazywało na to, że sama była tylko narzędziem.

– Cholerna głupota – mruknął pod nosem, zaciskając szczęki.  
– Ale to nie zdrada.

Obok porucznik i Staszek czekali w napięciu. Porucznik co chwilę zerkając w stronę budynku, jakby chciał przeszyć wzrokiem mur. Staszek, spięty jak struna, patrzył na Jana z pytającym wzrokiem. Wiedział, że zaraz coś się wydarzy.

Jan wyprostował się delikatnie i odwrócił do nich.

– Mamy szansę – szepnął. – Ale musimy działać szybko.

– Słucham – powiedział porucznik, od razu gotowy. Był żołnierzem – nie potrzebował wielu słów, by zrozumieć sytuację.

– Zapukam do tylnych drzwi. Powiem, że się poddam. Że błagam, żeby nie zrobili krzywdy Maggie. Może Franklin kupi to przez moment, jeśli uwierzy, że jestem zdesperowany. A wy w tym czasie zajdziecie ich od frontu. Włamiemy się z dwóch stron.

– I co potem? – zapytał Staszek, z niedowierzaniem w głosie.  
– Modlimy się?

– Na mój sygnał – Jan skinął głową – atakujemy. Z zaskoczenia. Jak pies spuszczonego z łańcucha. Trzeba ich rozbroić zanim się zorientują.

Porucznik zamilkł na chwilę, ważąc plan w myślach. Potem skinął powoli głową.

– A sygnał?

– Krzyk. „Zostaw ją, Franklin!” – powiedział Jan. – Tak głośno, żebyście usłyszeli. Wtedy wchodzić.

Porucznik zapiął kurtkę, włożył rękawiczki. – Ryzykowne.

– Wszystko inne jeszcze bardziej – odparł Jan i schylił się, sięgając po coś, co wcześniej zauważył – stara, metalowa rura, prawdopodobnie od gazu. Ciężka, zimna, solidna. Wsadził ją do rękawa płaszcza i przycisnął ręką, by nie wypadła. Nie miał broni. Ale to wystarczyło, by jednemu z nich zrobić krzywdę. Może więcej.

– Gotowi? – spojrzał na nich.

– Gotowi – potwierdził porucznik. – Staszek?

– Nie chcę tego robić – powiedział szczerze – ale zrobię. Dla niej.

Rozdzielili się. Jan podszedł ostrożnie pod tylne drzwi. Deski były stare, spróchniałe przy zawiasach, ale zamek wyglądał na nowy. Z bliska słyszał już tylko stłumione głosy – kłótnia trwała dalej. Ktoś z ludzi Franklina krzyczał po niemiecku, ostrym, wojskowym tonem:

– Sie müssen weg! Jetzt! – a potem coś o „Routen sichern” i „Kontakt in Brighton”.

Jan uniósł zaciśniętą pięść i zapukał.

Raz.

Drugi raz, głośniej.

Trzeci.

– Halo! – zawołał, nieco zdesperowanym tonem. – Franklin! Maggie! Poddaję się! Proszę, nie róbcie jej krzywdy! Słyszałem wszystko!

Cisza wewnątrz momentalnie ucichła.

Przez kilka sekund nie działo się nic. A potem od środka odezwał się głos – stłumiony, ale ostry:

– Otwórzcie te drzwi.

Zamek zgrzytnął.

Jan cofnął się o krok.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Przed nim stał jeden z ludzi Franklina – szczupły, ale z twarzą typowego zawodowca. Spojrzał na Jana z nienawiścią i wyciągnął rękę, jakby chciał go przeszukać.

– Ręce! – syknął.

Jan podniósł ręce, robiąc krok do środka. W środku panował półmrok – światło z jednej lampy rzucało dziwne, drgające cienie. Franklin stał pośrodku pomieszczenia, twarz wykrzywiona z gniewu. Maggie – obok, z ramionami skrzyżowanymi, ale drżąca. Nie patrzyła Janowi w oczy.

– No proszę – powiedział Franklin, z pogardą. – Bohater się znalazł. Myślałeś, że wystarczy, jak się poddasz i wszystko ci wybaczymy?

Jan nie odpowiedział. Spojrzał na Maggie, krótkim, znaczącym spojrzeniem. Potem na Franklina. I wtedy krzyknął:

– ZOSTAW JĄ, FRANKLIN!

To był sygnał.

Z przodu rozległ się huk – wybicie szyby, metaliczny szcęk otwieranych drzwi. Staszek i porucznik wpadli do środka jak burza.

Jan zamachnął się z całej siły – gazzurka uderzyła w ramię mężczyzny obok, który zawył i upadł. Chaos wybuchł w jednej chwili. Krzyki, szarpanina, hałas przewracanych przedmiotów. Maggie cofnęła się w kąt, zasłaniając głowę. Franklin sięgnął do płaszcza – ale porucznik był szybszy. Strzał przeszył powietrze i trafił w sufit, tuż nad jego głową. Franklin uciekł za regał, próbując sięgnąć po broń.

Staszek skoczył na drugiego ochroniarza, obalając go brutalnym ciosem w brzuch. Jan odwrócił się i ruszył w stronę Maggie.

– Nic ci nie jest?!

– Nie – odparła z trudem. – Ale... on mnie okłamał. Od początku.

– Wiem – powiedział Jan. – Ale teraz musimy to zakończyć.

W pomieszczeniu unosił się kurz, zapach spalonego prochu i adrenaliny. Franklin, z zakrwawionym ramieniem, krzyczał coś

o zdradzie, o Anglii, która znów się myli. Ale Jan już go nie słuchał.

Jan wiedział, że nie mają czasu do stracenia. Dwa strzały, które padły przed chwilą, z pewnością poniosły się daleko. Wczesny poranek był jeszcze spokojny, ale nie na tyle głęboki, by huk broni palnej pozostał niezauważony. Pierwsze światło dnia przelewało się przez wilgotne powietrze, blade, sine, niemal szpitalne. Trzeba było działać — natychmiast.

Dwóch z ludzi Franklina leżało na ziemi, jęcząc z bólu. Jeden miał złamany obojczyk, drugi nieprzytomnie zwiślał z przewróconego stołu. Porucznik i Staszek pracowali błyskawicznie – z zimną precyzją przeszukiwali ich kieszenie, wyciągali broń, a potem związali im ręce i nogi drutem znalezionym przy warsztatowej ścianie. Zakneblowali ich starymi szmatami, które jeszcze niedawno służyły do przecierania maszyn.

Franklin klęczał przy jednej ze skrzyń, ramię krwawiło mu z boku, ale jego twarz była wykrzywiona gniewem. Wciąż miał przy sobie broń – małego Walthera PPK, którego wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– Ani kroku! – ryknął, wstając chwiejnie. – Jeszcze jeden i strzelam!

Jan uniósł dłonie, nie zatrzymując się całkowicie. Spojrzał Franklinowi prosto w oczy, które błyszczały nienawiścią, ale i paniką.

– Odłóż to – powiedział cicho. – To koniec.

Franklin zgrzytnął zębami. Nacisnął spust.

I wtedy mechanizm się zaciął. Franklin spojrzął na broń z niedowierzaniem, zacisnął szczękę, próbował raz jeszcze – klik. Głuchy, pusty dźwięk. Jan nie czekał. Skoczył na niego, przewracając razem z nim krzesło i półkę z narzędziami. Zderzyli się z ciężkim jękiem, przetoczyli w kurzu, aż broń wypadła z ręki Franklina i potoczyła się pod stół.

– Trzymaj go! – wrzasnął Staszek, rzucając się w ich stronę. Ale Franklin był szybszy, niż się wydawało.

Wyrwał się Janowi, pchnął go barkiem, przewrócił metalową skrzynię i błyskawicznie wspiął się na parapet. W następnej sekundzie wyskoczył przez okno.

Szyba z hukiem roztrzaskała się na kawałki. Gdy kurz opadł, po Franklinie nie było już śladu.

– Cholera! – syknął porucznik, dobiegając do okna. – Uciekł!

– Czekaj – powiedział Jan, klękając przy miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą klęczał Franklin. – Coś zostawił.

Z poła płaszcza, który oderwał się podczas szarpaniny, wysunęła się kartka. Była złożona, lekko zatłuszczona, jakby często noszona przy ciele. Jan rozwinął ją, marszcząc brwi.

– Co to? – zapytał Staszek, zaglądając mu przez ramię.

– Potwierdzenie dostawy – odpowiedział Jan, czytając szybko.

– Papier drukowy. Do Black Barony w Eddleston. Odbiorca: J. Franklin.

Porucznik uniósł głowę.

– Black Barony? Znam tę nazwę. Dawny majątek arystokratyczny. W czasie wojny przejęty przez wojsko. Teraz opuszczony. Przynajmniej oficjalnie.

Jan złożył kartkę i wsunął ją do kieszeni.

– Może nie tak całkiem opuszczony – powiedział cicho. – Jeśli ktoś tam odbiera papier drukowy, to pewnie do czegoś go potrzebuje. Kupony!

Porucznik skinął głową, jakby sam próbował poskładać wszystko w jedną całość.

– Franklin wróci tam. To pewne. Jeśli to centrum operacji, tam właśnie ucieknie.

Jan spojrzał na Maggie.

Stała teraz prosto, nieco bledsza niż zwykle, ale już nie drżała. Jej twarz była zamknięta, skupiona. W oczach coś między wstydem a gniewem.

– Pojedziesz z nami – powiedział Jan. – Musisz.

Maggie skinęła głową. – Pojadę. I powiem wszystko.

Jan spojrzał przez okno, gdzie pierwsze promienie słońca zaczynały rozjaśniać puste ulice.

—

Staszek oparł się plecami o ścianę warsztatu, ciężko oddychając. Mimo chłodu poranka pot lał mu się z czoła, a ręce drżały nie tylko z adrenaliny, ale i ze zmęczenia. Jan usiadł na przewróconej skrzyni, nie zwracając uwagi na kurz, który przykleił mu się do przesiąkniętej potem koszuli. Przez chwilę żaden z nich się nie odezwał.

– Jeszcze trochę... i by nas poskładał – mruknął Staszek, przecierając rękawem twarz. – Cholerny Franklin. Skąd on w ogóle miał tyle siły?

Jan nie odpowiedział od razu. Przez dłuższą chwilę patrzył na miejsce, przez które Franklin wyskoczył, jakby wciąż próbował przetrwać, co się wydarzyło. Potem przymknął oczy i pochylił głowę, opierając łokcie na kolanach.

– Nie wiem – powiedział cicho. – Ale gdyby mechanizm nie zawiódł... już by nas tu nie było.

Cisza zapanowała na nowo. Tylko gdzieś w kącie z brzękiem upadł śrubokręt, zepchnięty z półki przez drżące krople potu, które kapały z sufitu. Powietrze było gęste, przesiąknięte kurzem, potem i czymś jeszcze – nerwowym napięciem, które wciąż nie chciało puścić.

– Musimy odpocząć – powiedział w końcu Staszek, prostując się z wysiłkiem. – Choćby pół godziny. Zanim ruszymy do tego ich Black Barony. Inaczej nie damy rady. Zrobimy więcej szkody niż pożytku.

Jan skinął głową. Zgarnął dłonią resztki potarganego papieru z podłogi, odłożył je na bok, a potem spojrział na Maggie. Wciąż

stała przy drzwiach, jakby gotowa do drogi, ale teraz podeszła bliżej, widząc ich stan.

– Znajdę coś do picia – powiedziała. – I coś, na czym możecie się położyć. Choć na chwilę.

Jan nie zaprotestował. Spojrzał na porucznika, który stał przy oknie, nasłuchując dźwięków z zewnątrz. Ten odwrócił się i uniósł brwi.

– Mamy czas – powiedział w końcu. – Jeśli chcemy dorwać Franklina, musimy być w pełni sił.

Jan oparł głowę o ścianę. Z zamkniętymi oczami słuchał kroków Maggie oddalających się w głąb warsztatu. W końcu pozwolił sobie na oddech – głęboki, spokojniejszy. Czas działał na ich niekorzyść, ale jeśli padną w połowie drogi, nikt nie dokończy tej sprawy.

—

Maggie wróciła po kilku minutach, niosąc w dłoniach dwie poobijane, emaliowane blaszanki wypełnione wodą. Jej kroki były ciche, a na twarzy malowało się dziwne połączenie ulgi i głębokiego poczucia winy. Podała jedno z naczyń Janowi, drugie Staszкови.

Woda smakowała rdzą i starym metalem, ale dla Jana była w tej chwili niczym najdroższy trunek. Przełknął łapczywie, czując, jak zimny płyn gasi pożar w jego wyschniętym gardle. Kiedy odstawił kubek, zauważył, że jego dłonie drżą w niekontrolowany sposób. Adrenalina, która jeszcze przed chwilą trzymała go na nogach i pozwalała walczyć o życie,

zaczęła gwałtownie opadać, zostawiając po sobie jedynie pustkę i potworny ból mięśni.

Spojrzał na Staszka. Mechanik wyglądał, jakby nagle postarzał się o dekadę. Oczy miał zapadnięte, a twarz szarą od kurzu i wyczerpania. Oparty o chłodną ścianę warsztatu, oddychał płytko i chrapliwie.

Porucznik, który jako jedyny wciąż utrzymywał pełną gotowość operacyjną, obserwował ich obu z chłodnym pragmatyzmem starego żołnierza.

– Tu nie odpoczniecie – powiedział twardo, odwracając się od okna. – To miejsce jest spalone. Franklin uciekł, ale nie wiemy, ilu ludzi jeszcze ma w okolicy. Jeśli zdoła skontaktować się z resztą swojej siatki i wyśle ich tutaj, będzie źle. Jesteście wykończeni, w tym stanie nie utrzymacie broni prosto, a co dopiero mówić o szturmowaniu Black Barony.

Jan przetarł twarz dłonią, czując pod palcami zaschnięty pot i brud. Nienawidził przyznawać racji, gdy czas uciekał, ale logika Porucznika nie pozostawiała złudzeń. Ciało miało swoje granice, a on właśnie do nich dotarł.

– Masz rację – wychrypiał Jan, podnosząc się z trudem z przewróconej skrzyni. Każdy ruch kosztował go ogromny wysiłek. – Musimy się przegrupować i chociaż na kilka godzin zamknąć oczy. Ale nie możemy zostawić Maggie samej. Franklin wie, że ona z nami jest.

Maggie spojrzała na niego, a w jej oczach błysnęła wdzięczność, szybko jednak zastąpiona przez to samo twarde zdecydowanie, które widział u niej wcześniej.

– Zawieziemy ją do hrabiny Teresy – zdecydował Jan, spoglądając na porucznika. – Ty tam zostaniesz. Zamkniecie się na cztery spusty, nie będziecie wychylać nosa. Znasz ten dom i wiesz, jak go bronić, gdyby ktoś próbował się zbliżyć.

Porucznik skinął głową, akceptując rozkaz bez cienia sprzeciwu. To było rozsądne. – A wy? – zapytał.

– My ze Staszkiem zaszyjemy się u mnie, na Young Street. Tam nikt nas na razie nie powiąże z tym, co zaszło w warsztacie. Prześpimy się, odzyskamy siły, wezmę to, co trzeba, i po południu spotkamy się u hrabiny. Zanim uderzymy na ten ich zamek, musimy usłyszeć to, co Maggie ma nam do powiedzenia. Całą prawdę.

Maggie zacisnęła usta i kiwnęła głową, zgadzając się na ten układ.

Zebrali się szybko, unikając patrzenia na związanych osiłków Franklina, których zostawili w mrokach warsztatu. Gdy wyszli na zewnątrz, chłodne powietrze poranka uderzyło ich w twarze. Mgła zaczęła się już podnosić, a niebo na wschodzie nabierało sinoniebieskich barw.

Przejazd żółtym Volkswagenem po Peebles odbył się w całkowitym, ciężącym milczeniu. Równomierny warkot silnika działał na Jana usypiająco. Siedząc na przednim fotelu, walczył z opadającymi powiekami, podczas gdy Staszek na tylnej kanapie zapadł w letarg, opierając głowę o szybę. Maggie prowadziła pewnie, z oczami utkwionymi w asfalcie, unikając spojrzeń w lusterko.

Kiedy zatrzymali się pod skromnym domkiem przy Drill Hall w Peebles, ulica była jeszcze wyludniona. Jan i porucznik wysiedli, by odprowadzić Maggie pod same drzwi.

Zapukali. Hrabina Teresa Łubieńska otworzyła niemal natychmiast, w pełni ubrana i czujna, jakby w ogóle nie kładła się spać. Jej bystre oczy błyskawicznie zlustrowały ich poszarpane ubrania i zmęczone twarze. Nie zadawała zbędnych pytań. Czas spędzony w konspiracji nauczył ją, że czasem najpierw wpuszcza się ludzi do środka, a dopiero potem żąda wyjaśnień.

– Wchodźcie – powiedziała krótko, otwierając szerzej drzwi.

– Ja i Staszek musimy iść – odezwał się Jan, opierając się ciężko o framugę. – Porucznik zostaje. Pilnujcie jej, hrabino. Nikt nie ma prawa wejść do tego domu. Wracamy za kilka godzin i wtedy... – Jan przeniósł wzrok na dziennikarkę – wtedy porozmawiamy, Maggie.

Dziewczyna skinęła głową. – Będę gotowa, Janie.

Gdy drzwi za Maggie i porucznikiem cicho się zamknęły, Jan odwrócił się w stronę czekającego w samochodzie Staszka. Wzięli głęboki oddech rześkiego, szkockiego powietrza i ruszyli w stronę Young Street. Ostatni odcinek drogi pokonali pieszo, noga za nogą, jak dwa duchy wracające z frontu. Miasto powoli budziło się do życia, ale dla nich ten dzień miał zacząć się dopiero po zmroku.

—

Pokój na drugim piętrze przy Young Street 24 powitał ich znajomym chłodem i głęboką ciszą. Gdy tylko przekroczyli próg, Jan przekręcił klucz w zamku i zasunął ciężki rygiel, który wydał głuchy, metaliczny dźwięk. W tym dusznej, niewielkiej przestrzeni zapach wilgoci mieszał się z aromatem szarego mydła i dymu, który wciąż unosił się na ich ubraniach po walce w warsztacie.

Staszek bez sił osunął się na jedyne krzesło stojące przy stole pod oknem, rzucając swój brudny płaszcz na podłogę. Jan usiadł ciężko na skraju łóżka, opierając łokcie o kolana. Obaj milczeli przez dłuższą chwilę, słuchając miarowego tykania zegarka i własnych, zmęczonych oddechów.

– Myślisz, że porucznik da radę? – przerwał ciszę Staszek, nie otwierając oczu. Jego głos był zachrypnięty, wyprzany z jakichkolwiek emocji. – Franklin jest nieobliczalny.

– Porucznik to stary wyga – odpowiedział cicho Jan, wpatrując się w tańczący cień na ścianie. – Sam słyszałeś, co mówił w piwnicy. Prędzej zginie, niż pozwoli, by hrabinie lub Maggie stała się krzywda. Zamkną dom i będą czekać na nasz powrót.

– Cholerny świat, Jan... – Staszek westchnął ciężko i otworzył na moment oczy, patrząc na przyjaciela z mieszaniną rezygnacji i zmęczenia. – Tyle lat ukrywania prawdy, a wszystko i tak pierdolnęło w jeden poranek. Przepraszam cię za to Irvine. Za to, że z Blackbirdem ukręciliśmy temu łeb za twoimi plecami.

Jan uniósł lekko głowę i spojrzał na niego. Na jego twarzy nie było już jednak gniewu. Tylko potworne, obezwładniające

zmęczenie. – Nie ma już czego wybaczać, Stachu. Przynajmniej teraz karty są na stole. Kładź się. Musimy złapać choć parę godzin, zanim ruszymy do Black Barony.

Staszek nie protestował. Zsunął się z krzesła wprost na twarde deski podłogi, podkładając pod głowę zwiniętą bluzę. Dla człowieka, który przeszedł wojenny szlak, luksus łóżka nie był potrzebny do tego, by zasnąć.

Jan tymczasem sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki. Wyciągnął stamtąd swój pistolet – ciężki, znajomy Vis, który odzyskał od porucznika tuż przed rozstaniem w Drill Hall. Przejechał palcem po chłodnej, porysowanej oksydzie, czując pod opuszkami każdą najmniejszą rysę. Ta broń była z nim od Arnhem; była jedynym stałym punktem w jego szarpanym przez historię życiu.

Położył się na materacu, nie zdejmując butów ani ubrań. Lewą rękę podłożył pod potylicę, a prawą zacisnął mocno na rękojeści pistoletu, opierając go na piersi. Palec spoczął tuż obok kabłąka spustowego. Dopiero ten znajomy, metaliczny ciężar i chłód stali w dłoni przyniosły mu namiastkę bezpieczeństwa – złudne poczucie, że wciąż ma jakąkolwiek kontrolę nad nadchodzącym mrokiem.

Jan zdmuchnął świecę stojącą na parapecie. Pokój momentalnie utonął w ciemności, rozproszony jedynie przez słabe, sine poranne światło wpadające przez brudną szybę.

Obaj mężczyźni, skrajnie wycieńczeni fizycznie i emocjonalnie, niemal natychmiast zapadli w sen. Nie był to jednak sen niosący ukojenie i regenerację. Był to sen trudny, lepki i przerażająco ciężki, w którym powojenna rzeczywistość

Peebles zaczęła mieszać się z upiorami z przeszłości, czekającymi w zakamarkach ich zmęczonych umysłów.

—

Sen nadszedł szybko, ale nie przyniósł zapomnienia. Zamiast tego, duszne ściany małego pokoju w Peebles rozmyły się, ustępując miejsca chłodnym, holenderskim nocom i zrujnowanym ulicom Driel.

Z cieni znów wypadł granat.

Tym razem jednak Jan nie obudził się w momencie wybuchu. We śnie czas boleśnie zwolnił, rozciągając ułamki sekund w nieskończoność. Eksplozja rozerwała powietrze z ogłuszającym hukiem, a fala uderzeniowa rzuciła go na ziemię, brutalnie wypychając dech z płuc. W gęstej chmurze gryzącego pyłu i dymu błysnął znajomy kształt – srebrny orzeł ze spadochronem na mundurze Tomasza.

Jan czołgał się w jego stronę po gruzach, czując na twarzy gorący pył. Tomasz leżał na plecach, jego pierś była zmasakrowana odłamkami. Oddychał płytko, z każdym spazmatycznym wdechem z jego ust uchodziła krwawa piana.

I wtedy, w samym środku tego koszmaru, pośród krzyków i huku wystrzałów, Jan poczuł coś zupełnie nieoczekiwanego. Głęboką, niemal oczyszczającą ulgę.

Nie była to ulga z powodu agonii przyjaciela, lecz dziwne uczucie opadających masek i kończących się kłamstw. Rozmowa ze Staszkiem, zdrady, wywiad, mroczne sekrety Franklina – to wszystko zniknęło. Odpadł ciężar niewiedzy,

który dusił go przez ostatnie lata w powojennej Szkocji. W dymie, krwi i obliczu śmierci wszystko stawało się przerażająco proste. Nie było już miejsca na wątpliwości.

Tomasz wyciągnął drżącą, zakrwawioną dłoń i z nadludzką siłą chwycił Jana za ramię. Jego oczy, choć gasnące, patrzyły z niezwykłą, krystaliczną jasnością. Wrzask bitwy nagle ucichł, ustępując miejsca jednemu, cichemu wspomnieniu z dnia przed zrzutem, które teraz zlało się z chwilą jego śmierci.

– Pamiętasz, co obiecałeś, Jasiek? – wyszeptał Tomasz, choć jego usta ledwie się poruszały. Echo jego głosu brzmiało w głowie Jana głośniejsze niż spadające bomby. – Obiecałeś, że nie zamkniesz oczu. Że niezależnie od tego, jak nas potraktują i kto nas zdradzi, nigdy nie odwrócisz się plecami, gdy ktoś będzie wołał o pomoc. Obiecałeś, że zawsze zrobisz to, co trzeba.

W słabnącym uścisku martwiejącej dłoni przyjaciela Jan odnalazł wreszcie swój utracony sens. Kiedy Tomasz wydał ostatnie tchnienie, a jego oczy zasnuła mgła, Jan mocniej zacisnął palce na chłodnej rękocyfeli Visa, którego trzymał na piersi w prawdziwym świetle.

Obietnica, od której tak długo próbował uciec w spokojnym życiu asystenta pracza, wreszcie go dogoniła. I po raz pierwszy od lat, leżąc w ciemnym pokoju w Peebles, Jan przestał przed nią uciekać.

## Rozdział 7: Rozliczenie

Gdy Jan otworzył oczy, pokój tonął w szarym, popołudniowym świetle. Vis wciąż spoczywał na jego piersi, ciężki i zimny, a

palce miał tak zdrętwiałe, jakby zrosły się z metalową rękonością. Koszmar o Driel powoli odpływał, zostawiając w ustach suchość i gorzki posmak tytoniu.

Staszek już nie spał. Siedział na podłodze, oparty plecami o szafę, i metodycznie masował swoje sine, opuchnięte przedramię. Wypłowiła koszula mechanika była pognieciona, a w jego spojrzeniu nie było już porannego letargu – tlił się w nim ten sam chłodny, wywiadowczy pragmatyzm, który Jan pamiętał z Kinnaird House.

– Żyjesz, Jasiek? – zapytał cicho Staszek, nie przerywając masażu. – Słońce już mija zenit. Czas nas goni.

Jan podniósł się z trudem. Każdy mięsień protestował, a potylica pulsowała tęnym, rytmicznym bólem po uderzeniu draba Franklina. Zsunął nogi z łóżka, chwycił Vis, zabezpieczył go wprawnym ruchem i schował za pas spodni.

– Żyję – mruknął Jan, podchodząc do miednicy. Chlusnął na twarz resztką lodowatej wody, która momentalnie obudziła resztki jego zmysłów. – Idziemy. Każda godzina daje Franklinowi szansę na zacieranie śladów w Black Barony.

Nie rozmawiali w drodze. Peebles o tej porze dnia żyło swoim powolnym, sielskim rytmem – gospodynie wracały z targu, z cukierni Pani Ruickbie unosił się słodki zapach toffi, a rzeka Tweed szumiała łagodnie pod mostem. Dla przeciętnego Szkota wojna skończyła się cztery lata temu. Dla Jana i Staszka jej najmroczniejszy rozdział właśnie się pisał.

Gdy zapukali do drzwi domku koło Drill Hall, porucznik otworzył im po niespełna trzech sekundach. Ruchem głowy zaprosił ich do środka, ryglując drzwi za ich plecami.

W salonie panowała gęsta, niemal namacalna atmosfera. Maggie siedziała w kącie przy małym biurku, z głową ukrytą w dłoniach, podczas gdy hrabina Teresa Łubieńska stała trzymając w ręku filiżankę z zimną już kawą. Na ścianie, tuż za nią, sielski polski pejzaż wydawał się teraz dziwnie obcy, wręcz bolesny.

– Usiądźcie, panowie – powiedziała hrabina, a jej nieskazitelny, arystokratyczny głos przeciął ciszę. – Panna McAllister opowiedziała mi część historii. Choć obawiam się, że sama nie rozumiała, w jak potwornej sztuce przyszło jej grać rolę naiwnego widza.

Jan podszedł do stołu, wyciągnął z kieszeni płaszcza wymiętą, zatłuszczoną kartkę – potwierdzenie dostawy papieru drukowego do Black Barony – i położył ją przed hrabiną.

– Franklin uciekł, ale zostawił to – powiedział krótko Jan. – To zwykły rachunek, ale czuję, że jest w nim coś więcej. Staszek mówił, że to centrum ich operacji fałszowania kuponów.

Hrabina Teresa odstawiła filiżankę, która brzęknęła cicho o spodek. Podniosła kartkę dwoma palcami, podeszła do okna i skierowała ją pod błydy strumień popołudniowego światła. Jej oczy, zwykle pełne głębokiej mądrości, nagle zwężyły się w dwie groźne szczeliny. Przejechała kciukiem po krawędzi papieru, po czym spojrzała na porucznika, a potem na Jana.

– To nie jest zwykłe potwierdzenie dostawy, Janie – szepnęła, a w jej głosie pojawił się chłód, który sprawił, że Jan poczuł dreszcz na plecach. – Spójrzcie na numer seryjny w lewym rogu. Widzicie tę małą literę „L” wpisaną w okrąg? To znak wodny brytyjskiej drukarni rządowej w His Majesty's Stationery Office. Ale układ cyfr... to stary szyfr permutacyjny Oddziału II Sztabu Generalnego. Naszego wywiadu.

Staszek drgnął i podszedł bliżej. – Jak to? Przecież Franklin to były niemiecki agent z operacji Lena. Skąd miałby papier z takimi oznaczeniami?

Hrabina odwróciła się powoli, a jej twarz stała się sztywna jak marmur. – Ponieważ, mój drogi Staszku, wy obaj – ty z ramienia MI5, a Jan jako ślepy wykonawca – wciąż wierzycie w bajki, które Londyn opowiada światu. Wierzycie, że polski wywiad przestał istnieć w lipcu 1945 roku, kiedy brytyjski rząd wycofał uznanie dla Rządu RP na uchodźstwie. Myślicie, że oddaliśmy klucze, zamknęliśmy archiwa i poszliśmy pracować do fabryk wełny?

Jan milczał, patrząc na hrabinę, która w tej chwili nie przypominała już starszej pani uczącej angielskiego. Była legendarną agentką „33”.

– Kiedy Brytyjczycy zdradzili nas w Jałcie – kontynuowała hrabina, a jej głos wibrował tłumionym gniewem – kiedy oddali Polskę Stalinowi, żeby ratować własną skórę i uniknąć kolejnej wojny, marzenie o wolnym kraju nie umarło. Ono zostało tutaj uwięzione. Skazane na powolną śmierć w szarych, szkockich mgłach. Ale Oddział II nie skapitulował. Przeszliśmy do całkowitego podziemia na terenie Wielkiej

Brytanii. Stworzyliśmy strukturę, która miała walczyć dalej. Tylko że ta walka... ta walka nas potwornie zatręła.

Hrabina spojrzała na porucznika, który dotychczas stał nieruchomo przy oknie. Mężczyzna spuścił głowę, zaciskając dłonie na rękojeści broni.

– Ta kartka – hrabina uderzyła palcem w papier – to dowód na absolutną, ostateczną perwersję tego, co stało się z naszymi ludźmi. Franklin nie działa sam. Papier drukowy o tym składzie chemicznym był używany do drukowania tajnych raportów rządu londyńskiego. Ktoś z samej góry naszej dawnej struktury wywiadowczej przekazuje Franklinowi materiały.

– Dlaczego? – wykrztusiła Maggie z kąta pokoju, podnosząc zapłakaną twarz. – Po co polski wywiad miałby współpracować z niemieckim szpiegiem?

– Bo niektórzy z naszych dowódców oszaleli z rozpacz i nienawiści, panno McAllister – odpowiedziała hrabina z bezbrzeżnym smutkiem. – Wy, Brytyjczycy, daliście nam schronienie, ale jednocześnie zrobiliście wszystko, by nas upodlić. Wasze gazety milczały o naszych zasługach. Wasze dowództwo odbierało odznaczenia naszym chłopcom, oskarżając ich o tchórzostwo pod Arnhem, byle tylko przypodobać się Moskwie! Generał Sosabowski pracuje jako zwykły robotnik magazynowy, generał Maczek nalewa piwo w Edynburgu! Dla dzieci i rodzin naszych żołnierzy to była plama na honorze, której nie dało się znieść. I wtedy pojawił się Franklin. Zaoferował potężną prowokację.

Jan zaczął powoli układać fakty w całość. – Zamach na Churchilla... Falszywe kupony... Chcieli oskarżyć całą polską diasporę o bycie niemiecką siatką szpiegowską?

– Gorzej – wtrącił się nagle porucznik, podchodząc do stołu. Jego głos był niski, głęboki i przesiąknięty mrokiem. – Szajka Franklina, z pomocą zdesperowanych, zdradzonych polskich oficerów, planowała stworzyć dowody na to, że Polacy w UK to niekontrolowana, faszystowska tykająca bomba, która współpracuje z niedobitkami SS. Cel był prosty: wywołać gigantyczny skandal polityczny, zdestabilizować rząd Atlee’ego, zmusić Brytyjczyków do masowej deportacji Polaków, a tych, którzy zostaną, rzucić na pożarcie opinii publicznej. Niektórzy z naszych uznali, że jeśli marzenie o wolnej Polsce ma umrzeć tutaj, w tej brytyjskiej klatce, to lepiej podpalić tę klatkę razem z nami i z Brytyjczykami. To była rzeź własnego narodu w imię szalonej zemsty na Londynie.

Jan spojrzał na porucznika z narastającym zrozumieniem, ale i z pytaniem, które od dawna wisiało w powietrzu. – A pan? Skąd pan to wszystko wie? Kim pan jest dla hrabiny?

W salonie zapadła śmiertelna cisza. Słyszać było jedynie ciche tykanie zegara. Hrabina Teresa odwróciła wzrok, a na jej dłoni błysnął szmaragdowy pierścionek – jedyna pamiątka po domu, który spłonął.

– To mój syn – powiedziała cicho hrabina, a Janowi na moment zamarło serce. Sprawdził wzrokiem porucznika, szukając podobieństwa w surowych rysach twarzy. – Henryk. Porucznik Henryk Łubieński. Oficer Oddziału II.

Henryk nie patrzył na matkę. W jego oczach malował się ból tak potężny, że wydawał się niemal fizyczny.

– Nienawidzi mnie, Janie – kontynuowała hrabina, a jej głos po raz pierwszy lekko zadrżał. – I ma do tego pełne prawo. W 1945 roku, tuż po wycofaniu uznania dla naszego rządu, Henryk otrzymał rozkaz od radykalnego skrzydełka naszej organizacji. Miał zlikwidować brytyjskiego łącznika, który przygotowywał listy polskich oficerów do przekazania sowieckiej misji wojskowej. To była czysta zdrada ze strony Londynu, sprzedawali nas jak bydło. Henryk miał broń w ręku. Był gotowy zabić. A ja... ja wciąż wierzyłam w honor, w dyplomację, w to, że Brytyjczycy opamiętają się, jeśli zachowamy czyste ręce. Powstrzymałam go. Doniosłam na własnego syna do lojalnej części dowództwa, by zapobiec dyplomatycznej katastrofie.

Porucznik Henryk zacisnął szczęki tak mocno, że aż zbieleły mu policzki. – Przez pani lojalność, matko – odezwał się porucznik, a każde jego słowo brzmiało jak wyrok – tamten łącznik przekazał dokumenty. Trzy tygodnie później NKWD aresztowało w Warszawie cały mój dawny oddział. Wszyscy zostali rozstrzelani w piwnicach na Mokotowie. Moja narzeczona, moi przyjaciele. Wszyscy zginęli, bo hrabina Teresa Łubieńska wierzyła w brytyjskie poczucie sprawiedliwości.

Jan i Staszek patrzyli na tę dwójkę, porażeni ogromem tragedii, która rozegrała się w cieniu wielkiej historii. Marzenie o wolnej Polsce nie umierało w chwale – ono gnęło od środka, niszczone przez nienawiść, poczucie winy i potworne, bratobójcze dylematy.

– Od tamtego dnia – Henryk spojrział wreszcie na matkę, a jego stalowe oczy zaszyły łzami – zostałem przydzielony przez resztki dowództwa, by jej pilnować. Oficjalnie, by chronić ją przed wyrokiem śmierci, jaki wydali na nią komuniści w Warszawie. Nieoficjalnie... by upewnić się, że jej sumienie nigdy nie zazna spokoju. Jestem cieniem jej własnego grzechu. Chronię ją, bo taki jest mój żołnierski obowiązek, choć każdego dnia, gdy na nią patrzę, widzę groby moich ludzi i mojej narzeczonej.

Hrabina Teresa nie zapłakała. Wyprostowała się, unosząc delikatnie podbródek, choć szmaragd na jej palcu drżał niekontrolowanie.

– Teraz już wiecie wszystko, panie Kowalewski – powiedziała twardo, patrząc na Jana. – Ta kartka... ta dostawa papieru w Black Barony. Franklin spieszy się. Skoro jego ludzie zostali rozbici w warsztacie, on wie, że czas ucieka. Prowokacja musi zostać uruchomiona natychmiast. Druki, które tam powstają, mają ostatecznie pogrzebać dobre imię polskiej emigracji i sprowokować Brytyjczyków do czystki. Jeśli nie zatrzymacie go dziś w Barony Castle, marzenie o wolnym kraju nie po prostu umrze. Ono zostanie splamione krwią i błotem, a nasza historia w tym kraju zostanie zapamiętana jako opowieść o zdrajcach i szpiegach.

Jan odetchnął głęboko, czując, jak ciężar obietnicy danej Tomaszowi staje się ostatecznym drogowskazem. Spojrzął na Staszka, który bez słowa skinął głową, sprawdzając stan swoich rąk. Wyciągnął swój ciężki Vis z za pasa, sprawdził magazynek i schował go z powrotem.

– Henryk zostaje tutaj – zdecydował twardo Jan, patrząc na syna hrabiny. – Będziesz pilnował matki i Maggie. My ze Staszkiem bierzemy Beetla. Jedziemy do Barony Castle. Wieczór już zapada, a w ciemnościach łatwiej będzie nam wymierzyć sprawiedliwość. Tym razem nie będzie żadnych półprawd, Stach. Rozliczymy to do końca.

—

Żółty Volkswagen Beetle ruszył na drogi Scottish Borders, a jego reflektory wycięły w narastającej mgle blade, rozedrgane smugi światła. Porucznik Henryk stanął w oknie domu hrabiny, z ponurą rezygnacją patrząc, jak światła samochodu znikają w oddali. Został z matką i z Maggie. Zrozumiał, że jego wojna toczy się teraz tutaj, w czterech ścianach, w obronie kobiet, które historia postanowiła brutalnie wciągnąć w swoje tryby.

W samochodzie panowała grobowa cisza. Staszek prowadził, wpatrując się w asfalt z kamiennym wyrazem twarzy. Jan siedział na fotelu pasażera, trzymając w dłoniach załadowanego Visa. Chłód stalowego zamka działał na niego otępliwiająco. Barony Castle, znany lokalnie jako Black Barony, zbliżał się z każdym kilometrem. Ten monumentalny, XVI-wieczny zamek, wykorzystywany podczas wojny przez wojsko, oficjalnie stał pusty. Nieoficjalnie – stał się sercem operacji, która miała zniszczyć polską diasporę.

Zatrzymali samochód kilkaset metrów od głównej bramy, ukrywając go w gęstwinie starych drzew. Powietrze pachniało deszczem i gnijącymi liśćmi. Mająca w mroku sylwetka zamku przypominała uśpioną bestię. W kilku oknach na parterze tliło się nienaturalne, żółte światło.

– Wchodzimy szybko i bez wahania – szepnął Jan, przeładowując broń z cichym, metalicznym trzaskiem. – Jeśli zaczną strzelać, nie oszczędzaj amunicji.

– Nigdy nie oszczędzam, Jasiek – odparł ponuro Staszek, wyciągając zza paska ciężkiego rewolweru Webley, którego zabrał jednemu ze zbirów w warsztacie.

Przekradli się przez zarośnięty dziedziniec, unikając otwartej przestrzeni. Główne dębowe drzwi były zamknięte, ale boczne wejście dla służby ustąpiło pod naporem ramienia Staszka. Weszli do długiego, kamiennego korytarza. Z głębi budynku dobiegał ich rytmiczny, miarowy łoskot. Drukarki. Pracowały pełną parą.

Gdy zbliżyli się do dawnej sali balowej, zza rogu wyszedł rośli mężczyzna z karabinem przewieszonym przez ramię. Zauważył ich w ułamku sekundy. Otworzył usta, by krzyknąć, ale Jan był szybszy. Huk Visa rozdarł zamkową ciszę, a pocisk trafił strażnika w klatkę piersiową, odrzucając go na ścianę.

To był koniec skradania się.

Z głębi sali posypały się strzały. Kule zaczęły rykoszetować od kamiennych ścian, krzesząc snopy iskier. Jan i Staszek padli za masywne, dębowe filary. Wewnątrz sali znajdowały się potężne maszyny drukarskie, stosy papieru i beczki z chemikaliami. Czterech ludzi Franklina prowadziło zaporowy ogień.

– Oślaniaj mnie! – krzyknął Jan, wychylając się zza kolumny. Pociągnął za spust dwa razy. Jeden z napastników z krzykiem runął na stos wydrukowanych, fałszywych kuponów.

Staszek odpowiedział ogniem z rewolweru, zmuszając pozostałych do schowania się za maszynami. W chaosie strzelaniny jedna z kul wystrzelonych przez zbirów trafiła w beczkę z rozpuszczalnikiem drukarskim. Żrący, łatwopalny płyn rozlał się po drewnianej podłodze, a kolejna iskra z rykoszetu zamieniła go w morze ognia. Płomienie buchnęły z przerażającą siłą, momentalnie obejmując maszyny i stosy przygotowanego papieru.

Z galerii na piętrze wyłoniła się nagle sylwetka Franklina. Jego twarz, oświetlona pomarańczowym blaskiem pożaru, wykrzywiona była w absolutnej furii. Strzelił w ich kierunku, ale ogień szybko odciął mu drogę na dół. Zrozumiał, że to koniec. Jego operacja, druki, plany dezinformacji – wszystko płonęło.

– Przekłęci głupcy! Zniszczyliście wszystko! – ryknął Franklin, po czym odwrócił się i zniknął w kłębach dymu, zostawiając swoich ludzi na pastwę płomieni, ratując własną skórę. Został zupełnie sam.

Ogień rozprzestrzenił się w zastraszającym tempie, pochłaniając historyczne ściany Black Barony. Temperatura rosła z każdą sekundą.

– Uciekł na górę! – krzyknął Staszek, kaszląc od gęstniejącego dymu.

– Zostaw go na razie! – odkrzyknął Jan, wskazując na masywne, żelazne drzwi prowadzące w dół, do zamkowych

lochów. Ogień jeszcze tam nie dotarł. – Musimy sprawdzić, czy kogoś tam nie trzymają! Jeśli Piotr tu jest, to na pewno na dole!

Napierając z całych sił, wyważyli gorące już od pożaru drzwi i zbiegli po kamiennych, krętych schodach do podziemi. W przeciwieństwie do płonącego piekła na górze, tutaj panował lodowaty, wilgotny chłód. Korytarz oświetlały jedynie blade żarówki.

—

Napierając z całych sił, wyważyli gorące już od pożaru drzwi i zbiegli po kamiennych, krętych schodach do podziemi. W przeciwieństwie do płonącego piekła na górze, tutaj panował lodowaty, wilgotny chłód. Korytarz oświetlały jedynie blade żarówki, ale z każdym krokiem w głąb lochów powietrze stawało się coraz gęstsze.

Zanim jeszcze dotarli do ostatniej celi, uderzył ich zapach. Słodkawy, mdlący, wwiercający się w nozdrza odór rozkładu. Staszek zakrył nos i usta przedramieniem, dławiąc przekleństwo. Jan zeszytniał. Znał ten zapach aż za dobrze.

Otwarli ciężkie, pordzewiałe zasieki na samym końcu korytarza. Jan zamarł w progu. Staszek zatrzymał się tuż za nim, powoli opuszczając broń.

Na mokrej, pokrytej pleśnią posadzce leżały zwłoki. Ciało było w zatrważającym stadium rozkładu – nadgnite, wzdęte, z poszarzałą, pękającą skórą. Wilgoć zamkowych lochów zrobiła swoje. Twarz, zniekształcona nie tylko przez brutalne ciosy oprawców, ale i przez zaawansowane procesy gnilne,

była makabryczną maską. A jednak, po resztkach ubrania i czarno-białej fotografii, którą tak dobrze wrył sobie w pamięć, Jan wiedział, kogo znaleźli.

Piotr Chmielewski. Syn „Boryły”. Zostawiony tutaj jak śmieć, by zgnił w ciemnościach.

Jan poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła, ale zacisnął zęby i zmusił się, by podejść. Ukłękął przy gnijącym ciele. Z mroku celi uciekły z piskiem spłoszone szczury.

– Spóźniliśmy się... i to o wiele dni – wykrztusił Staszek, odwracając wzrok i walcząc z odruchem wymiotnym.

Jan milczał. Zauważył, że jedna z rąk chłopaka, choć szcerniała i zeszywniała w stężeniu pośmiertnym, była kurczowo zaciśnięta. W szparze między jego gnijącymi palcami a kamienną posadzką coś tkwiło. Przelamując obrzydzenie, Jan ostrożnie, by nie uszkodzić kruchego papieru, wysunął znalezisko z martwej dłoni.

Był to mały, zwinięty w rulon i zabrudzony zaschniętą posoką kawałek papieru. Rozwinął go drżącymi rękami. List, pisany w pośpiechu skrawkiem ołówka na odwrocie jakiegoś formularza magazynowego, mimo zabrudzeń wciąż był czytelny:

*„Anno, jeśli to czytasz, to znaczy, że nie uciekłem.*

*Wybacz mi.”*

Jan zwinął list, a w jego oczach wezbrały łzy.

– Jasiek! – ryknął Staszek, szarpiąc go za ramię. – Strop zaraz runie! Zamek płonie, musimy stąd uciekać!

Jan spojrział na zmasakrowane ciało chłopca po raz ostatni. Wstał, schował list głęboko do kieszeni, tuż przy sercu, i mocniej zacisnął dłoń na swoim pistolecie. Przeszedł przez obrzydzenie, smutek i żal. Została w nim tylko czysta, zimna, niszczycielska determinacja. Zanim wybiegli na korytarz, Jan wsunął jeszcze rękę do szybu wentylacyjnego obok drzwi celi i wyciągnął ciężki, ołowiany pakunek – matryce, za które młody Chmielewski zapłacił najwyższą cenę.

– Idziemy po Franklina – powiedział Jan głosem pozbawionym jakichkolwiek emocji.

Czarna Baronía płonęła, a nocne niebo nad Eddleston zabarwiło się na krwistoczerwono, gdy dwaj weterani ruszyli w górę, prosto w paszczę ognia.

—

Wybiegli z zadymionych, duszących podziemi na chłodne, rześkie powietrze nocy. Zamek Barony huczał już za ich plecami, a dym snuł się gęstymi pasmami po dziedzińcu, mieszając się z poranną mgłą.

Zauważyli go przy kamiennej balustradzie prowadzącej do dawnych ogrodów. Franklin stał oparty o murek, dysząc ciężko. Jego płaszcz był osmalony, a na twarzy malowała się mieszanina furii i absolutnej pogardy. Gdy zobaczył wyłaniających się z dymu Jana i Staszka, nie sięgnął po zaciętego Walthera. Zamiast tego roześmiał się – gorzko i chrypliwie.

– Myślicie, że coś wygraliście, Kowalewski?! – krzyknął Franklin, przekrzykując trzask płonących krokwi. – Zniszczyliście drukarnię, ale idea nie płonie!

– Skończ z tym teatrem, Franklin! – odkrzyknął Jan, celując z Visa prosto w klatkę piersiową agenta. – Znaleźliśmy chłopaka. Za to, co mu zrobiliście, nie dożyjesz wschodu słońca.

Franklin splunął na ziemię. W blasku pożaru jego oczy błyszczały fanatyzmem. – Chłopak był tylko trybikiem! Wy nic nie rozumiecie! – ryknął. – Ten kraj gnije, Kowalewski! Słabe, żalodne, liberalne elity w Londynie! Zamiast przygotować się na wojnę z Sowietami, woleli pokój za wszelką cenę. Zaoferowałem im wyjście. Zaoferowałem im powrót do prawdziwej siły. Zmienić tego mięczaka na tronie, obalić rząd Atlee'ego, sprowadzić z powrotem kogoś, kto rozumie, czym jest żelazna ręka! Edward VIII byłby tylko początkiem. Ale te londyńskie tchórze nie chciały słuchać!

Franklin rozłożył ręce, jakby przemawiał do niewidzialnego tłumu. – Dlatego musiałem im to udowodnić siłą! Zdestabilizować sytuację! Wy, Polacy, byliście do tego idealni! Uzbrojeni, rozgoryczeni, sfrustrowani. Wystarczyło podrzucić te fałszywki do waszych ośrodków. Udowodnić opinii publicznej, że jesteście niemiecką siatką szpiegowską, że planujecie sabotaż w sercu Imperium! Gazety zjadłyby was żywcem. Wyrzuciliby was z Wielkiej Brytanii jak psy, a w kraju wybuchłyby zamieszki. Z chaosu narodziłby się nowy, silny porządek!

– Jesteś mordercą i szaleńcem – powiedział z odrazą Staszek, robiąc krok naprzód.

– Jestem wizjonerem! – odwarknął Franklin.

Zrozumiał jednak, że jego słowa nie zrobią na nich wrażenia. Złapał oburącz ciężką, ozdobną donicę z kamienia, która stała na balustradzie, i z dzikim okrzykiem cisnął nią prosto pod nogi Jana i Staszka. Kamień roztrzaskał się o bruk z hukiem, a odłamki zmusiły ich do odskoczenia.

Wykorzystując ułamek sekundy zamieszania, Franklin odwrócił się i rzucił do desperackiej ucieczki.

– Za nim! – ryknął Jan, puszczając się biegiem.

Pościg przeniósł się wokół murów płonącej Black Barony. Franklin, mimo ran i wyczerpania, biegł napędzany zwierzęcym instynktem przetrwania. Lawirował między starymi żywopłotami, rzeźbami i gruzem spadającym z płonącego dachu zamku. Jan biegł za nim jak cień, nie zważając na zmęczenie. Staszek, cięższy i ranny po walce w warsztacie, został kilkadziesiąt metrów z tyłu.

Franklin skierował się w dół zbocza, w stronę gęstego lasu, który oddzielała płytka, ale rwąca rzeczka – Eddleston Water. Woda z pluskiem uderzała o śliskie kamienie, mieniając się czerwienią pożaru.

Szpieg z pluskiem wpadł do lodowatej wody, potykając się, ale brnąc na drugi brzeg. Jan dopadł strumienia kilka sekund później. Wziął długi rozbieg, chcąc przeskoczyć zdradliwy, skalisty brzeg. Przebiegł parę kroków. Kiedy jego ciężki but

uderzył o mokrą ziemię po drugiej stronie rzeki, błoto usunęło się spod jego stóp.

Jan stracił równowagę i runął na kolana w grząską maź. W tym samym ułamku sekundy, wyslizgany od potu, deszczu i błota, ciężki Vis wysunął mu się z dłoni.

Pistolet z głuchym plaśnięciem wpadł w gęste, splątane zarośla przy brzegu, natychmiast pochłonięty przez ciemność i muł. Jan zanurzył rękę w błocie, szukając po omacku broni, ale po ułamku sekundy zrezygnował. Nie miał czasu. Franklin wpadał właśnie w mrok drzew po drugiej stronie rzeki.

Jan podniósł się, otrzepał z błota i rzucił za Franklinem.

Pod okapem starych, gęstych drzew panował absolutny mrok. Jedynie odgłosy łamanych gałęzi i dyszenie uciekiniera zdradzały jego pozycję. Jan biegł z pustymi rękami, gotów na starcie wręcz. Krew pulsowała mu w skroniach. Obietnica z Driel pchała go naprzód.

Nagle z głębi lasu dobiegł krótki, paniczny krzyk, po którym nastąpił paskudny, głuchy trzask – jak pękająca gałąź, ale o wiele bardziej makabryczny. A potem zapadła cisza.

Jan zwolnił. Zbliżał się ostrożnie, rozchylając gałęzie.

Znalazł go kilkanaście metrów dalej. Franklin leżał na ziemi, w nienaturalnie wykręconej pozie. Próbując biec na oślep w ciemności, potknął się o gruby, wystający korzeń starego dębu. Siła pędu rzuciła go do przodu, prosto na potężny, spiczasty kamień wystający z mchu.

Jan podszedł bliżej, ciężko oddychając. Ukłękął przy szpiegu.

Franklin miał szeroko otwarte oczy, w których zastygł wyraz absolutnego szoku. Z roztrzaskanej czaszki na szary, leśny mech powoli wyciekała ciemna kałuża krwi. Nie oddychał. Misterny plan zniszczenia polskiej społeczności w Wielkiej Brytanii, wielka wizja zmiany porządku Europy – wszystko to zakończyło się w brudnym, szkockim lesie, na kawałku twardego granitu.

Jan opadł ciężko na pobliski pień. Spojrzał na zakrwawione ręce. Był całkowicie wyczerpany, bez broni, pokryty błotem i popiołem, ale po raz pierwszy od lat czuł, że dług, który zaciągnął u poległych przyjaciół, został spłacony.

Chwilę później przez zarośla przedarł się sapiący Staszek. Stał obok Jana i spojrzał na martwego Franklina. Opuścił rewolwer.

– To koniec, Jasiek – powiedział cicho mechanik. – Tak – odpowiedział Jan, patrząc w stronę łuny bijącej od płonącego zamku. – Teraz wreszcie to koniec.

—

Mknący czas nie zatarł wspomnień tamtej nocy, ale brytyjska machina państwowa zadziałała z właściwą sobie, bezwzględną precyzją. Kilka dni po tym, jak Czarna Baronia spłonęła, obracając w popiół misterny plan dezinformacji, prawda została głęboko schowana pod dywan oficjalnych komunikatów.

Jan siedział przy stoliku w herbaciarni Wilson and Sime's na High Street, wpatrując się w rozłożony przed nim świeży egzemplarz *Peeblesshire News*. Nagłówki na pierwszej stronie nie pozostawiały złudzeń co do tego, jak system postanowił zapisać tę historię dla świata:

***TRAGICZNY WYPADEK W EDDLESTON.  
SZANOWANY OBYWATEL OFIARĄ POŻARU.***

*W nocy z piątku na sobotę w zabytkowym majątku Barony Castle wybuchł gwałtowny pożar. Julius Franklin, znany w lokalnych kręgach przedsiębiorca, poniósł śmierć na miejscu. Jak wykazało wstępne śledztwo, ofiara próbowała ratować się ucieczką przez okno płonącego budynku, jednak w ciemności uległa nieszczęśliwemu wypadkowi na leśnej polanie, doznając śmiertelnego urazu czaszki. Policja wyklucza udział osób trzecich.*

Jan uśmiechnął się gorzko pod nosem i upił łyk gorącej herbaty. Ani słowa o operacji Lena. Ani słowa o fałszywych kuponach żywnościowych, matrycach wywiadu, niemieckich szpiegach czy cichym bohaterstwie młodego Piotra Chmielewskiego, którego ciało zostało ostatecznie potajemnie, z pełnymi honorami, pochowane przez porucznika Henryka. Dla opinii publicznej Franklin był tylko pechowym biznesmenem. Londyn zadbał o to, by klatka pozostała zamknięta, a jej pręty – czyste.

– Oficjalna prawda bywa nad wyraz nudna, nie uważa pan, panie Kowalewski? – niski, nienaganny angielski głos rozległ się tuż nad jego ramieniem.

Jan nie drgnął. Spodziewał się go. Blackbird, ubrany w swój nienaganny, ciemny płaszcz, bez pytania usiadł na krześle naprzeciwko. Nie zdjął czarnego kapelusza, a jego czujne, chłodne oczy natychmiast zlustrowały twarz Jana.

– Przyniosłem panu to – powiedział cicho Blackbird, przesuwając po blacie małą, urzędową kopertę. – Nowe dokumenty. Brytyjski paszport, czysta kartoteka. To skromne podziękowanie od Korony za pańską... dyskrecję. I za zwrot ołowianych matryc, które Staszek mi przekazał. Cała ta polska sprawa została wyciszona. Wasza diaspora jest bezpieczna. Nikt nie powiąże was z sabotażem.

– A Staszek? – zapytał Jan, chrapliwie, wciąż czując w płucach zapach spalonego zamku.

– Matusiak zostaje w Galashiels. Jego warsztat na Wilderhaugh będzie działał legalnie. MI5 potrzebuje tam solidnego punktu kontaktowego, a on ma dług wdzięczności wobec pana – Blackbird pochylił się nieco do przodu, opierając dłonie na stole. – Słyszałem, że opuszcza pan Peebles, Janie.

– To miasteczko dało mi wszystko, co mogło. Czas ruszać dalej.

– Londyn to wielkie, skomplikowane miasto – mruknął Blackbird z rzadkim, ledwo dostrzegalnym uśmiechem. – Pełne ludzi, którzy potrzebują kogoś z pańskimi

umiejętnościami. Kogoś, kto potrafi patrzeć w cienie i wyciągać z nich prawdę. Proszę dobrze wykorzystać ten paszport. Powodzenia, panie detektywie.

Mężczyzna w kapeluszu wstał, poprawił poły płaszcza i bez zbędnych pożegnań wyszedł z kawiarni, wtapiając się w popołudniowy tłum na High Street. Jan spojrzał na kopertę, schował ją do kieszeni i położył na stole kilka szylingów.

—

Godzinę później Jan stał przy zaparkowanym w bocznej alejce żółtym Volkswagencie Beetle. Samochód był po brzegi wyładowany rzeczami – Maggie spakowała swoje teczki, aparat i nieliczne pamiątki, a Jan zabrał ze skromnego pokoju na Young Street 24 tylko wełnianą koszulę, stary zegarek po Tomaszu i potargany spadochroniarski mundur, który teraz spoczywał na dnie walizki.

Maggie stała oparła o maskę samochodu. Wiatr delikatnie targał jej rude włosy, a letnie słońce Peebles odbijało się w jej jasnozielonych oczach. Nie było już w niej tamtej przerażonej, drżącej dziewczyny z płonącego zamku. Była zdeterminowana, choć w jej spojrzeniu Jan dostrzegł lekką nutę niepewności przed tym, co miało nadejść.

– Wszystko spakowane? – zapytała cicho, gdy podszedł bliżej.

– Wszystko – odpowiedział Jan, zatrzymując się tuż przed nią. Wyciągnął z kieszeni paszport i pokazał jej z lekkim uśmiechem. – Blackbird dotrzymał słowa. Jestem oficjalnie obywatelem tego kraju. Mogę zacząć od nowa.

Maggie patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. Cały ten chłód, mury i dystans, którymi Jan otaczał się przez lata, uciekając przed wojennymi upiorami, ostatecznie runęły. Widziała przed sobą człowieka potwornie zmęczonego przez historię, ale wreszcie wolnego.

Zrobiła krok w przód, zmniejszając dzielącą ich przestrzeń, i położyła dłonie na klapach jego ciemnego płaszcza.

– Boisz się, Janie? – szepnęła, a w jej głosie brzmiała niezwykła, ciepła czułość. – Londyn potrafi przytłoczyć. To zupełnie inne życie niż tutaj, nad rzeką Tweed.

Jan spojrzał w jej zielone oczy, czując, jak całe napięcie ostatnich dni ostatecznie opuszcza jego ramiona. Obietnica dana Tomaszowi nie była już ciężarem – stała się jego nową drogą. A Maggie... Maggie była słońcem, które rozgoniło szare, szkockie mgły w jego sercu.

– Z tobą się nie boję, Maggie – odpowiedział cicho, po czym powoli, zdejmując z twarzy maskę dawnego, milczącego żołnierza, ujął jej twarz w dłonie.

Pochylił się i pocałował ją. Pocałunek był czuły, niespieszny i przepełniony obietnicą nowego początku. W tej jednej, krótkiej chwili, pośród cichej uliczki post wojennego Peebles, nie istniały wywiady, zdrady, morderstwa ani bolesne wspomnienia z Driel. Byli tylko oni – dwoje pogubionych ludzi, którzy w sercu chaosu odnaleźli wspólny dom.

Maggie oderwała się od niego po chwili, oddychając nieco szybciej, a na jej policzkach wykwił delikatny rumieniec.

Uśmiechnęła się szeroko, tym swoim perlistym, londyńskim uśmiechem, który tak bardzo go urzekł.

– W takim razie jedźmy, panie detektywie – powiedziała rażno, wsiadając za kierownicę Beetle'a. – Londyn czeka na naszą opowieść.

Jan wsiadł na fotel pasażera i zatrzasnął drzwi. Silnik Volkswagena zaterkotał miarowo, a samochód powoli ruszył naprzód, mijając most na rzece Tweed i niebieską skrzynkę pocztową pod oknem, z którego Jan tak często patrzył w mrok. Zostawiali za sobą cienie Peebles, gotowi napisać zupełnie nowy rozdział swojego życia.

## Rozdział 8: Nowe początki

Koperta była biała, prosta i pozbawiona jakichkolwiek oznaczeń, które mogłyby zdradzić jej pochodzenie. Jan siedział przy niewielkim, sękatym stole w wynajętym pokoju na przedmieściach Londynu, wpatrując się w papier, pod którym spoczywał ostatni ślad po Piotrze Chmielewskim. List chłopca – wymięty, naznaczony wilgocią lochów i śladami pośmiertnego rozkładu – został przez Jana starannie wyczyszczony z zaschniętego błota, ale zapach... zapach tamtej piwnicy wciąż zdawał się unosić między wersami.

Obok koperty leżał krótki bilet kolejowy do Edynburga. Jan patrzył na niego przez długie minuty, po czym powolnym, zdecydowanym ruchem podniósł go i rozdarł na pół.

Nie mógł się z nią spotkać. Wiedział, że nie byłby w stanie spojrzeć w jasnozielone oczy Anny i nie dostrzec w nich odbicia tego, co zastał na dnie celi w Black Barony. Jak miałby jej powiedzieć, że jej brat – syn dumnego „Boryły” – gnił w ciemnościach, zapomniany przez świat, podczas gdy na górze szaleńcy i zdrajcy handlowali honorem jego narodu? Jak miałby znieść widok jej nadziei obracającej się w nieodwracalną, niszczycielską rozpacz?

Jan chwycił pióro i na osobnej kartce napisał tylko jedno zdanie: „Piotr odszedł jako bohater, chroniąc nas wszystkich. Nie daj sobie odebrać dumy z jego imienia”.

Wsunął list chłopca oraz swoją krótką notatkę do koperty, zalepił ją i wyszedł na deszczową ulicę. Londyńska mżawka była ciepła, zupełnie inna niż lodowate, ostre poddmuchy znad rzeki Tweed. Jan podszedł do czerwonej, metalowej skrzynki pocztowej, uniósł klapę i wrzucił przesyłkę. Głuchy odgłos spadającego papieru brzmiał jak ostateczne zamknięcie pewnego rozdziału. Jan odwrócił się i odszedł, zostawiając Annę z bolesną, ale czystą prawdą, którą jej brat wywalczył za cenę własnego życia.

—

Miesiące płynęły, a Londyn rósł wokół Jana niczym gigantyczny, niezrozumiały labirynt. Brytyjski paszport, który podarował mu Blackbird, otworzył przed nim drzwi, o jakich asystent pracza z fabryki wełny mógł tylko marzyć. Jan nie potrafił jednak wrócić do uniwersyteckich marzeń o matematyce profesora Ajdukiewicza. Świat liczb wydawał się

zbyt sterylne dla człowieka, którego prześladowały cienie z Driel i dym płonącej Czarnej Baronii.

Na drzwiach małego, skromnego biura w dzielnicy Hammersmith, tuż nad zakładem szewskim, pojawił się niewielki, mosiężny szyld: *Jan Kowalewski. Prywatne Usługi Detektywistyczne*.

Polska diaspora – zagubiona, rozgoryczona po Jałcie, wepchnięta w obcą, brytyjską rzeczywistość – szybko dowiedziała się o jego istnieniu. Byli żołnierze, którzy nie potrafili odnaleźć się w cywilu, matki szukające zaginionych na kontynencie dzieci, rodziny nękanie przez mroczne, powojenne podziemie – wszyscy trafiali teraz na Hammersmith. Jan stał się ich głosem i tarczą. Nie oceniał, nie pytał o dawne polityczne frakcje. Słuchał. Pamiętając o obietnicy danej Tomaszowi, nie zamykał oczu na ludzką krzywdę. Budował swoją nową tożsamość na fundamentach sprawiedliwości, której jemu i jego ojczyźnie tak brutalnie odmówiono.

Pewnego popołudnia na jego biurku wylądował świeży numer cenionego, londyńskiego tygodnika społeczno-literackiego. Autorem głównego, wielostronicowego reportażu była Maggie McAllister.

Jan gładził dłonią szorstki papier, czytając słowa, które wyszły spod jej pióra. Spodziewał się, że Maggie – rasowa dziennikarka – wykorzysta zdobytą wiedzę do stworzenia politycznej sensacji, opowieści o niemieckich szpiegach, zamachach na Churchilla i mrocznych sekretach Edwarda VIII. Nic z tego. Artykuł, zatytułowany „*Cienie we mgle*:

*Niewidzialny front polskich emigrantów*”, był arcydziełem wrażliwości.

Maggie napisała o potwornym trzeźwieniu z iluzji, o ludziach, którzy oddali wszystko dla wolności, a w nagrodę otrzymali obojętność i zapomnienie w fabrykach, pubach i na szkockich twardych ziemiach. W centrum tej opowieści postawiła postać bezimiennego, skromnego bohatera – byłego żołnierza, który potrafił przejść przez piekło ognia, by ocalić honor swoich rodaków, nie żądając w zamian ani funta, ani błysku fleszy. Maggie nie zdradziła żadnej tajemnicy państwowej, nie naruszyła milczenia MI5, ale dała polskiej społeczności coś o wiele cenniejszego: godność, którą brytyjska prasa tak długo pomijała milczeniem.

Jan odłożył gazetę i spojrzał w stronę okna. Deszcz ustał, a nad dachami Londynu powoli przebijało się blade, pomarańczowe słońce.

W tym samym momencie drzwi do biura otworzyły się z cichym skrzypnięciem. W progu stanęła Maggie. Miała na sobie ten sam zielony płaszcz, który pamiętał z Peebles, a jej rude włosy wciąż były w artystycznym nieładzie. W ręku trzymała skórzaną torbę z dokumentami. Spojrzała na rozłożony na biurku artykuł, a potem prosto w jego oczy.

– Podoba się? – zapytała cicho, podchodząc bliżej.

– Napisałaś prawdę, Maggie. To rzadkość w twoim fachu – odpowiedział Jan, podnosząc się z krzesła.

Maggie zatrzymała się po drugiej stronie biurka. Między nimi narosła cisza – ta sama, która towarzyszyła im podczas

ucieczki z płonącego zamku, i ta sama, którą przypieczętowali pocałunkiem w bocznej alejce Peebles. A jednak w tej ciszy kryło się coś głębszego, coś, co wymykało się prostym definicjom.

Czy Londyn stał się dla nich początkiem wspólnej drogi? Czy tamten płomień namiętności i wdzięczności, rozpalony w sercu chaosu, przetrwał zderzenie z szarą codziennością wielkiego miasta?

Maggie uśmiechnęła się tym swoim perlistym, londyńskim uśmiechem, ale w jej oczach czaił się cień, którego Jan nie potrafił jednoznacznie odczytać. Byli jak dwie linie, które historia skrzyżowała w najmroczniejszym punkcie, a teraz... teraz biegły dalej, ramię w ramię, ale czy jako jedno?

Jan wyszedł zza biurka i stanął tuż obok niej. Podniósł rękę, jakby chciał odgarnąć niesforne pasmo włosów z jej czoła, ale jego palce zamarły w pół gestu. Maggie nie cofnęła się, ale też nie zrobiła kroku naprzód. Patrzyli na siebie z bezbrzeżnym zrozumieniem ludzi, którzy wiedzą o sobie wszystko, a jednocześnie nie wiedzą o sobie nic w świecie, który musieli zbudować na nowo.

Nie każda historia domaga się ostatecznego, rygorystycznego zamknięcia. Nie każde życie da się opisać równaniem, w którym po znaku równości pojawia się jedna, prosta odpowiedź. Niektóre opowieści, podobnie jak powojenne losy ludzi rzuconych na obcy brzeg, trwają w zawieszeniu – w przestrzeni między słowami, w niedopowiedzeniach, w wiecznym oczekiwaniu na to, co przyniesie kolejny świt.

Jan i Maggie stali obok siebie, patrząc na gasnące nad Londynem słońce, a ich wspólna przyszłość pozostała dokładnie taka, jak post wojenna Szkocja, którą zostawili za sobą: spowita gęstą, tajemniczą mgłą, zza której mogło wyłonić się absolutnie wszystko. Albo zupełnie nic.

## Epilog: Echo wojny

Kilka miesięcy po zamknięciu swojej pierwszej londyńskiej sprawy i wejściu na nową drogę życia, Jan Kowalewski poczuł potrzebę powrotu tam, gdzie wszystko się zaczęło. Odwiedził malownicze okolice Peebles – miejsce, które wojenne rany zabił szumem rzeki Tweed i spokojem zielonych wzgórz. Spacerował niespiesznie po leśnych ścieżkach, wspomnieniem wracając do dni, gdy jako zmęczony, potwornie zagubiony, ale wciąż pełen ukrytej nadziei emigrant po raz pierwszy postawił stopę na szkockiej ziemi.

W pewnym momencie jego uwagę przykuła ledwo widoczna, zarośnięta ścieżka. Jan zatrzymał się, a serce zabiło mu mocniej. To tutaj, w gęstwinie tych drzew, tuż po wojnie prowadził improwizowane ćwiczenia wojskowe z innymi byłymi żołnierzami. Robili to, by znaleźć jakiegokolwiek zajęcie dla umysłów wciąż uwięzionych w wojennych wspomnieniach i dać im chwilę wytchnienia od bolesnej przeszłości.

Doskonale pamiętał tamtą chłodną, pełną dymu noc, kiedy w morderczym pościgu za Franklinem u brzegów rwącej Eddleston Water zgubił swój pistolet – stary, wierny Vis, który przeszedł z nim cały szlak bojowy i przetrwał piekło Arnhem. Kiedy poślizgnął się na zdradliwym, grząskim brzegu rzeczki, ciężka broń wysunęła mu się z dłoni i z głuchym plaśnięciem

przepadła w gęstych zaroślach oraz ciemnym mule. Nie miał wtedy czasu na gorączkowe poszukiwania, a gdy po latach wracał w te okolice, las i ziemia dawno już pochłonęły tę pamiątkę, przykrywając ją warstwami opadłych liści. Broń ta była dla niego czymś więcej niż narzędziem walki; stanowiła symbol wszystkiego, co ostatecznie zostawił za sobą w ruinach ojczyzny.

---

Lata mijały, rzeki niosły swoje wody, a świat wokół nich nieuchronnie biegł naprzód.

Wiele lat później, w zupełnie innej rzeczywistości lat siedemdziesiątych, w okolicach dawnego Barony Castle pojawiła się grupa młodych, pełnych pasji entuzjastów geografii i historii z Polski oraz Szkocji. Ruszyli z niezwykłym projektem, budując przez sześć letnich sezonów w latach 1974-1979 Wielką Polską Mapę Szkocji. Ten monumentalny, trójwymiarowy pomnik miał na zawsze upamiętnić schronienie, jakie Polacy znaleźli w tych stronach.

Podczas głębokich wykopów pod fundamenty jednej z sekcji mapy, młody student imieniem Alex natrafił łopatą na coś twardego w ziemi. Po chwili ostrożnego oczyszczania gruntu, ku zdumieniu wszystkich, wyciągnęli z gleby zakurzony, zardzewiały pistolet. Główny projektant mapy i kierownik prac, doktor Kazimierz Trafas – kartograf z Uniwersytetu Jagiellońskiego – przyjrzał mu się z nabożnym szacunkiem, delikatnie obracając ciężki metal w dłoniach. W zamku, który wszak w czasie wojny stanowił kwaterę polskich oficerów i gdzie po wojnie swój własny pokój miał legendarny generał

Stanisław Maczek, takie znalezisko natychmiast rozpałało wyobraźnię. Wśród wolontariuszy narodziła się fascynująca legenda – szeptano, że to prawdopodobnie pistolet samego generała Maczka.

Młodzi geografowie, poruszeni tym niemym świadkiem historii, podjęli jedyną słuszną decyzję. Postanowili zachować broń jako cenny artefakt. Miał to być wieczny hołd dla polskich żołnierzy, którzy pozostawili niezatarte ślady swoich żołnierskich butów w Szkocji.

—

Opierając się ciężko na lasce, sędziwy już Jan Kowalewski odwraca się powoli od Wielkiej Polskiej Mapy Szkocji. Odwiedza to miejsce u schyłku swojego życia, by po raz ostatni spojrzeć na kontury upamiętniające takich jak on. Uśmiecha się lekko, z głębokim, ostatecznym spokojem w sercu. Jego wzrok ucieka ku majaczącym w oddali wzgórzom Peebles i zarośniętym brzegom Eddleston Water. Nawet teraz, po upływie tylu dekad, nadal czasem się zastanawia, co ostatecznie stało się z jego starym, wiernym Visem, który tamtej nocy pochłonęło szkockie błoto. Choć ta jedna zagadka na zawsze pozostanie dla niego nierozwiązana, Jan wie, że jego burzliwa, bolesna przeszłość wreszcie znalazła swój bezpieczny, dumny dom. Podobnie jak on sam.

**KONIEC**

## Notatka historyczna:

*Historia o znalezieniu pistoletu Vis podczas budowy Wielkiej Polskiej Mapy Szkocji jest całkowicie fikcyjna i została wymyślona na potrzeby fabuły książki. W rzeczywistości nie ma żadnych historycznych dowodów ani zapisów, które potwierdzałyby takie znalezisko.*

*Wpkatan tę fikcyjną sytuację w bardzo prawdziwe ramy historyczne:*

1. **Wielka Polska Mapa Szkocji istnieje naprawdę:** To gigantyczny, trójwymiarowy model terenu, który znajduje się na terenie posiadłości Barony Castle w Eddleston. Został zbudowany w latach 1974-1979 z inicjatywy polskiego weterana Jana Tomasika jako podziękowanie dla Szkotów za gościnność okazaną polskim żołnierzom podczas II wojny światowej.
2. **Polacy w Barony Castle:** Zamek Black Barony rzeczywiście był ważnym punktem dla polskich sił zbrojnych – w latach 1942–1945 stacjonowała tam Polska Wyższa Szkoła Wojskowa.
3. **Losy Maczka i weteranów:** Fakt, że polscy weterani, w tym generał Maczek, zostali po wojnie zmuszeni do pozostania na emigracji i podejmowania prostych prac fizycznych, jest smutną prawdą historyczną.

*Wątek zagubionego pistoletu (czy to należącego do głównego bohatera Jana, czy przypisywanego w legendzie generałowi Maczkowi) służy w opowieści jako piękna klamra kompozycyjna i symboliczna pamiątka. W rzeczywistości jednak studenci i geografowie wznoszący tę imponującą mapę pod kierownictwem dr. Kazimierza Trafasa nie odnaleźli w fundamentach żadnej zakopanej broni.*